



MANIMAL – PRODUKCJA
LUDZKO-ZWIERZĘCYCH
HYBRYD

JANUSZ KUSOCIŃSKI
– OGRODNIK,
MISTRZ, HERMES

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 17 030
indeks 211060
#127 9/2016

Koniec pogardy dla tradycji
niepodległościowej

RODOWÓD NIENAWIŚCI

Dyzmowie
są wśród
nas

OPRYCZYNINA
PUTINA

ISSN 1895-4960



09

9 771895 496605

eprasa.pl aed72b80fd

Ilustracja Marcinus Techniski



Dwie nienawiści / 4



Cienka, czerwona, bioetyczna linia / 20

fot. PAP/CA/Reprodukcja



Hermes, ogrodnik i mistrz / 30



Gangnam Style / 60

Ilustracja Antoni Chodkowski



Hochsztaplerzy, mistyfikatory, duchowe dzieci Felixa Krulla / 66

Spis treści

TEMAT NUMERU 4-18

Piotr Lisiewicz

Dwie nienawiści / 4

Z dr. Rafałem Brzeskim
rozmawia Jacek Liziniewicz

Elity III RP skazane na porażkę / 9

Krzysztof Wyszkowski

„Edek”, czyli postkomunistyczna
półinteligencja przy antypolskiej robocie / 12

Ryszard Czarnecki

„Elita” jako margines społeczny / 15

Sławomir Kmiecik

Pogarda totalna / 16

IDEE 20-29

Tomasz Terlikowski

Cienka, czerwona, bioetyczna linia / 20

Robert Tekieli

Oczy demonów / 23

Małgorzata Matuszak

Feministką (nie) być / 26

HISTORIA 30-59

Piotr Lisiewicz

Hermes, ogrodnik i mistrz / 30

Magdalena Złotnicka

Jaworowy chłopiec bez szans
na nawrócenie / 36

Dariusz Jarosiński

Walkę o Polskę mieli we krwi / 42

Agnieszka Kowalczyk

Gród łez i serdecznej miłości / 48

Stefan Stamirowski

Jak umierał Pużak / 54

KULTURA 60-64

Krzysztof Karnkowski

Gangnam Style / 60

Keb' Mo' na Rawa Blues Festival / 64

ŚWIAT 66-97

Olga Doleśniak-Harczuk

Hochsztaplerzy, mistyfikatory,
duchowe dzieci Felixa Krulla / 66

Antoni Rybczyński

Opryszczyna Putina / 72

Antoni Rybczyński

Wojny siłowników / 78

Hanna Shen

Prześadowani chrześcijanie
zmieniają Chinę / 84

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji / 87

Stefan Czerniecki

Dobra robota / 90

Stale rubryki



Katarzyna Gójska-Hejke

Sowieckie korzenie dzisiejszej pogardy

NA POZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... smutek

KATECHIZM INTELIGENTA

19



Ryszard Czarnecki

Pięć mitów o Turcji

CZARNECKO TO WIDZĘ

77



Olga Doleśniak-Harczuk

Zdradzone kościoły

Z GLOBALNEGO TYGŁA

82



Marcin Wolski

Nienawiść – korzenie i owoce

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Cud mikroekonomii

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbanowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Rączkarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Sowieckie korzenie dzisiejszej pogardy

Historia podboju i zniewolenia Rzeczypospolitej Polskiej po II wojnie światowej jest historią stosowania pogardy. Pogarda, która pozwalała uciekać się do terroru, dawała alibi na mordowanie i tortury. Pogarda towarzyszyła ogromnej wymianie elit, niszczeniu tradycji i tożsamości, tworzeniu nowego – komunistycznego człowieka. Obecnie jest kluczowym elementem postkomunizmu. I rakiem, który trawi dzisiejszą polską demokrację.

W polskim życiu publicznym miejsce zaciętych sporów, ostrych wymian zdań, które jednak są nieodłączną częścią wolności, zajmuje pogarda. Ktoś może powiedzieć: hola, hola – najbardziej wrośnięte w demokrację społeczeństwa co rusz są arenami bezpardonowych, brudnych kampanii, które po prostu stały się elementem dzisiejszej polityki. To prawda. Ale czym innym jest złapanie konkurenta na haku nawet bardzo intymnej sprawy, a czym innym obdzieranie go z godności i mówienie wprost, iż powinno go nie być. Kluczowym postaciami obozu politycznego sprawującego dziś władzę w ciągu ćwierćwiecza wielokrotnie grożono śmiercią czy różnej formy eliminacją. Nie czynili tego bezimienni szaleńcy, a wpływowi przedstawiciele tzw. konkurencji politycznej czy ludzie, którzy bez przeszkód brylowali w mediach w roli ekspertów.

Tego typu rozgrywanie debaty publicznej jest garbem po komunizmie. Nawet więcej – jest tradycją sowiecką przeszczepioną na grunt polski i mimo końca PRL utrzymywaną, a także wykorzystywaną. Historia podboju i zniewolenia Rzeczypospolitej Polskiej po II wojnie światowej jest historią stosowania pogardy. Pogarda, która pozwalała uciekać się do terroru, dawała alibi na mordowanie i tortury. Pogarda towarzyszyła ogromnej wymianie elit, niszczeniu tradycji i tożsamości, tworzeniu nowego – komunistycznego człowieka. W Sowietach ten mechanizm został doprowadzony do perfekcji. W Polsce, przemianowanej na „ludową”, miał

mniejszą wydolność, ale i tak przepracował swoje. Obecnie jest kluczowym elementem postkomunizmu. I rakiem, który trawi dzisiejszą polską demokrację.

W poprzednim numerze dokładnie analizowaliśmy zjawisko pogardy dla biednej części Polski, które nagle, niczym w świetle reflektora, dało o sobie znać przy okazji wprowadzania „Programu 500 plus”. W tym numerze postanowiliśmy w pewnym sensie kontynuować analizy sprzed miesiąca. Wzięliśmy pod lupę pogardę jako narzędzie wpływania na polską debatę publiczną. Odśladamy korzenie tego destrukcyjnego zjawiska i próbujemy pokazać kluczowe momenty w najnowszej historii RP, w których stosowanie pogardy osiągnęło apogeum. Ten numer naszego miesięcznika oddajemy do druku tuż przed uroczystościami pogrzebowymi słynnej sanitariuszki Brygady Śmierci – „Inki” oraz żołnierza tejże formacji – „Zagończyka”. Zamordowana przez komunistów niespełna osiemnastoletnia Danuta Siedzikówna była obiektem niewyobrażalnej akcji pogardy. Równieśnicy mieli w niej widzieć monstrum opływające krwią swych rzekomych ofiar. I mieli się bać jej losu. Mimo tej zmasowanej akcji odczłowieczania „Inka” przetrwała w pamięci pokoleń Polaków. Dziś jest wspaniałym – bo szczerym i autentycznym – przykładem odkrywania przez młodych Polaków najwspanialszych kart historii najnowszej RP. I wraz ze współtowarzyszami wielkiej miłości do Ojczyzny staje się dziś symbolem zwycięstwa nad pogardą zaimplementowaną nad Wisłą przez Sowietów. ■

Dwie

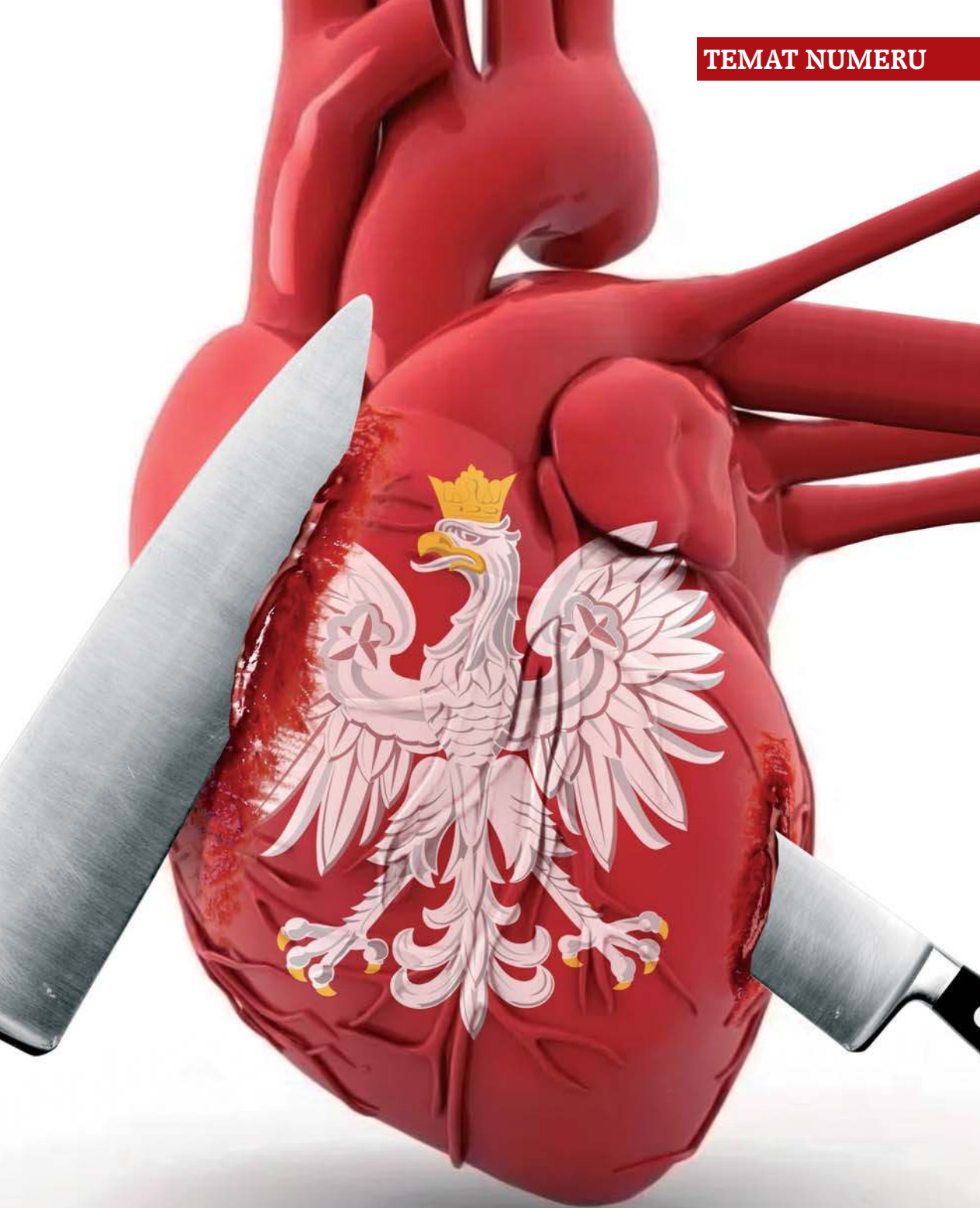
Piotr Lisiewicz



nienawiści

W ideologii KOD spotkały się dwie nienawiści. Rodowód pogardy dla polskich tradycji patriotycznych sięga co najmniej katowni UB i poezji sławiącej morderców reakcyjnej Polski. Natomiast obrzydzenie zwykłymi Polakami na bałtyckiej plaży to pokłosie wydarzeń o ponad trzy dziesięciolecia późniejszych – Sierpnia 1980 i pogardy dla buntu „roboi”, którzy nie docenili, ile komuniści zrobili dla proletariatu. Po zwycięstwie PiS z 2015 r. te dwie pokrewne sobie nienawiści zlały się w jedno.





Na początek dwa cytaty. „Szostak Jan oświadczył, że jak trzeba było wieszać ludzi, strzelać ich oraz topić w ustępach, to nikogo nie było, a teraz zasług jego tych nikt nie bierze pod uwagę” – taka notatka z 1953 r. zachowała się w archiwum białostockiego UB. Zbrodniczy kat Augustowa podnosił swoje zasługi, bo czuł się oburzony faktem, że nie został przewodniczącym rady narodowej na kolejną kadencję.

„Bilem po twarzy i nie tylko po twarzy. Robiłem to z głębokim przeświadczeniem, że to są wrogowie. [...] Plucie w twarz stosowałem. [...] Doszło do pewnej degeneracji, do pewnego sadyzmu u niektórych pracowników, u mnie sadyzmu nie było” – taką samokrytykę złożył w 1954 r. Józef Różański, funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

► Z UB na odcinek kultury

Oba te cytaty, a podobnych historycy przytoczyć mogą bardzo wiele, łączą „głębokie przeświadczenie” o doniosłości racji, które stały za katowaniem polskich patriotów.

Jakie były dalsze losy obu zbrodniarzy? Obaj dożyli lat 80., a wcześniej zajęli się kulturą. Jan Szostak po odejściu z UB został ludowym rzeźbiarzem, reklamowanym szumnie przez Polską Kronikę Filmową, którego pracownię odwiedzali szkolne wycieczki.

Józef Różański pracował w Polskim Radiu, Państwowym Instytucie Wydawniczym i Mennicy Państwowej. Przypomnijmy, że jego bratem był Jerzy Borejsza, trzęsący kulturą PRL w latach stalinowskich, którego syn Jerzy Wojciech Borejsza jest dziś historykiem, profesorem i publicystą „Gazety Wyborczej”.

Te związki z kulturą nie były przypadkowe. Przekonanie tamtych dwóch, że robiąc rzeczy najohydniejsze, dokonują czynów wzniosłych, albo też wykazują się szczególną szlachetnością, wykonując ofiarne prace najbardziej odstręczające, lecz konieczne, nie brało się znikąd.

Słowa mają swoje konsekwencje, także te uwznioślające terror. To m.in. o Różańskim i Szostaku pisał w swym wierszu Andrzej Mandalian: „Śpij, majorze, świt niedaleko, widzisz: księżyc zaciąga wartę; szósty rok już nie śpi Bezpieka, strzegąc ziemi panom wydartej”. Mandalian zmarł pięć lat temu, w 2011 r. W III RP publikował teksty o kulturze w „Gazecie Wyborczej”, dwukrotnie nominowany był też do nagrody Nike.

► Młodzi sekretarze chcą demokracji

Nie będę wyręczać autorów cyklu „Resortowe dzieci”, mnożąc tu kolejne przykłady. Warto nato-

miast zauważyć, że wbrew narracji establishmentu o tym, jakoby pokazywanie związków rodzinnych i środowiskowych było czymś niegodnym, podobne zjawiska wielokrotnie opisywała nauka.

XVIII-wieczny niemiecki filozof Johann Gottfried von Herder pisał, że kultura to „specyficznie ludzki sposób przystosowywania się do środowiska, a realizuje się poprzez przekaz między jednostkami i pokoleniami, tworząc w ten sposób swoisty łańcuch [...]”. Zależnie od tego, jaka jest tradycja, takim staje się człowiek, tak zostaje on ukształtowany”.

W tym łańcuchu w przypadku opisywanej formacji jest jedno ważne, a może i kluczowe ogniwo, które bywa pomijane. Przez jednych z racji na polityczną poprawność, przez drugich zaś po to, by nie dawać okazji do powielania przez zwolenników obozu niepodległościowego degradujących go antysemickich stereotypów.

Chodzi mi o moment przefarbowania się stalinowców na reformatorów, który opisał w 1962 r. w eseju „Chamy i Żydy” zmarły w 1995 r. w Izraelu Witold Jedlicki. Wyjaśniając tytuł tekstu, Jedlicki pisał z jadowitą ironią o frakcjach PZPR: „menadżery tych grup nazywają się wzajemnie od dawna inaczej. Dla Puławian Natolińczycy to »chamy«, a dla Natolińczyków Puławianie to »żydy«. Obie nazwy świadczą chlubnie o ideologicznym wyrobieniu i głębi socjalistycznych przekonań jednych i drugich”.

O politycznej akcji „żydów”, czyli Puławian, po referacie Chruszczowa demaskującym zbrodnie stalinizmu, Jedlicki pisał: „Ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za koszmarny terror policyjny, nieludzki ucisk, wymordowanie setek najlepszych i najwartościowszych ludzi i zniszczenie kultury polskiej, decydują się teraz wyzyskać jako swój podstawowy atut w walce z przeciwnikami... opinię publiczną”.

Stawiał on tezę, że rozluźnienie przez Puławian cenzury w 1956 r. służyło temu, by oni sami, z wyjątkiem kilku firmujących stalinowski terror swoimi nazwiskami osób, mogli opublikować „odważne” artykuły i z oprawców stać się reformatorami. Celem było wysłanie Polakom komunikatu: „Istnieje w kierownictwie partyjnym grupa »Młodych Sekretarzy«. To są uczciwi komuniści, którzy szczerze dążą do demokracji. Trzeba im pomóc”.

► Gra polską niechęcią do antysemityzmu

O odpowiedzialności obu frakcji za stalinizm Jedlicki napisał: „Za czasów Stalina Natolińczycy w opozycji nie byli z pewnością i dyrektywy spełniali gorliwie. Ale gwardia stalinowska w Polsce, to przede wszystkim Puławianie, a Natolińczycy to raczej ludzie Chruszczowa. Natolińczycy domagali się odpo-

wiedzialności personalnej za zbrodnie U.B., podczas gdy Puławianie wywijali się jak mogli i zrobili wszystko, żeby sprawę utopić. Oczywiście było w tej taktyce natolińskiej sporo demagogii i są wszelkie dane, aby sądzić, że ta odpowiedzialność miała też pewne, z góry zakreślone granice”.

Jedlicki pokazywał, jak Puławianie, którzy, wbrew twierdzeniom Natolińczyków, nie byli „grupą eksklusywnie żydowską”, potrafili grać antysemityzmem. Pisał: „Udaje im się mianowicie wykorzystać sprawę żydowską do likwidacji tak bardzo niewygodnego dla nich problemu odpowiedzialności osobistej za wyczynny z okresu stalinowskiego. Kto tę sprawę podnosi, zostaje natychmiast okrzykany jako antysemita”.

I dalej: „Doszło do tego, że ludzie naprawdę zaczęli wierzyć, że tylko antysemita żąda odpowiedzialności za zbrodnie stalinizmu i że po to, aby do antysemityzmu nie dopuścić, należy z żądań tych zrezygnować. Ten kto żądał ukarania ubeka-nieżyda, też był okrzykiwany antysemitą”.

Zwracał uwagę na jeszcze jeden aspekt propagandy Puławian – realne szkoderstwo ludności żydowskiej: „ani Natolińczycy ani w ogóle antysemita nie mają bynajmniej monopolu działania na szkodę ludności żydowskiej w Polsce. O ile nastroje antysemityczne w Polsce w r. 1956 były już bardzo słabe, o tyle Puławianie swoją praktyką oskarżania o antysemityzm każdego, kto miał do nich o cokolwiek pretensję zrobili wszystko, żeby nastroje te wzmocnić. Sytuację pogarszała jeszcze ta okoliczność, że w środowisku Puławian było mnóstwo pospolitych afer kryminalnych na wielką skalę (sprawa Lucjana Pennera, sprawa Józefa Krakowskiego, różne sprawy handlu zagranicznego i przede wszystkim porwanie Bohdana Piaseckiego), które w ogólnej atmosferze walki z antysemityzmem sprawcom uchodziły na ogół na sucho”.

Gdy przeanalizujemy esej Jedlickiego, dojdziemy do dwóch pozytywnych dla Polaków wniosków. O pierwszym pisze sam autor: antysemityzm wśród Polaków był na tyle słaby, że Natolińczycy, którzy zaczęli nim szermować, sami sobie zaszkodzili. Warto jednak wskazać i wniosek drugi: Puławianie grali nie polskim antysemityzmem, a niechęcią większości Polaków, w tym niepodległościowej inteligencji, do antysemityzmu.

► **Zatuszować Smoleńsk, czyli bułka z masłem**

Poświęcam temu pomijanemu ogniwu trochę miejsca, bo to wówczas ważny odłam obecnych elit nauczył się, że skoro można było uciec od odpowiedzialności za stalinizm, to znaczy, że można uniknąć jej zawsze.

Przez kolejne dziesięciolecia obserwować będziemy powracanie tej sprawdzonej taktyki. W czasie pierwszej „Solidarności” będą przebieganki komunistów za reformatorów. W okolicach 1989 r. – podmianna Jaruzelskiego i Kiszcza na młodszych Kwaśniewskiego i Cimoszewicza. W III RP – granie antysemityzmem, by nie pozwolić na osądzenie zbrodniarzy i dekomunizację.

Gdy niedługo po 10 kwietnia 2010 r. zobaczyliśmy, jak szybko „Gazeta Wyborcza” i tygodnik „Polityka” przystąpiły do ataków na wyznawców spiskowych teorii, pochwał rosyjskiej wrażliwości, wielu z nas zareagowało na to emocjonalnie. Sam pomyślałem wówczas, że przecież tym ludziom, których traktowaliśmy jak normalnych uczestników publicznej debaty, nie będzie można już nigdy podać ręki.

Tymczasem im, którzy pamiętali, jak łatwo udawało się uciec od odpowiedzialności za długie lata torturowania najlepszych Polaków, zatuszowanie Smoleńska wydawało się bułką z masłem. Fakt, że przez lata III RP blokowano odpowiedzialność raczej za zbrodnie dawne, bo nowych było niewiele, nie osłabił ich gotowości, by zrobić to znowu. W sumie nie tak wielka to różnica, skoro te dawne dotyczyły często czynów ich rodziny czy znajomych.

Notabene gdy ideolodzy KOD-u szermują na prawo i lewo słowem faszyzm i porównaniami do Hitlera, to na myśl przychodzi przypuszczenie, że to nie tylko kalka z propagandy z czasów stalinowskich. Przecież nieczułość i obojętność na fakt, że szczątki pasażerów tupolewa miesiącami wały się na lotnisku w Smoleńsku, a w trumnach zamieniano ciała, równie dobrze pasowały do czerwonego, jak i brunatnego totalitaryzmu.

► **Chevroletariat**

Ale tamta nienawiść do polskiego patriotyzmu połączyła się w 2015 r. w jeden nurt z inną, nieco świeższą daty – nienawiścią do robotników i zwykłych Polaków.

Ona kielkowała po 1945 r. wiele razy, ale nigdy nie stawała się oficjalną ideologią partii, bo ta miała być przecież awangardą proletariatu. Kielkowała, gdy bliski Puławianom Józef Cyrankiewicz wygrał w 1956 r. robotniczej elicie o przedwojennym rodowodzie z poznańskich zakładów Cegielskiego, a poetka Kazimiera Iłakowiczówna, była współpracowniczka Piłsudskiego, pytała: „Czemu zawsze rządzi inteligent, a do robotników się strzela?”.

Kielkowała w gruncie rzeczy przy wszystkich protestach w PRL łącznie z Marcem 1968, gdy – jak wskazuje prof. Jerzy Eisler – „robotniczy” aktyw wysłany do bicia studentów nie miał nic wspólnego z poglądami

robotniczych mas protestujących na ulicach w miastach, w których nie było wyższych uczelni. *Notabene* z badań Eislera wynika, że robotników w Marcu 1968 zatrzymano więcej niż studentów.

Za każdym razem jednak ideologia komunistyczna wymuszała, by na przykład wrzaskom władzy o warchołach z Radomia i Ursusa towarzyszyły wiece prawomysłnych robotników, potępiających tamtych. Władza miała być „robotnicza”, nawet jeśli zaopatrywała się w sklepach z żółtymi firankami, dla których pracowały wyselekcjonowane tuczarnie świń. Ani jachty, ani polowania, ani talony na samochody i mieszkania bez kolejki nie mogły tego zmienić, chociaż w robotniczych masach w latach 50. krążyło określenie „chevrolatariat” na towarzyszy sprowadzających sobie ze zgnilego Zachodu samochody wspomnianej marki.

► Skończeni kretyni pasaliby krówki

Ta fikcja o robotniczym charakterze partii skończyła się wraz z Sierpniem 80, a wszystkie późniejsze przemówienia Jaruzelskiego na temat „klasy robotniczej” były traktowane jak pustosławie także przez samych partyjnych.

Istniejące wycinkowe dane wskazują na to, że w latach 80. PZPR *de facto* zrezygnowała z jakichkolwiek robotniczych „parytetów”. Na wojewódzkich konferencjach sprawozdawczo-wyborczych PZPR – wbrew Marksowi – 75 proc. delegatów wywodziło się z inteligencji. Groteskowość „proletariackich” przywódców PZPR, takich jak Zofia Grzyb czy Albin Siwak, pogłębiało ich totalne oderwanie od robotniczych mas. Siwak wspominał, jak próbując rozmawiać z robotnikami, szedł przez szpaler ludzi, którzy na niego plułi.

Nienawiść i pogarda dla „roboli” stała się wśród towarzyszy powszechna i nie przypadkiem dał jej wyraz Puławianin i wieloletni redaktor naczelny „Polityki”, wykrzykując w czasie spotkania z robotnikami w Stoczni Gdańskiej: „Niejeden z was by tu w ogóle nie pracował w tej stoczni gdyby nie ten system. Niejeden by nie ukończył żadnej szkoły. Krówki by pasał! Ja też! Ooo, tak. Za największy sukces narodu polskiego uważam ustanowienie po 1945 roku przyjaznych stosunków z wielkim narodem rosyjskim i narodami Białorusi, Ukrainy, Związku Radzieckiego. I tylko skończony kretyn polityczny może kwestionować to! Tylko!”.

„Skończeni kretyni” zasługiwali tylko na pogardę, którą ideolog „reformatorskiego” tygodnika wyraził po raz kolejny słowami: „ci, którzy trwają w uporze, i ci, którzy dzisiaj tak wykrzykiwali to po prostu po pewnym czasie się zmęczą. Taaak. Wy już teraz jeste-

ście bardziej zmęczeni niż kiedyś [...] uważam was za nieszczęśliwych ludzi. Otumanionych. Powtarzam jeszcze raz – tych krzykaczy i gwizdaczy, za nieszczęśliwych. Bo przegracie”. Tak oto zakończyła się miłość partii do proletariatu.

Dalej było tylko spychanie robotników na margines społeczny, traktowanie jak rozpitej hołoty, wobec której pragnąca ją wychowywać partia jest bezradna. To miało swoją kontynuację w początkach transformacji, przy okazji rozkradania wielkich zakładów. Zaś kolejnym narzędziem pacyfikowania zagrożenia stało się pobudzanie najniższych instynktów mas przy użyciu „rozrywki” w TVN i podobnych stacjach.

Od 13 grudnia 1981 r. wprowadzanie robotników do polityki, niegdyś sztandarowy postulat komunistów, było traktowane jako najgorsza zbrodnia. Błogosławiony książd Jerzy Popiełuszko stał się dla komunistów śmiertelnym wrogiem właśnie dlatego, że potrafił podnosić tych robotników na wyższy poziom, przyjaźnić się z nimi. Wszedł na teren zakazany, najbardziej dla nich niebezpieczny z możliwych.

► Starczy bluzg

Odmiana politycznej poprawności, która zabrańiała uczciwej rozmowy ze zwykłymi Polakami, bo to haniebny populizm, działała na tyle silnie, że także w obozie niepodległościowym w III RP zwolennicy wyjścia z prawicowych salonów na ulicę – jak niżej podpisany – byli w mniejszości.

Gdy znikły wielkie zakłady, wówczas o to, by ci zwykli nie wychylali się, dbali często postkomunistyczni prywatni biznesmeni. A każda niekontrolowana, zorganizowana forma działalności zwykłych Polaków napotykała na kampanię nienawiści w mediach połączoną z represjami, jak w przypadku kibiców piłkarskich.

Obecny sojusz PiS i obozu niepodległościowego z dołami społecznymi to spełnienie najczarniejszego scenariusza dla establishmentu III RP, stąd jego wielka nerwowość. Na Adamie Michniku i jego świecie mści się zarówno dawna niechęć do reakcyjnych starszaków z czasów socrealistycznej młodości, jak i całkiem niedawna kampania przeciwko „moherom”. Starzeją się wyjątkowo odrażająco i w dodatku muszą demonstrować swoją brzydotę na oczach wszystkich.

Kiedyś mianowali się awangardą proletariatu, później doradcami strajkujących robotników, następnie rozdawcami zupek Kuronia, w końcu kapłanami nowoczesności. Dziś pozostał im tylko starczy bluzg w obronie własnych przywilejów, którego polityczna skleroza nie pozwala im już skutecznie opakować w żadne kłamstwo o własnym altruizmie i szlachetności. ■

Elity III RP skazane na porażkę

Niech sobie TVN i TOK FM robią, co chcą, we własnym sosie, ale nikt poważny i przyzwoity nie powinien się tam pojawiać. Niech sobie zieją nienawiścią i pogardą jeden do drugiego, ale bez Polaków. Pies szczeka, karawana idzie dalej – o elitach III RP i ich pogardzie dla Polaków z dr. Rafałem Brzeskim rozmawia Jacek Liziniewicz.



for TV Republika

dr Rafał Brzeski

– dziennikarz, pisarz, tłumacz, publicysta, specjalista w dziedzinie wojny informacyjnej, służb specjalnych i terroryzmu; działacz niepodległościowy – z bł. ks. Jerzym Popiełuszką współorganizował tajne szkolenia



► **W przestrzeni publicznej zapanowała moda na obrażanie Polaków. Zjawisko przybiera na sile. Agata Młynarska, Krystyna Janda, Kazimierz Kutz i wielu innych prześcigają się w wymyślaniu wyzwisk pod adresem Polaków. „Pokolenie ćwoków” i „Kiepscy” to tylko niektóre z nich. To nowe zjawisko w Polsce?**

To pytanie należy skierować bardziej do psychologa niż politologa. Moim zdaniem w tym wypadku trzeba mówić o trzech płaszczyznach: historycznej, frustracyjnej i kompleksów. Dodatkowo można by wskazać na ambicję posiadania władzy i chęć wybicia się. Cały przemysł pogardy i fala nienawiści to skutek wychowania, tę pogardę przekazywano z pokolenia na pokolenie. To się dopiero teraz dobitniej uzewnętrzniło.

► **Dlaczego tak się stało?**

Dotychczas manifestowanie pogardy nie było im do niczego potrzebne. Grupa ta była na świeczniku. Dopiero jak z tego świecznika spadła, to zaczęło się gardzenie ludźmi, przez których została pozbawiona przywilejów. Stąd lament: żeby było tak, jak było. Bo im było komfortowo.

► **Mówi Pan o pewnej grupie. Chciałbym, aby Pan ją zdefiniował.**

Tutaj trzeba wrócić do 1944 roku, do zarania PRL, kiedy pojawiła się ekipa politruków i zaczęła rządzić Polską. To wtedy wymyślono określenia: „zapłute karły reakcji”, „bandy”, „przestępcy” itp. na nazwanie ludzi, którzy walczyli o wolność Polski. Odwoływano się do pogardy, ale w społecznym odbiorze ta pogarda była tylko bolszewicką propagandą. Inaczej było w przypadku jej twórców, oni ugrzęźli w niej po uszy. Oni naprawdę uwierzyli, że Polska to ich lenno i własność. Dzisiejsza pogarda manifestowana przez celebrytów to wynik ciągłości pokoleniowej. Oni w większości wychowali się w czerwonym akwarium, szara codzienność zwykłych Polaków do nich nie docierała. Teraz to wyraźnie widać.

► **Jak Pan wspominał, dochodzi jeszcze kwestia frustracji i kompleksów.**

Niestety, mówimy o frustratach i ludziach zakompleksionych, chorobliwie ambitnych, którzy doszli do apogeum własnych możliwości. Nadal są przekonani, że są lepsi, a nikt tego nie docenia. Tutaj trzeba się cofnąć do czasu stanu wojen-

nego, który w wielu zawodach spowodował próżnię. Mnóstwo osób odmówiło współpracy z juntą Jaruzelskiego. Przez to straciły pracę, a ich miejsce zajęli lojalni, zwani wówczas BMW – „bierny, mierny, ale wierny”. Ludzie ci uwierzyli, że są wyjątkowi i wybitni. Szczególnie dotyczy to ludzi kultury i mediów. Niestety, III RP zamiast ustawić ich na właściwym miejscu, nadymała ich dalej. Nadal mieli wpływy, decydowali i byli hołubieni. Zasypywano ich nagrodami za „twórczy dorobek”, którego fundamentem była lojalność. Widać to też w środowiskach akademickich. Dość przypomnieć żart, że komunizm przekreślił się, ponieważ partia obdarzała tytułami profesorskimi za lojalność, a później wierzyła ich ekspertyzom.

► **To, o czym Pan mówi, świadczyłoby o całkowitym odrealnieniu.**

Jestem dziennikarzem od prawie 50 lat. Długo obserwowałem partyjne akwarium z zewnątrz. Jak ono się kształtuje i wygląda. Mówię dzisiaj z pełną odpowiedzialnością: ci ludzie są zupełnie odrealnieni. Oni zawsze byli beneficjentami przywilejów i bonusów. To oni dostawali talony. Dla młodego pokolenia jest nie do wyobrażenia, aby płaszczyć się i merdać ogonem jak piesek przed kimś, kto w łaskawości swojej da talon na „malucha”. Celebryci jednak przywykli do przywilejów i... merdania.

► **Ciągłe nie rozumiem. Przecież Kutz nie nakręcił żadnego filmu, który otrzymał Oscara. Krystyna Janda nie jest rozpoznawalną na świecie aktorką, a o sławie Agaty Młynarskiej już nie wspomnę. Są popularni jedynie w Polsce, wśród ludzi, na których wylewają wiadro pomyj. Jak to wytłumaczyć?**

Inaczej. W Warszawie jest taka mała uliczka Ja-worzyńska. To był zaulek klasy rządzącej, gdzie mieszkali ludzie aparatu władzy. Na zakręcie był przeznaczony dla elity sklepik „za żółtymi firankami” z towarami niespotykanymi na rynku. Jak ktoś wychował się w takim zaulku, to od urodzenia wiedział, że jest elitą. Nieważne, czy był mądry, miał coś do powiedzenia lub miał talent. Z definicji należał do elity. Proszę sobie teraz wyobrazić, że ci ludzie od urodzenia byli przekonani, że są elitą, i nagle nie przestali być. Nikt ich już dzisiaj nie traktuje specjalnie. Dzisiaj jedynie członkowie byłej elity traktują ich jak kogoś wyjątkowego. To już jednak jest skansen. Świat po-

szedł dalej. Młodzi ludzie poszli dalej i traktują ich jak eksponaty ze skansenu.

► Wspomniał Pan o kompleksach...

To środowisko jest skrajnie zakompleksione. Każdy z nich chciałby być w elicie międzynarodowej – kiedyś mówiło się w nomenklaturze międzynarodowej. W PRL-u wszyscy odpowiedzialni towarzysze zabiegali o to, aby z nomenklatury krajowej awansować do międzynarodowej, wobec czego lansowali się jako internacjonalisci. Trwa to do dzisiaj. Widzimy to w Brukseli. Stąd się bierze jedność kulturowa pomiędzy byłą naszą elitą a brukselską eurokrają. Stąd ta jedność myśli z Angielką Merkel, byłą działaczką FDJ (młodzieżówki komunistycznej partii NRD). Sprawia to wrażenie małpiarni powiązanej ogonami. Jeden drugiego wspiera i jeden od drugiego jest zależny. Stąd to zwieranie szeregów. Od jakiegoś czasu elity europejskie straszą „populizmem”. Jean-Claude Juncker mówił, że obowiązkiem Unii Europejskiej jest „zablokować drogę populizmowi”. Znaleźli wroga. Oni bez wroga nie potrafią. Uważają, że społeczeństwo nie ocenia trafnie i rzetelnie, trzeba mu wszystko wskazać palcem. To też świadczy o pogardzie do zwykłych ludzi czy – jak to się kiedyś nazywało – do mas.

► Ale czy środowisko tych elit ma podstawy do kompleksów?

Proszę zwrócić uwagę, że wielu ludzi z pokolenia „Solidarności” było zmuszonych do emigracji, przez co poznali świat i nabrali nowej perspektywy. To kapitał, którego elita PRL-u nie nabyła, mimo częstych wyjazdów zagranicznych. Dla nich najważniejsze było oszczędzić na delegacyjnej diecie i przywieźć zachodnie dobra. Zawsze „mieć” było dla nich ważniejsze niż „być”. Jak wyrzucono mnie z Polskiego Radia, po weryfikacji, pojechałem do redakcji zabrać z biurka prywatne rzeczy i pożegnać się z zaprzyjaźnionym personelem technicznym. Przyniosłem kawę, porządne papierosy, czekoladki, w które zaopatrzyli mnie w celach edukacyjnych punkty pomocy charytatywnej. Chcieliśmy pokazać, że świat nie kończy się na lojalnej pracy w instytucjach partyjno-rządowej propagandy. Jakież było zdziwienie na widok człowieka, który powinien zdechnąć z głodu bez kartelek, a ma lepsze produkty niż te, do których oni mają incydentalny dostęp. A była to wiosna 1982 roku, gdy w Polskim Radiu co jakiś czas robiono loterię, w której można było wygrać puszkę sardynek lub 50-gramowy słoiczek kawy rozpuszczalnej.

► (śmiech)

Tu się nie ma z czego śmiać, takie były realia, w których formowała się elita. Śmieszniejsza była jednak inna historia. Otóż jak wyrzucono mnie z pracy, to przyszli mnie odwiedzić koledzy dziennikarze. Pozytywnie zweryfikowani. Wtedy moja żona pyta: „Napijcie się kawy czy herbaty?”. Oni na to: „No, jeśli można, to kawy”. „Oczywiście, nie ma problemu. Chcecie rozpuszczalną czy sypaną?”. „Jeśli można, to sypaną”. „Dobrze. Arabica czy Columbia?”. Ostatnie pytanie ich dobiło. Myśmy wtedy mieli akurat zapas kawy, bo pomagali nam dziennikarze z całego świata i dobra kawa nie była dla nas czymś ze strefy marzeń. Opowiadam tę anegdotę, by łatwiej było zrozumieć, w jakich kompleksach dorastały obecne elity. Tak jak wtedy ja i moja żona myśleliśmy innymi kategoriami, tak i teraz celebryci myślą innymi. To są dwa równoległe światy.

► Co to oznacza dla tych ludzi?

Mają dwa wyjścia. Pogodzić się z sytuacją. Stanąć przed sobą w prawdzie i przyznać, że Bozia poskąpiła talentu i są w Polsce lepsi niż oni. Drugim wyjściem jest brnięcie w pogardę i podtrzymywanie przekonania o swojej wyższości. Jeśli będą płuć jadłem nadal, to są skazani na porażkę.

► A może jest dla nich jakieś wyjście. Może Polacy przyswoją te argumenty? Przyjmą krytykę, zaczną się z nią utożsamiać?

Ja bym powiedział przewrotnie. Nie powinniśmy się nimi w ogóle zajmować. Należy ich traktować jak pariasów. Nie walczyć tematyki byłych elit. Było, minęło. Nie powinno się ich zapraszać na salony. Niech pogardzają ludźmi w swoich środowiskach. Niech się duszą we własnym sosie. Istniało pojęcie „chajrem”. Zacerpnięta z jidysz żydowska klątwa, oznaczająca wykluczenie ze społeczności. Totalny ostracyzm był najwyższą karą, bo nikt z taką osobą nie rozmawiał, traktowano ją jak powietrze.

► Na taką karę zasłużyły elity III RP?

Oczywiście, że na taką karę zasłużyły. Jeżeli ktoś pogardza Polską, Polakami i tym, co dla nich święte, powinien być skazany na ostracyzm. Niech sobie TVN i TOK FM robią, co chcą, we własnym sosie, ale nikt poważny i przyzwoity nie powinien się tam pojawiać. Niech sobie zieją nienawiścią i pogardą jeden do drugiego, ale bez Polaków. Pies szczeka, karawana idzie dalej. ■



„Edek”, czyli postkomunistyczna półinteligencja przy antypolskiej robocie

Wybory 2015 r. były dla postkomunistycznych oportunistów, uprawnionych kontraktem Okrągłego Stołu jako elita narodowa, szokiem. Środowisko układu mentalnego wywodzące swoją „przodującą rolę” jeszcze ze stalinizmu, a następnie ewoluujące wraz z gomulkowszczyzną i gierkizmem, najwyższą pozycję społeczną osiągnęło, przylepiając się do „Solidarności” jako – jak to trafnie (choć nieświadomie) określił ostatnio redaktor byłego organu KC PZPR Jerzy Baczyński – „peerelowska opozycja demokratyczna”.

► Postęp, czyli walka o przetrwanie sowietyzmu

Cytując klasyka („Bul”), jaka była ta „peerelowska demokracja”, taka i jej „peerelowska opozycja”. Przy Okrągłym Stole okazało się, że w szeregach tej nowo-starej „wiodącej siły narodu” połączyli się w doskonałej komitywie stalinowcy wszystkich sowieckich obrządków – od Jaruzelskiego i Kiszczaaka przez Mazowieckiego, Kuronia i Geremka aż po Reiffa i Osmańczyka. Bezwzględna przewaga liczby stalinowców po stronie opozycyjno-solidarnościowej nad młodszymi o pokolenie właścicielami PRL okresu stanu wojen-



Krzysztof Wyszkowski

TEMAT NUMERU

Co robi *homo sovieticus*, gdy zderza się z demokracją? Orzeka, że większość wyborców nie rozumie własnego dobra, które tylko on – rzekomo postępowy, humanitarny i bezinteresowny *homo sovieticus* – rozumie i wyraża. Takiego zderzenia polski postpeerelowski *homo sovieticus* doświadczył w ubiegłym roku dwukrotnie – w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. W efekcie przeżywamy powtórkę ze sławnego Geremkowego: „Polacy nie dojrzelі do demokracji”.

nego doskonale wyrażała wartość intelektualną i moralną elity postpeerelu, która w Pałacu Namiestnikowskim z inicjatywy KGB/GRU została umocowana do sprawowania „rządu dusz” na całe ćwierćwiecze III RP – od udanych spisków w Magdalence do katastrofy wyborczej 2015 r. Ten nierozzerwalny związek starego ze starym trafnie wyraził Andrzej Stelmachowski, przytaczając, podczas obrad ostatniej przed Okrągłym Stołem narady w Magdalence, dewizę ukutą 40 lat wcześniej, podczas zawierania podobnie epokowego porozumienia, czyli połączenia PPR z PPS w PZPR: „Lepiej zlać się razem, niż zes...ć osobno”.

Takie to „przepastne wyżyny” duchowości Urbanowo-Geremkowej zostały okrzyknięte jako najdoskonalsza aktualnie interpretacja tych wartości, których realizację okrągłostołowi partnerzy podjęli już jako uczniowie i wykonawcy testamentu Stalina: postęp – czyli walka o przetrwanie sowytyzmu; h(g)umanizm – czyli eliminacja polskiej kultury narodowej; europejskość – jako nowa wersja bolszewickiego internacjonalizmu; laickość – czyli walka „inteligencji postępowej” z religią.

► Falszywie i obraźliwie wymyślony naród „Edków”

Aż tu nagle, ni stąd, ni zowąd, jak jakiś nowy Cud nad Wisłą (tak w poufnych rozmowach z komunistami Jacek Kuroń nazwał wynik wyborów z 4 czerwca 1989 r. i... razem z nimi dokonał ich sfalszowania) jaruzelszczyzna z mazowiecszczyzną i kiszczakowcy z michnikoidami odesłani zostali na „śmietnik historii”. Czy można się dziwić, że okrągłostołowe elity zawyły? Czy można się dziwić, że zawył „mędrzec Europy” Lech Wałęsa? Czy można paźwić się, że wtórował mu w wyciu jego piewca Andrzej Wajda? Czy w ogóle można się dziwić, że gromady pieczeniaryzy i utrzymanku III RP wyły i wyją do dzisiaj?

Nie, żadną miarą nie można się ani dziwić, ani im prawa do wycia i szlochów odmawiać. Postkomunizm szezeli i już do życia nie wróci. Dla jego beneficjentów jest to cios zaiste śmiertelny, bo na horyzoncie nie wi-dać żadnych znaków powtórzenia się takiej okazji do przechwycenia władzy nad Polakami, jaką kiedyś stworzył im terror NKWD-UB. Zamiast Armii Czerwonej instaluje się w Polsce brigada pancerna USA. Niech więc wyją i lżą tych, których winią za upadek polskiego sowytyzmu. Może tylko jedna rzecz warta jest w sposobie oplakiwania tej klęski sprostowania. Otóż jako przyczynę załamania się ich sytego świata uznali nie własną, wywodzącą się jeszcze ze stalinizmu, zdradę wobec narodu, nad którym chcieli sprawować dyktatorską władzę, a ten właśnie naród, obywatela, który wyraził swoją wolę w demokratycznych wyborach.

Po upływie pół roku, gdy przegrani oszalamiali się złudzeniami o szybkiej katastrofie, do której w Polsce musi dojść, gdy to nie oni będą sprawować pełnię monopolistycznej władzy, siła rzeczywistości zaczęła do nich wreszcie docierać i zmuszać do refleksji. Ponieważ jednak ludzie przeświadczeni o automatyzmie zasady, że „raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy”, nie są zdolni do przyznania się do własnego antypolskiego wyobcowania, więc, idąc tropem powiedzenia Bertolda Brechta, „rozwiązali” po wyborach naród „niesłuszny” i wybrali sobie na winnego ich nieszczęściu inny naród. Całkowicie zmyślony, falszywie i obraźliwie wykoncypowany naród „Edków”.

► Kutz mówi „Edkiem” lepiej niż Mroźek

Orzekli, że to nie Polacy, jako tacy, pozbawili ich władzy i jej owoców, a dokonał tej zbrodni „Edek”, który wychynął z zepchniętej dotychczas w polityczny, społeczny i kulturowy niebyt podświadomości Polaka, by pod wodzą PiS dokonać bezlitosnej rzezi posowieckich niewiniątek. To właśnie „Edek” ma być tym obrzydliwym potworem, którego, dotychczas skutecz-

nie represjonowane, barbarzyńskie bestialstwo. Jarosław Kaczyński uwolnił z głębi jaźni Polaka-katolika. Taki to właśnie skoczył im do gardła „Edkowy” Polak, wulgarny prostak, moher, ćwierć-inteligent, zwykły cham, opisywany przez Sławomira Mrożka jako „osobnik w najwyższym stopniu mętny i podejrzany. Koszuła w brzydką kratę, rozpięta zbyt głęboko na piersiach, wypuszczona na spodnie, z podwiniętymi rękawami. Spodnie jasnopopielate, szerokie, brudne i pomięte, buty jaskrawożółte i skarpetki kolorowe przesadnie. Drapie się co chwila w grube udo. Włosy długie i tłuste, które lubi przeczesywać grzebykiem wyjmowanym z tylnej kieszeni spodni. Mały, kwadratowy wąsik. Nieogolony. Na ręce zegarek w złotej bransoletce”. Taki to ma być rzekomo polski większościowy wyborca. „zakamieniały katol” chodzący pieszo na Jasną Górę i odmawiający zrozumienia pożytku, jaki mógłby osiągnąć, gdyby wymusił na swoim synu zostanie gejem, a na córce dokonywanie aborcji w Boże Narodzenie.

Kapłani religii postsowieckiego stosowanego, przemieniając polskiego wyborcę w „Edka”, nie zauważyli, że każdy, kto nie uwierzy od razu w „Edkakuwację”, a zairzy do Mrożkowych didaskaliów, dostrzeże, iż do bohatera „Tanga” ludzko podobni są (może z wyłączeniem kwadratowego wąsika) luminarze tego okrągłostołowego ordynku, czyli ich własni celebryci – mianowicie, wypisz wymaluj: Adam Michnik, Lech Wałęsa, Kazimierz Kutz.

Że Michnik z Wałęsą to „osobnicy w najwyższym stopniu mętni i podejrzeni”, wie każdy. Trzeba więc podać, że Kutz im w żadnej z tych mętności nie ustępuje. Kutz mówi „Edkiem” lepiej, niż Mrozek by to potrafił: (o Paradyzie Równości) „Chodzę w paradach, bo jestem człowiekiem”; „Gdyby postarać się o ranking wśród artystów i ludzi związanych ze sztuką, okazałoby się, że w większości należą oni do środowiska gejowskiego”; „Jestem ze Śląska, czyli Znikąd. Bo kim są Ślązacy? Trochę mówią po polsku, trochę po niemiecku. Odporni na mity niepodległościowe. Naród niewolników, naród pracy”. Mrożkowy „Edek” mawiał: „zależy, jak leży”, a Kutz (w odpowiedzi na pytanie o receptę na życie pełne energii, pomysłów i wierności własnym poglądom – „Fakty” TVN) dorównał mu i jeszcze go przewyższył: „Trzeba mieć takie dobre piórko w dupie”.

To by było na tyle o mentalności ludzi „peerelowskiej opozycji demokratycznej”, czyli pookrągłostołowego układu niedemokratycznego.

► Mylił się Kuroń, mylił się Brandys...

Co jednak odpowiedzieć tym porządnym ludziom, którzy w 36. rocznicę Wielkiego Sierpnia szczerze pytają, czy odstąpienie od „Solidarności” ludzi takich, jak Wajda, Michnik, Wałęsa czy Kutz, nie

dezawuuje czegoś z tych wartości ruchu solidarnościowego, które kiedyś zachwyciły cały świat?

Trzeba im powiedzieć, że ci ludzie to oszuści, którzy potrafili ukraść i wykorzystać dla nieprawych celów hasła i znaki wielkiego ruchu narodowego. Tacy jak Andrzej Wajda, twórca spółki wydającej „GW”, który tak uzasadniał swój oportunizm: „gdyby wtedy, w roku ’45, inteligenci: profesorowie uniwersytetów, architekci i my, rozpoczynający świadome życie młodzi artyści... Gdybyśmy my wszyscy powiedzieli »nie« – kim byśmy byli dzisiaj? Wałęsa nie umiałby czytać ani pisać, a nami rządziłby Łukaszenko”. Otóż to nieprawda – to właśnie przez sowieckie, antycywilizacyjne zaangażowania polskiej inteligencji „gorszego sortu” Wałęsa do dziś nie umie czytać i pisać i dlatego chciał zostać polskim Łukaszenką, a tacy jak Wajda komponują na jego cześć iście po stalinowsku kłamliwe panegiryki.

„Edek” to właśnie „Bolek”, a Michnik kłękający przed nim i zapewniający go, że jest geniuszem, to Eleonora, żona – tak ludzko podobnego do Wajdy – Stomila.

A kim była i jest „Solidarność”? W grudniu 1980 r., podczas obrad Związku Literatów Polskich, Kazimierz Brandys, też były stalinowiec, ale uczciwszy od Wajdy, przyznał: „Od lipca i sierpnia mamy wrazenie, jakbyśmy się obudzili w nowym społeczeństwie, którego nie znaliśmy. Wydawało nam się, że jesteśmy samotną inteligencją wysepką w masach, które obojętnieją, zapominają o swoich prawach, które żyją w małej codzienności i sprawy wartości przestały je interesować. To była nasza wielka pomyłka. Dziś chyba trzeba się do niej przyznać. Okazało się, że mamy inteligencję, która potrafi współdziałać z załogami robotniczymi i że robotnicy – ten wielki niemowa, jak ich nazywaliśmy bez znajomości ich reakcji, sposobu myślenia, świadomości – są częścią narodu, wykazującą inteligencję i charakter”.

Wtedy nawet byli stalinowcy nie odwagili się nazywać ludzi „Solidarności” „Edkami”. Dlatego już przed wielu laty pisałem: Należy docenić odwagę Brandysa, dzięki której potrafił przyznać się do tak głębokiej nieznajomości społeczeństwa, w którym żył. W tym czasie nawet działacz KOR Jacek Kuroń był przekonany, że system komunistyczny skutecznie skorumpował robotników i nie są oni zdolni do dalszego przeciwstawiania się komunistom. Mylił się Kuroń, mylił się Brandys, myliła się większość polskich elit, bo to właśnie one zostały skorumpowane i znieprawione przez PRL albo były wprost jej nieautentycznym tworem. Sukces Wolnych Związków Zawodowych możliwy był tylko dlatego, że prawdziwe było przekonanie działaczy, iż lud polski jest patriotyczny i wierny dobru wspólnemu.

Tak, lud polski jest wierny i patriotyczny. Dlatego we właścicielach III RP dostrzegł „Edka” i dlatego odeślał go do teatru groteski. I niech tak zostanie. ■



Ryszard Czarnecki

„Elita” jako margines społeczny

Pogarda kosmopolitycznych elit III RP, mentalnie tkwiących często w PRL, jest skuteczna coraz mniej.

Pogardy są dwie. Jedna nienawistna, brutalna, pogarda tych, co w większości, którzy chętnie się śmieją, bo „skrzywdzili człowieka prostego” (noblista Czesław Miłosz). Ale jest też pogarda... szlachetna. Mówię serio. Pogarda jednostki wobec przemocy większości, przemocy totalitarnego systemu, utrzymywanego dzięki odwołaniu się do najniższych ludzkich instynktów. O takiej pogardzie pisał ten, który Nobla nie dostał, ale był pewnie większym poetą od dwojga naszych ostatnich literackich noblistów – Zbigniew Herbert. „Niech nie opuszcza Cię twa siostra Pogarda dla szpiclów katów i tchórzy. Oni wygrają [...]”... I choć nie chcemy się zgodzić z autorem „Pana Cogito”, że „oni wygrają”, to trudno nie zgodzić się z resztą. Ale dziś nie o pogardzie jednostki wobec systemu i przemocy pisać trzeba, lecz o pogardzie elit wobec własnego społeczeństwa. No, właśnie: czy własnego? Mam wrażenie, że owe „elity” są tak wyobcowane, wyalienowane z narodu, że poza związkami formalnymi – ta sama narodowość w paszporcie, miejsce urodzenia i język – nie prawie ich ze wspólnotą narodową nie łączy.

Oto Daniel Olbrychski zlorzeczający na polskich kibiców siatkarskich, jednych z bardziej kulturalnych skądinąd, za to, że ośmielają się gwizdać na rosyjskich siatkarki (sic!), wtedy gdy ci serwują (ale nigdy w czasie hymnu) – to klasyczny przykład odlotu. Oto Krystyna Janda, która pluje na obecny rząd, ale jakoś nie gardzi dotacjami od niego (zostały one zmniejszone, ale wciąż są doprawdy pokaźne), wypowiada się jak właściciel folwarku dotknięty do żywego, że pańszczyźniani chłopci mają trochę inne aspiracje niż on sam.

Pisał lewicowy klasyk Tadeusz Boy-Żeleński: „Bo paraliż postępowy najzaciejsze trafia głowy”. Ale to akurat nie ten przypadek, bo to żadne zacne głowy. Ani też wielkie, bo nie są to ludzie, którzy trafili do elity dzięki własnej pracy i własnym osiągnięciom, tylko są do niej „nominowani” według klucza polityczno-ideologiczno-towarzysko-pochodzeniowego. To pseudowielkość kreowana czy nadmuchiwana do

granic możliwości. Kryteria pobytu w takiej „elicie” są czytelne: „Gazetę Wyborczą” traktujesz niczym laickie Pismo Święte, do Michnika się modlisz, Kaczyńskiego nienawidzisz, Macierewicza obśmiewasz, Kościół w najlepszym razie dzielisz na „toruński” i „łagiewnicki”, Żołnierze Wyklęci są dla ciebie minimum kontrowersyjni, największym niebezpieczeństwem jest polski nacjonalizm, a przywódczynią strajku Sierpnia 1980 była Henryka Krzywonos, a nie Anna Walentynowicz. Odlot? Odlot, bo to on właśnie z jednej strony jest powodem pogardy, a z drugiej – jej skutkiem.

Im bardziej odlatujesz, tym bardziej gardzisz polskimi mrówkami, które gdzieś tam, na dole, uwijają się, aby utrzymać swoje rodziny, są oczywiście grzeszni, ale, zgodnie z tradycją, pobożni, po staroświecku Polskę kochają, a hymn narodowy jest dla nich powodem, by stawać na baczność i się wzruszać, a nie obciachem – jak dla poety Antoniego Pawlaka, co pokazał w swojej „Książeczce wojskowej”, długo przedtem zanim został rzecznikiem prezydenta Gdańska, pana Adamowicza (pozdrowienia do więzienia?). Pogarda ustanowionego (to dobre określenie) „establishmentu” wobec narodu kończy się zawsze katastrofą dla elit – przynajmniej w dłuższym wymiarze czasowym, w okresie „długiego trwania” (tak, tak, Fernand Braudel). Pogarda jest groźna tylko wtedy, gdy jest skuteczna. Pogarda kosmopolitycznych elit III RP, mentalnie tkwiących często w PRL, jest skuteczna coraz mniej. Tym bardziej staje się obciachem samym w sobie, żenadą. Taka pogarda prowadzi do intelektualnego, politycznego, towarzyskiego getta. To najprostszą drogą do stopniowej, ale kompletnej utraty wpływów. A zatem: niech gardzą. „Plwajmy na to” – ale nie „zstępujmy do głębi” (tak, tak, Adam Mickiewicz, tylko róbmy swoje, wykorzystując instrumenty, które dała nam kartka wyborcza wiosną i jesienią 2015 r.

Nic tak nie śmiesz, jak pogarda do społeczeństwa prezentowana przez margines społeczny – a tym staje się „establishment” i bywszy „mainstream”. ■

Sławomir Kmiecik

Sławomir Kmiecik jest m.in. autorem książek: „Przemysł pogardy. Niszczenie wizerunku prezydenta Lecha Kaczyńskiego w latach 2005–2010 oraz po jego śmierci” i „Przemysł pogardy 2. Mowa nienawiści wobec Lecha i Jarosława Kaczyńskich. przed i po 10 kwietnia 2010 r.”

Pogarda totalna

„Ja nie obawiam się nienawiści, ja się obawiam pogardy” – stwierdził Thomas Woodrow Wilson, 28. prezydent Stanów Zjednoczonych.

Ten laureat Pokojowej Nagrody Nobla, prawnik, były rektor Uniwersytetu Princeton, dobrze wiedział, co mówi. Nic tak bowiem nie deprawuje życia publicznego, jak zaplanowane i zorganizowane pogardzanie ludźmi. W Polsce ten proceder o antydemokratycznych korzeniach ma, niestety, długą tradycję. Rechot nad ofiarami tragedii smoleńskiej to jego kolejna, drastyczna odsłona.

Kto i kiedy wprowadził pogardę do polskiej polityki? Najprostsza odpowiedź brzmi: funkcjonariusze dwóch największych, zbrodniczych systemów totalitarnych XX wieku, czyli nazizmu i komunizmu. To począwszy od września 1939 r. – wraz z podbiem, podziałem i okupacją Polski przez III Rzeszę Niemiecką oraz Związek Sowiecki – zaczęliśmy jako naród i społeczeństwo doświadczać, czym potrafi być prawdziwa nienawiść, dyktowana względami rasowymi i klasowymi, ideologicznymi i politycznymi. Jej potworne apogeum stanowiły obozy zagłady, komory gazowe, masowe egzekucje, zsyłki, gułagi i doły śmierci, ale trzeba pamiętać, że pogarda zawsze ma początek w sferze werbalnej, nienawiść za każdym razem objawia się najpierw w słowach. „Uderzenie różgi wywołuje sińce / uderzenie języka łamie kości. / Wielu padło od ostrza miecza. / ale nie tyłu, co od języka” – można przeczytać w starotestamentowej księdze Mądrość Syracha (28, 17–18).

Daniel Goldhagen w wydanej w 2012 r. książce „Wiek ludobójstwa” zauważył, że polityka pogardy, znieważania i wyszydzenia ostatecznie i nieuchronnie prowadzi do fizycznego eliminowania określonych ludzi czy całych grup narodowych bądź społecznych. Wobec tego amerykańskiego badacza, autora „Gorliwych katów Hitlera”, można mieć bardzo duże zastrzeżenia, gdyż opisując ludobójstwo w XX wieku, nie wspominał nawet o Katyniu czy rzezi na Wołyniu, zaliczył

natomiast do eksterminacji powojenne wysiedlenia Niemców z Polski, ale jedno trzeba mu oddać: trafnie wykazał, że fizyczne niszczenie ludzi zawsze zaczyna się od języka, od obelg i wyzwisk, od depersonalizacji i odczłowieczania osób czy grup, które chce się unicestwić.

► Niewinne ofiary złych emocji

Z powszechnym pogardzaniem milionami ludzi i aktami ludobójstwa trudno oczywiście zestawiać bezpośrednio proceder „zabijania drwiną” prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nazwany po Smoleńsku „przemysłem pogardy”, ale wypadła podkreślić, że mechanizm wywołania złych emocji był w tym przypadku, niestety, dość podobny. Najpierw bowiem mieliśmy „tylko” dowcipy i skecze, prześmiewcze karykatury i fotomontaże, potem płynące już wprost ze świata polityki inwektywy w rodzaju: „cham”, „dureń”, „wariat”, „psychopatyczna postać”. Następnie wielodniowe kampanie polityczno-medialne, na przykład tę z „małpkami”, czyli buteleczkami z wódką, podczas której próbowano wykazać w mediach, że prezydent jest chorym, zamroczonym alkoholem niezdolnym do pełnienia urzędu. A wreszcie tak wyrachowane zagrania, jak pozbawienie głowy państwa rządowego samolotu i zarazem rozpętanie publicznego rechotu wokół tego, że „nieudolny Kaczor” nie będzie miał czym dotrzeć na unijny szczyt do Brukseli.

Kulminacją tej produkowanej na skalę przemysłową pogardy wobec głowy państwa okazał się cały ciąg zniewag i szyderstw upowszechnianych po katastrofie smoleńskiej. Dość przypomnieć serię wystąpień i publikacji Janusza Palikota. Najpierw, zaraz po tragedii z 10 kwietnia 2010 r., były to przesyłane znajomym w SMS-ach pseudodowcipy o „kacze po smoleńsku” czy „cudownej przemianie kurdupla w męża stanu”. A potem wypowiedzi o krwi na rękach Lecha Kaczyńskiego (lipiec 2010 r.), zbezczeszczonej Jasnej Górze przez smoleńskie wota (wrzesień 2010 r.), sprofanowanym Wawelu jako miejscu pochówku prezydenta (październik 2010 r.), pochowaniu Lecha Kaczyńskiego wraz z polską głupotą (listopad 2010 r.) czy pijackiej wyprawie do Smoleńska (listopad 2012 r.). Temu szydercy z Biłgoraja wtórowali inni, znani politycy, wśród których wyróżniał się Lech Wałęsa, mówiący z kpina o tym, że bohater tworzony na siłę ponosi winę za katastrofę (kwiecień 2010 r.) i że jedynym osiągnięciem Lecha Kaczyńskiego było to, iż zginął (wrzesień 2010 r.).

To wszystko – za życia i po śmierci prezydenta – było wręcz klasycznymi przykładami pogardy, zgodnymi z jej podręcznikową definicją, która wyjaśnia, iż pogarda to uczucie bardzo silnej niechęci połączone z poczuciem własnej wyższości. Innymi słowy, jest to stan uczuciowy będący mieszaniną braku szacunku i przemożnej niechęci, zbliżony do nienawiści, ale dodatkowo z czynnikami wywyższania się ponad ofiarę tych złych emocji. Pogarda to także: lekceważenie, nieposzanowanie, obcesowość, szyderstwo, odraza, wstręt.

Tej oczywistości nie chciał, czy nie potrafił, przyjąć do wiadomości publicysta lewicowego tygodnika „Polityka”, Adam Szostkiewicz, który pół roku po katastrofie smoleńskiej, 2 października 2010 r., przekonywał: „Pogarda to traktowanie innego jako „pod-człowieka”. Żadna znana mi wypowiedź publiczna krytyków czy polemistów prezydenta Kaczyńskiego, jego brata lub innych przedstawicieli i zwolenników pisowskiego obozu polityczno-kulturowego, nie spełnia tej definicji”. Tymczasem nieco ponad dwa tygodnie po tych wywodach, 19 października 2010 r., były członek PO, Ryszard Cyba, w biurze poselskim Prawa i Sprawiedliwości w Łodzi z zimną krwią zamordował z broni palnej jednego z pracowników biura, Marka Rosiaka, a drugiemu, Pawłowi Kowalskiemu, zadał kilka ciosów nożem, raniąc go ciężko w szyję przy próbie poderżnięcia gardła. Napastnik w czasie ataku krzyczał w szale, że nienawidzi PiS i że chce zabić Jarosława Kaczyńskiego. Było to ewidentne, polityczne zabójstwo dyktowane pogardą, którą obóz liberalno-lewicowy przez lata sączył w mediach głównego nurtu.

Absurdalnie na tym tle brzmiały więc słowa Adama Szostkiewicza, który dowodził, że „przemysł pogardy” to jedynie modne określenie w słowniku polityków

PiS, które „ma dyskredytować wszystkich, którzy mieli lub mają złe zdanie na temat prezydentury Lecha Kaczyńskiego”. Publicysta stwierdził, że jemu pogarda „kojarzy z systemami totalitarnymi i z tak zwanym przedsiębiorstwem Holokaust”. Skojarzenie, trzeba przyznać, nawet trafne, jeśli przyjrzeć się korzeniom języka nienawiści oraz temu, jak wiele wzorców z III Rzeszy zostało przeniesionych do III RP.

► Język pełen nienawiści

O pogardzie wszechobecnej w języku hitlerowców najpełniej wypowiedział się Victor Klemperer, urodzony w Gorzowie Wielkopolskim (wtedy Landsberg an der Warthe) niemiecki językoznawca i historyk żydowskiego pochodzenia, który w 1947 r. opublikował słynną pracę „LTI – notatnik filologa” (LTI, czyli *Lingua Ter-tii Imperii* – Język Trzeciej Rzeszy). Autor, przeciwnik i ofiara nazistowskiego totalitaryzmu, który po wojnie przysłał, niestety, do totalitaryzmu komunistycznego w NRD, opisał bardzo wnikliwie, jak pod rządami hitlerowców zmieniła się mowa Niemców, a także ich wartości i postawy. Poprzez analizę semantyczną wykazał, że niemieczyna została nasączona licznymi elementami pogardy i stała się narzędziem manipulacji i indoktrynacji. To naziści pod wodzą Hitlera stworzyli ideologię rasowej wyższości Niemców nad osobami i grupami społecznymi uznany za małowartościowe (niem. *minderwertig*). Konsekwencją językową tych poglądów był cały zestaw pogardliwych określeń, które z lubością upowszechniały media III Rzeszy. Celował w tym zwłaszcza tygodnik „Der Stürmer” („Szturmu-wiec”) pod kierownictwem Juliusa Streichera, który miał charakter zaciekle antysemicki oraz antyklerykalny i antykapitalistyczny. Normą było tam przedstawianie Żydów jako karykaturalnych postaci ze zniekształconymi, oszpeconymi ciałami oraz nazywanie ich zgniłymi, pasożytami, glistami, gnidami, chwastami.

Skupmy się na chwilę na tym ostatnim określeniu, wracając do praktyki propagandowej III RP. Lewicowy publicysta Jacek Żakowski tropi wytrwale mowę nienawiści w szeregach PiS, apeluje o kulturę słowa i wyższy poziom debaty publicznej, lecz sam nie zawahał się nazwać „chwastem” nie lubianego przez siebie polityka. W wywiadzie dla portalu Gazeta.pl (24 sierpnia 2013 r.) stwierdził, że Jarosław Gowin „jest to jeszcze gorszy chwast polityczny niż Jan Rokita czy Zyta Gilowska”. A co to jest „chwast”? Element niepożądany, coś szkodliwego, do usunięcia, do fizycznego zniszczenia. Nie tylko w polskim przekazie kulturowym „chwast” jest rozumiany jednoznacznie jako paskudztwo do wytepienia. Każdy chyba pamięta słynną scenę z filmu Władysława Pasikowskiego „Psy 2. Ostatnia krew”, w której łysy, antypatyczny więzień (grany przez Sławomira Su-

leja) z niesmakiem wypowiada słowa: „Wyrwałem chwastą”. Znaczyło to innymi słowy: „Zabiłem bez skrupułów ludzi niepotrzebnych, zbędnych, którzy nie wiadomo, po co żyli na tym świecie”. Co może być bliższe językowi nazizmu w opisie człowieka niż nazwanie osoby „chwastem”?

Ten sam Jacek Żakowski już kilka lat wcześniej, także w portalu Gazeta.pl (20 października 2008 r.), stwierdził w odniesieniu do Lecha Kaczyńskiego: „Prezydent ma problemy psychiczne, nie panuje nad sobą, nie panuje nad tym, co mówi”. Chodziło – wypada przypomnieć – o rzekome, bo nieudokumentowane na żadnym nagraniu, groźby prezydenta pod adresem dziennikarki Moniki Olejnik po wywiadzie w Brukseli.

Zarzucanie innym choroby psychicznej, odsyłanie przeciwników do „psychuszek”, wyzviska i dyfamacje to także broń z arsenału systemów totalitarnych, stosowana zwłaszcza w Związku Sowieckim.

► Depersonalizacja przeciwników autorytarnej władzy

Komunistyczną mowę nienawiści (zwaną nowomową) literacko opisał George Orwell w opublikowanej w 1949 r. antyutopii „1984”. Nawet jednak bez znajomości tej powieści, pokazującej jak język może być wykorzystany przez obłądną ideologię do wartościowania pojęć i zjawisk oraz niszczenia ludzi, większość Polaków pamięta lub zna z przekazów system pogardy obowiązujący w PRL. Jego symbolem pozostaje propagandowe określenie „zapłuty karzeł reakcji” używane wobec żołnierzy Armii Krajowej, a pochodzące z plakatu Włodzimierza Zakrzewskiego, wydrukowanego w Łodzi już w 1945 r. Cała historia komunizmu w Polsce to niekończący się ciąg mowy nienawiści wobec oponentów ideowych i politycznych. Zaraz po zakończeniu II wojny światowej komuniści, aby zożydzić opozycję niepodległościową i żołnierzy antykomunistycznego podziemia, wprowadzili do obiegu publicznego takie inkweytyw, jak: faszysta, sprzedawczyk, zdradca narodu, wróg ludu, podżegacz wojenny, sługus imperializmu, agent Watykanu, ciemne siły reakcji, leśni bandyci, reakcyjne bandy, pomioty sanacji. Ta lista ciężkich obelg z lat 40. i 50. wręcz nie ma końca.

W Marcu 1968 w powszechnym użyciu propagandowym były określenia w rodzaju: syjoniści, imperialiści, rewizjoniści, V kolumna. Powrócił wtedy do mediów, praktykowany już w latach 50., upokarzający zwyczaj pisania „wrogich” nazwisk małą literą i w liczbie mnogiej. W dekadzie lat 70. przeciwników systemu nazywano warchołami, a „Trybuna Ludu” cytowała listy „zwykłych Polaków”, którzy o działaczach KOR wypowiadali się następująco: „W Polsce, gdzie wszyscy żyjemy za pieniądze zarobione uczciwą pracą, tacy ludzie,

którzy utrzymują się za cudze pieniądze, zasługują na pogardę”.

Stan wojenny wprowadzony 13 grudnia 1981 r. to odrębny rozdział w szerzeniu nienawiści i przemocy wobec inaczej myślących. Mieliśmy wtedy do czynienia ze szczytem zożydzania i depersonalizacji przeciwników autorytarnej władzy. Tak jak w latach stalinowskich programem politycznym komunistów była manifestowana nienawiść i pogarda oraz idea walki z wrogiem wewnętrznym, która kończyła się strzelaniem do niewinnych ludzi.

Dwoje polskich poetów-noblistów, Wisława Szymborska i Czesław Miłosz, mocno kolaborowało z komunizmem, uczestnicząc w propagandowej machinie pogardy, ale ich słynne poetyckie frazy mają dzisiaj nadzwyczajną wymowę. Szymborska ubolewała: „Spójrzcie, jaka wciąż sprawna, / jak dobrze się trzyma / w naszym stuleciu nienawiści”. Miłosz z kolei napominał: „Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta/ Możesz go zabić – narodzi się nowy. Spisane będą czyny i rozmowy”.

Wiersz Szymborskiej pt. „Nienawiść” w 1992 r. „Gazeta Wyborcza” umieściła na pierwszej stronie jako głos sprzeciwu wobec lustracji w wykonaniu Antoniego Macierewicza, przedstawianej jako „polowanie na czarownicę” i „niszczenie ludzi”. Paradoks historii sprawił, że ten sam utwór można obecnie odczytywać jako oskarżenie przeciwko tym wszystkim, którzy mieli go na sztandarach, a obecnie sami nie liczą się z wrażliwością, godnością i dobrami osobistymi innych.

Z kolei wiersz pt. „Który skrzywdziłeś” Miłosz napisał w 1950 r. w Waszyngtonie, kiedy w pełni rozumiał już tragiczne skutki funkcjonowania systemu totalitarnego. Poeta obnażył istotę despotycznej władzy, która nie dość, że krzywdzi ludzi, to jeszcze z nich drwi. Utwór ten nabierze szczególnej wymowy obecnie, jeśli pod pojęcie „władcy” wstawimy potężny polityczno-medialny system zwany przemysłem pogardy, a za „człowieka prostego” uznamy ofiary tego niszczącego proceduru.

W posługiwaniu się pogardą – trzeba dodać – biegli są jednak nie tylko politycy i media. Muzyk Zbigniew Hołdys dwukrotnie w krótkim czasie publicznie (w wywiadzie i na Facebooku) nazwał Jarosława Kaczyńskiego wulgarnym słowem na „ch”. Ten sam Hołdys, który wielokrotnie występował przeciwko schamieniu języka w polskiej przestrzeni publicznej. I to jest właśnie wyjątkowo oburzające: przemysł pogardy napędzają ci, którzy (politycznie sympatyzując z Platformą Obywatelską, Nowoczesną czy postkomunistyczną lewicą) drą szaty, że to prawica ujawnia stale swój „gen agresji”, sieje nienawiść i upowszechnia pogardę, zmierzając ku faszizmowi, a tymczasem sami atakują i znieważają oponentów bez umiaru, co jest właśnie cechą myślenia i działania totalitarnego. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... smutek

Papież Franciszek podczas Mszy św. na Campus Misericordiae w Brzegach, na zakończenie XXXI Światowych Dni Młodzieży, zwrócił się do nas z apelem, byśmy nie zamykali się w naszych smutkach, ciągle rozpamiętując doznane krzywdy i przeszłość, ale zwracali się ku Bogu, który zawsze czeka na nas z nadzieją. Bo też „przywiązywanie się do smutku nie jest godne naszej postury duchowej! Jest to w rzeczywistości jakiś wirus, który zaraża i blokuje wszystko, który zamyka wszelkie drzwi, który uniemożliwia rozpoczęcie życia na nowo, ponowny start”.

cim – litość, będąca smutkiem z cudzego zła i cierpienia; czwartym – zazdrość, czyli smutek z powodu czyjegoś dobra. Akwinata podaje również sposoby, którymi można walczyć ze smutkiem. Pierwszy z nich to sprawienie sobie przyjemności, dowolnej, ale godziwej, takiej, która może złagodzić ból, nie będąc źródłem kolejnego zasmucenia. Drugi – wypłakanie się, wylanie z siebie tego, co zasmuca, uwolnienie tym samym duszy z paraliżującego ją smutku. Trzecim lekarstwem na smutek jest przyjaciel i rozmowa z nim, kojąca jego obecność. Czwartym – kontemplacja prawdy, takie

WIELE TWARZY MA SMUTEK. ZAWSZE JEDNAK JEST SYGNAŁEM, BY SIĘ ZATRZYMAĆ, PRZECIWDZIAŁAĆ, BY SMUTEK NIE ZAMIENIŁ SIĘ W REZYGNACJĘ. TA POWODUJE SMUTEK BEZBRZEŻNY, NAD KTÓRYM TRUDNO ZAPANOWAĆ.

Uczucia są immanentną składową naszego życia. Wśród nich – smutek, który przybierać może różne formy. Może być smutkiem „reaktywnym”, uzasadnioną reakcją na stratę kogoś bliskiego, czegoś ważnego, nieosiągnięcie celu, który sobie zamierzaliśmy, bólem spowodowanym utratą tego, co darzyliśmy miłością, bądź tego, co umiłowane jako przedmiot naszego dążenia. Może też być smutkiem, który definiuje niejako całe nasze jęstwo, w którym czujemy się niejako przyparci do ściany tak, iż nie potrafimy się od niej odróżnić. Ten drugi może być konsekwencją pierwszego, ale niekoniecznie wprost. Wiele bowiem twarzy ma smutek. Zawsze jednak jest sygnałem, by się zatrzymać, przeciwdziałać, by smutek nie zamienił się w rezygnację. Ta powoduje smutek bezbrzeżny, nad którym trudno zapanować.

Święty Tomasz z Akwinu wyróżniał, za Janem Damasceńskim, cztery rodzaje smutku. Pierwszym z nich jest zobojętnienie („acedia”), czyli smutek „odejmujący słowa”, pewnego rodzaju „lenistwo” duchowe i smutek z powodu dobra, które trzeba zrobić; drugim – przygnębienie, czyli smutek połączony z pewnym obciążeniem, niepokojem; trze-

zatem działanie, które pozwala nam spojrzeć inaczej na rzeczywistość i oderwać się od przesadnej troski o samych siebie, a także spojrzeć w głąb siebie i dostrzec przyczyny swojego smutku, zarazem wiele się o sobie dowiadując. To także kontemplacja *fulgor veritatis*, jak pisał św. Augustyn, „błysku prawdy” zawartej w przyrodzie lub dziele sztuki. Piąty ze sposobów radzenia sobie ze smutkiem podawany przez Doktora Anielskiego wydaje się bardzo prozaiczny, ale skuteczny: należy się zwyczajnie wykapać i iść spać, kąpiel bowiem i sen przynoszą cielesną ulgę, która łagodzi cierpienia duszy.

Smutek potrafi rozbijać nasze wnętrze, powodować zniechęcenie i niszczyć, może też jednak uspokajać, oczyszczać, otwierać zamknięte dotychczas przestrzenie refleksji nad tym, co ważne naprawdę, a co ważne mniej, co stałe i ulotne. Trudno niekiedy znaleźć siłę do podźwignięcia się, nietłatwo odnaleźć nadzieję. „Bóg jest jednak nieustępliwy w nadziei: zawsze wierzy, że możemy się podnieść, i nie poddaje się, widząc nas przygaszonych i bez radości” – przypomniał również papież Franciszek. ■



Tomasz P. Terlikowski

Ludzko-zwierzęce
hybrydy genetyczne
są już tworzone
w Wielkiej
Brytanii. Teraz
do grupy krajów
finansujących
i aprobujących
takie badanie chcą
dołączyć Stany
Zjednoczone.

Cienka, czerwona, bioetyczna linia

To już nie jest cienka czerwona linia, ale fundamentalna granica, której przekroczenie może się skończyć biologiczną i cywilizacyjną katastrofą. „Manimal” – czyli, jak to z angielska nazywają Amerykanie, ludzko-zwierzęce hybrydy – już powstają, ale na razie można je hodować tylko kilkanaście dni, a później – przynajmniej w dopuszczającej takie badania Wielkiej Brytanii – trzeba je zniszczyć. Czy tak samo jest w Chinach i Korei Południowej (a te dwa kraje pozostają liderami w biotechnologii, która nie jest tam w istocie niczym ograniczona), trudno powiedzieć. Wiadomo jednak, że na razie także ich badania nie przyniosły rezultatów. Gdyby było inaczej, uczeni z tych krajów z pewnością pochwaliliby się nimi na łamach prestiżowych periodyków (o ile badania nie były finansowane z budżetu armii Chińskiej Republiki Ludowej). Teraz do niewielkiej grupy krajów, które w imię rzekomego postępu naukowego będą łamać fundamentalną granicę gatunkową między człowiekiem a innymi gatunkami, dołączają – wszystko na to wskazuje – Amerykanie. Administracja Baracka Obamy zapowiada, że tego typu badania będą finansowane z budżetu federalnego.

► Chimery transgatunkowe

Finansowanie badań nad transgatunkowymi chimerymi zapowiedział już amerykański Narodowy Instytut Zdrowia (NIH). Mają one polegać na tworzeniu zwierzęcych zarodków, w które byłyby wszczepiane ludzkie komórki macierzyste, a wszystko po to – przynajmniej tak zapowiadają naukowcy – by dowiedzieć się więcej o ludzkich chorobach i zbudować modele ich powstawania. – Ten typ ludzko-zwierzęcych organizmów daje ogromne możliwości modelowania chorób, testowania leków, a być może także transplantacji narządów – podkreślał w wywiadzie dla „Washington Times” dyrektor ds. nauki NIH Carrie D. Wolinetz.

Zwolennicy badań zapewniają, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w krótszym lub dłuższym czasie uda im się zrozumieć mechanizmy rozwoju choroby Parkinsona, Alzheimer’a czy cukrzycy. Nie jest, ich zdaniem, także wykluczone, że jeśli uda się wyhodować dorosłe zwierzęta z ludzkimi organami, to staną się one znakomitym źródłem organów koniecznych do przeszczepów. Krowy, świny czy owce z ludzkimi sercami czy wątrobami będą hodowane na specjalnych farmach, a osoby potrzebujące przeszczepu będą otrzymywały identyczny ze swoimi genami organ pochodzący właśnie od takich zmutowanych zwierząt. Wcześniej zaś, bo to, o czym teraz piszę, to – wbrew zapewnieniom entuzjastów – wciąż bardziej

science fiction niż nauka, tworzenie tego rodzaju chimery ma przynieść korzyści w postaci lepszego testowania leków. Jednym słowem, jak zapewniają zwolennicy tego typu badań, same korzyści.

Tyle że to nieprawda. Badania tego typu, by pozostać w przestrzeni nauki, nie odnosząc się jeszcze do kwestii etycznych, mogą mieć zarówno dramatyczne, jak i pozytywne konsekwencje. Nikt nie wie, jakie skutki będą miały przeszczepy od ludzko-zwierzęcych hybryd do człowieka. Nie jest przecież wykluczone, że w ich trakcie dojdzie do poważnych mutacji wewnątrz genomu ludzkiego, które będą przekazywane dalej. Może się również zdarzyć, że choremu człowiekowi wszczepimy jakieś nowe ludzko-zwierzęce choroby, które błyskawicznie rozprzestrzenią się wokół. Tego typu możliwości poważni uczeni także muszą brać pod uwagę. Jest absolutnym brakiem odpowiedzialności mówienie wyłącznie o potencjalnych (warto mieć świadomość, że nadal bardzo dyskusyjnych) korzyściach, a nie zwracać uwagi na zagrożenia.

► Biotechnologiczna puszcza Pandory

Warto też zadać sobie pytanie, co będzie, jeśli możliwe stanie się stworzenie – bo ja wiem – na przykład świni z ludzkim mózgiem albo człowieka ze zwierzęcym mózgiem, który będzie tylko ciałem koniecznym do hodowania organów niezbędnych do przeszczepów? Oczywiście, na razie wszyscy zapewniają, że to niemożliwe i że nigdy się na to nie zgodzą, ale... Wiadomo już, że logika działania naukowców zawsze jest taka sama: gdy okazuje się, że coś jest możliwe, to natychmiast chcą to zrobić. A politycy przerwani możliwym zarzutem, że blokują konieczne badania, zazwyczaj – wcześniej czy później – się na to godzą. Nie jest zatem wykluczone, że za 30 czy 50 lat będziemy się zastanawiać, jaką świadomość ma świnka z mózgiem człowieka i jakie prawa jej przysługują. – To puszcza Pandory – przekonuje biolog z New York Medical College dr Stuart Newman.

A inni krytycy tego pomysłu ostrzegają, że takie eksperymenty mogą doprowadzić do pojawienia się jakichś nowych rodzajów świadomości, o których teraz nie mamy pojęcia, a które mogą na przykład posłużyć do stworzenia bezlitosnych i silnych jak goryle zabójców. I akurat świadomość tego niebezpieczeństwa mają także zwolennicy badań, bowiem i oni przyznają, że nie będą tworzyć hybryd z małpami czelakształnymi. Dlaczego? Bo to mogłoby doprowadzić do wyhodowania nowego gatunku *homo sapiens*... Tyle że to, co teraz wydaje się niebezpieczne, za lat kilkadziesiąt może zostać uznane za wielką szansę, której nie należy zaprzepaścić.

Niemożliwe? Oczywiście, że możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne. – Czy pamiętacie, gdy zaczynała się debata nad embrionalnymi komórkami macierzystymi? – pyta prawnik z Princeton University dr Robert George. – Wtedy zapewniano nas, że chodzi tylko o to, by wykorzystać nadliczbowe, niepotrzebne nikomu, uszkodzone zarodki z *in vitro*, ale przecież nikt nigdy nie będzie chciał tworzyć zarodków, by na nich przeprowadzać badania. Niedługo później zaczęto je już produkować niemal masowo, a dziś robią to wszyscy. I tak samo będzie z tymi badaniami. Oni tylko mówią, że nie będą tego robić, ale gdy stanie się to możliwe, zrobią to. Trzeba mieć bardzo mocno zamknięte oczy, by tego nie dostrzegać – mówi prawnik.

biologia, nie ma miejsca na uznanie duchowości czy wyjątkowości człowieka. A właśnie to przekonanie legło u podstaw nie tylko chrześcijaństwa, lecz także całej cywilizacji euroatlantyckiej. Jego naruszenie to katastrofa dla samorozumienia człowieka.

► Nauka i szantaż emocjonalny

Jedynym argumentem, jaki mają na te niezwykle proste i dość oczywiste stwierdzenia zwolennicy tego rodzaju badań, jest... opinia, że jeśli pozwoli się na tworzenie hybryd, to w krótkim czasie wynalezione zostaną leki czy sposoby leczenia na wszystkie znane (i nieznanne) choroby. A zatem, jeśli jesteś przeciwnikiem chimera, to z pewnością jesteś przeciwnikiem leczenia

NIKT NIE WIE, JAKIE SKUTKI BĘDĄ MIAŁY PRZESZCZEPY OD LUDZKO-ZWIERZĘCYCH HYBRYD DO CZŁOWIEKA. NIE JEST PRZECIEŻ WYKLUCZONE, ŻE W ICH TRAKCIE DOJDZIE DO POWAŻNYCH MUTACJI WEWNĄTRZ GENOMU LUDZKIEGO, KTÓRE BĘDĄ PRZEKAZYWANE DALEJ.

► Respektować granice między ludźmi a zwierzętami

Mocne argumenty przeciwko tego typu badaniom wysuwa także Katolickie Stowarzyszenie Medyczne (CMA), którego przewodniczący doktor Lester Ruppertsberger – w rozmowie z Life Site News – podkreślał, że nie ma i nie może być zgody na tego typu badania. – Unikanie czynienia szkody człowiekowi jest absolutnym fundamentem medycyny – zaznacza i dodaje, że stworzenie tego rodzaju chimera jest atakiem na ludzką naturę. – Tego typu badania są fundamentalnie obce ludzkiej naturze stworzonej przez Boga. CMA uznaje, że istnieją zasadnicze moralne granice oddzielające życie ludzkie od nie ludzkiego. Te granice nie są określane tylko przez kwestie świadomości, genetyki czy biologii, ale przede wszystkim przez fakt stworzenia człowieka przez Boga, na Jego obraz i podobieństwo – podkreśla doktor Ruppertsberger.

Ta opinia jest absolutnie fundamentalna dla dyskusji, jaka się toczy. Otóż zgoda na tworzenie hybryd ludzko-zwierzęcych oznacza w istocie moralne i ontyczne zakwestionowanie fundamentalnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem. Dla zwolenników takich badań, niezależnie od ich deklaracji, w praktyce człowiek jest tylko zwierzęciem, którym można dowolnie manipulować. Nie ma tu miejsca na uznanie, że człowiek to coś więcej niż geny czy

chorób, a do tego postępu w medycynie. Tyle że ten argument ma zerową wartość dowodową. Z faktu, że coś może mieć potencjalnie korzystne skutki, nie wynika bowiem, że jest to moralne. Hitlerowcy w obozach koncentracyjnych prowadzili korzystne z punktu widzenia rozwoju genetyki czy wiedzy o zachowaniu człowieka w ekstremalnych warunkach badania, z których korzystaliśmy przez wiele lat. A mimo to były one głęboko niemoralne.

Dodatkowo zaś nie ma na razie najsłabszych choćby dowodów na to, że stworzenie tego rodzaju chimera będzie miało jakiegokolwiek znaczenie dla nauki czy leczenia chorób. Warto przypomnieć, że gdy przekonywano do tworzenia komórek macierzystych z zarodków, także mówiono, że będzie można dzięki tym badaniom leczyć wszystko. I co? I nic, bowiem jak przekonuje biolog Douglas Melton, który zajmuje się na Uniwersytecie Harvarda badaniami nad komórkami macierzystymi, choć wszystko wyglądało bardzo prosto, to, niestety, nigdy nie zadziało. I korzyści z tamtych badań jak nie było widać, tak nie ma ich nadal. A jeśli już coś z owych badań wynika, to nie w przypadku zarodkowych komórek macierzystych, lecz komórek macierzystych pobieranych od osób dorosłych – to, co warto sobie uświadomić, nie jest kontrowersyjne moralnie.

Jedynym słowem, zgoda na badania nad chimera, potencjalnie bardzo niebezpieczna, nic nikomu nie da. A jeśli się ją promuje, to tylko po to, by po raz kolejny zniszczyć ludzką godność i wyjątkowość. ■



Robert Tekieli

Oczy demonów

Chciałam się zabić, podciąłam sobie żyły”. Dopiero wtedy zaczęło się jej piekło – czytam opowieść o przemocy seksualnej. Opuszczeni przez świat jazydzi, dzieci wydane na gwałt, oglądasz je potem na filmach porno. – Pornografia to wolność, kogo obchodzi, co ogląda dorosły człowiek? – krzyczą biedni ludzie. Oglądając porno, dając klikalność tym stronom, stajesz się gwałcicielem dzieci. Czy chcesz o tym wiedzieć, czy nie. Zaciśnięcie oczu nie uchroni cię przed pędzącym pociągami, nie zamykasz oczu, przechodząc po pasach.

fot. Simon Carr/Flück/CC

Ojciec Aleksander Posacki, od którego uczyłem się, pisząc moje pierwsze książki o zagrożeniach duchowych ukrytych we współczesnej kulturze, napisał na swoim profilu FB:

„Dziś św. Bartłomieja Apostoła. Apostołował w Indiach i Armenii. Żywcem obdarty ze skóry.

JEZUS na niego patrzył. Widział go pod drzewem afirmującym Spojrzeniem Miłości. Patrzył Oczami Boga. Zobaczył w nim DOBRO, człowieka, »w którym nie ma podstęp«, choć z pewnością Nathanael miał wiele wad w sercu i stereotypów w głowie: »Co dobrego może być z Nazaretu?»

JEZUS jakby nie zwraca na to uwagi, choć przecież to zwątpienie czy umniejszenie Jego Osoby ze strony Nathanaela.

Takie jest »spojrzenie« demonów i wielu ludzi. Obdzierające żywcem ze skóry, znaczenia, dobrej opinii. Oczy demonów i wielu ludzi zarażonych ich duchem, ich resentymentem, widzą WSZYSTKO od złej strony, czyhają na najmniejsze potknięcie, szukają słabych punktów, by uderzyć, oskarżyć, zabić (Ignacy Loyola, »Ćwiczenia Duchowne«).

Jest to »złe spojrzenie«. Podejrzliwie, pogardliwe, umniejszające, kontrolujące, oskarżające, zabijające, nie dające szansy, ani nadziei. »Co dobrego może być z Nazaretu?«.

► Inicjacja to akt woli

Napisałem kilka książek o konsekwencjach działań złego ducha. Apostoła Bartłomieja, zwany też Nathanaelem, dostał wielką szansę od Boga i z niej skorzystał. Przeciwnik natury ludzkiej robi wszystko, by nas od miłości i dobra odciągnąć. Niestety, jest on też świetnym znawcą natury ludzkiej. Wszak manipuluje nią od tysięcy, może milionów lat. Wiele ludzi wpada w pułapki złego i już z nich się nie wydobywa. Piszę, mówię do ludzi o tych pułapkach od 18 lat.

Toksyczne ideologie i kalejące duchowości. Błędny opis świata, sprzeczny z nauką i wiarą, oraz zabobny, gusła w Internecie. Zły atakuje umysł i wolę człowieka. W momencie, w którym uwierzmy, że nieistniejąca substancja może dać nam zdrowie, że kawałek metalu noszony na palcu czy szyi zapewni nam może bezpieczeństwo, szczęście czy miłość, przechodzimy ze sfery błędu, intelektu/umysłu w sferę woli/wiary. Mówimy „tak” nieznanemu, przekraczamy granice ezoteryki, wchodząc w kultyzm (łac. *occulere* – skrywać). Inicjacja to akt woli. Powiedzenie złu „tak”. Świadome – jak choćby w satanizmie – i nieświadome. O wiele, wiele częstsze. Idąc na seans bioenergoterapeutyczny, szukamy zdrowia, nie szatana, wróżąc z kart tarota, chcemy poznać przyszłość, a nie wejść w relację z osobowym złem.

Jednak „bawiąc się” w „Charlie Charlie challenge”, wywołując z nudów duchy na wakacjach, kupując usługę feng shui, idąc na kurs kontroli umysłu, reiki czy fotograficznego

czytania, narażamy się na otwarcie na zło. Gdy na wiarę przyjmujemy, że „coś” nam pomoże, „coś”, o czym nauka mówi, że nie istnieje („bio-energia”, „czy”, „pamięć wody”, „pole morfogenetyczne”), mówiąc nieznanemu „tak” i oczekując czegoś dla siebie istotnego – szczęścia, zdrowia, poprawy losu – wchodzimy w toksyczną duchowość. Otwieramy się na zło. Od tego momentu mamy do czynienia z nadzwyczajnym działaniem złego ducha.

Większość ludzi styka się z nim w sposób najbardziej zwyczajny na świecie. Choćby przez pokusy, ale o tym mówię w czasie rekolekcji. Ta książka jest natomiast apologią, obroną prawdziwej, życiodajnej wiary. Demaskowaniem nowych form działania księcia kłamstwa, znużonego demona z martwym wzrokiem.

Spojrzenie demonów. Rozpacz krystaliczna. Smutek milionów lat wegetacji na pustyni bez Boga.

Ludzie zarażeni demonicznym duchem. Idący z grzechu w grzech. Na zimno niszczący kogoś, kto nie może się bronić.

Moje opowieści z tej książki często czytane są jak powieści podróżnicze. Gadki z dalekich krajów. Bo nie chcemy widzieć, że to tylko różne warianty tej samej opowieści. W której gramy główną rolę.

Widzieć wszystko od złej strony. Czyhać na najmniejsze potknięcie, aby się „usprawiedliwić”. Szukać słabych punktów, by poczuć się w swym gnoju lepiej. W ten właśnie sposób opowieści o działaniu złego ducha przekładają się na zwykłe życie. Patrzeć na człowieka tylko po to, by uderzyć, oskarżyć, zabić.

► Dręczenie w snach i na jawie

Oczy demonów. Widziałem je przynajmniej dwa razy. Jednego spojrzenia nie zapomnę do końca życia. Wielokrotnie je opisywałem. Drugie spojrzenie ledwo pelga w mojej pamięci, wypieram je chyba. Bóg dał mi wielką łaskę: od kilkunastu lat po obudzeniu się nie pamiętam swoich snów. Jedno zachowane wspomnienie pozwala mi zrozumieć, że Dobry Ojciec uniemożliwił w ten sposób przeciwnikowi dręczenie mnie za pomocą wyobraźni. Być odzieranym żywcem ze skóry, budzić się z rykiem, nie – z krzykiem. Cóż, lubię hard core, ale nie do tego stopnia. Nie tak bardzo, żeby chcieć znów sobie ten sen przypomnieć.

Dziewczyna z Łomży, która przyszła po pomoc, może tylko po poradę, w snach widziała swą rodzinę mordowaną na tysiąc sposobów. Otworzyła się na świat duchowego zła, ćwicząc zachwalane w necie „podróże poza ciałem”. Out of Body Experience – OOB. Nie wiem, co dzisiaj się z nią dzieje. Lecz zdziwiłbym się, gdyby działało się dobrze bez egzorcyzmów czy choćby modlitwy o uwolnienie.

Druga dziewczyna, z Wrocławia, była dręczona przez zło bez własnej winy. Będzie dużo pociechy z Ani, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. W snach zabijano jej najbliższych na najpotworniejsze sposoby. Zrozumiała, co się z nią

dzieje. Oddała życie Jezusowi, weszła na drogę modlitwy, żyje, uczy się, realizuje pasję. Chce zapomnieć o tamtym, nie dziwie się. Zło próbowało wpełznąć ją w rozpacz. Widziało jej czystą duszę, wiedziało, ile dobra Ania w życiu jeszcze uczyni.

Jestem w Chorwacji, chorwaccy biskupi napisali list o jodze. Agnieszka dalej walczy o normalne życie. Już jest ono blisko, lecz przed światem zawsze najstraszniejsze są burze. Otworzyła się na autorytet guru – nauczyciela jogi. Uczył, jak żyć, choć miał, i ma, ochotę jedynie zabijać. Agnieszka była dręczona na tysiące sposobów. Czula obecność w pustym mieszkaniu, widziała w nim niecielesne osoby. Zniszczona sfera woli, wyobraźni – Bóg powoli odbudowuje jej duszę. Moja siostra cioteczna jest w Szwajcarii nauczycielką jogi. Zostawiła dziecko mężowi, jest o co pościć i się modlić.

Na stronie internetowej diecezji Slavonski Brod napisało: „Pod przykrywką sportu wprowadza się działania antykatolickie, takie jak joga”. Przestroga dotyczy włączenia ćwiczeń jogi do programu edukacyjnego „Lato w Brodzie”, jaki w połowie sierpnia promowały chorwackie media.

W parafiach rozdano ulotki „Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem kultów wschodnich”. Jak powiedział rzecznik diecezji, joga nie jest postrzegana w Europie w kontekście religijnym, lecz uważana za neutralne techniki relaksacyjne i ćwiczenia ciała. „W rzeczywistości, joga jest częścią hinduizmu i nie może być rozpatrywana w oderwaniu od niego”. Portal Katholisches.info powołuje się na autorytet Clemensa Pilara: joga jest „psycho-duchową techniką samotrascendencji” oraz: „Joga tylko pozornie jest neutralna. W swej istocie jest integralną częścią religii Wschodu”. Ulotka objaśnia, że w Europie joga pojawiła się w XIX wieku, głównie w kręgach ezoterycznych, a z czasem popularyzowana była przez ruch New Age. Chorwacki Kościół stara się co jakiś czas wypowiadać o jodze, aby przypomnieć, że jest ona, jak też napisano w rozdawanej ulotce, „sprzeczna z duchowością chrześcijańską”.

Konferencja Episkopatu Chorwacji zablokowała w 2003 r. próbę włączenia jogi do zajęć sportowych w szkole. Głównym teologiem zajmującym się tematyką New Age jest w Chorwacji tamtejszy o. Aleksander Posacki – franciszkanin Josip Blažević (za: MP, fronda.pl/katholisches.info). Czy może być większy skandal – mówić prawdę o jodze?

► Centrum Monitoringu Zagrożeń Niefizycznych

Wyspa Pag, Chorwacja. Sól, jaszczurki, figi i gekon lamparci. Przerazone oczy Denisy, gdy zacząłem mówić coś o wojnie. Wżeniona Czeszka, znająca się z mężem od czwartego roku życia. Mając 4 lata, będąc na wakacjach, musiała z rodzicami uciekać przed nalotem do piwniczki-schronu. Wojna to dzieło demona. Niszczy miłość, nakręcając ludzi, dotykając zranień wewnętrznych całych narodów, grając na

traumach społecznych i zwykłych słabościach. „Chciałam się zabić, podciąłem sobie żyły” – trwa wojna w Iraku i Syrii. Opowieść o codzienności śmierci, opuszczeni przez świat jazydzi, dzieci wydane na gwałt, oglądasz je potem na filmach porno.

Oczy demonów. Widziałem je przynajmniej dwa razy. Dwie osoby powiedziały mi, że w moich oczach jego spojrzenie widziały. Egzorcyzmy, dwadzieścia lat pracy, wysiłku duchowego i cierpienia. Niezamknięty jeszcze proces. Lecz 9 stycznia Bóg moje nogi na twardej skale postawił.

W złu nie ma nic fascynującego. Opowieści o nudnym niebie i pełnym podniet piekle są słabą propagandą. Dziełem przewrotności lub niezmierzonej ludzkiej głupoty. Mądre bzdury, cwani naiwniacy pędzący autostradą w ogień nieugaszony. Kiedy przypomnę sobie rozmowy z byłą satanistką z Rzeszowa, widzę tylko smutek, zabijanie miłości do brata, który oddał ją rytualnemu gwałcielowi, ojcu dziecka Kasi.

Inna satanistka opisywała relację ze złem tak: „Dostałam, co chciałam”. Tak myślałaś i myślisz, choć nie było to prawdą. Cena za bycie księżniczką szatana jest duża. Śluz, krew, pot i nefotogeniczne gile. Sperma i smak ekskrementów. Za dosłowność przeproszam, ale to nie jest książka dla grzecznych dzieci. Grzeczne dzieci zresztą mają „darknet” na dwa kliknięcia, na dwa ruchy kciuka mają twardą pornografię.

Smutek, smutek, smutek, smutek. Spustoszone serce, krajobraz po nalocie dywanowym, spustoszona Jerozolima, zburzona do cna Warszawa. Kamień na kamieniu nie został w sercu Kasi. Na szczęście jest pod opieką egzorcysty. Powoli odbudowuje ją Pan Bóg. Powoli. Matka kocha dziecko. Cud!

W złu nie ma nic fascynującego. To najgorsze twoje wspomnienia. Największe upokorzenia przypomnij sobie, a zrozumiesz, czym jest otwarcie się na złego ducha. Inicjacja, świadoma czy wymanipulowana.

Ludzie do mnie piszą, setki pytań. Splot shamballa, dwupunkt, „Jak przywołać Podoficera”. Nowe formy starego zła. Okultyzm i spirytyzm za pomocą memów dziś się szerzy. Dzieci rozmawiają na czacie, siedząc w szatni, rozmowa twarzą w twarz jest trudniejsza. Cywilizacja śmierci pokazuje, na co ją stać. Pluszowy totalitaryzm zysku i przyjemności stosuje metody subtelniejsze niż komuna i niemiecki nazizm. Trzeba opisywać, tłumaczyć, pokazywać, uczyć. Wkrótce odsłona nowego portalu, na wiosnę miesięcznik oraz Centrum Monitoringu Zagrożeń Niefizycznych. O modlitwę proszę. ■

Tekst „Oczy demonów” otwiera PoSłowie mojej najnowszej książki o destrukcyjnych stylach życia, kaleczących subkulturach, gusłach w Internecie, o ukrytych w kulturze i popkulturze zagrożeniach duchowych oraz modnych, a głupich mitologiach. „Trzy miłości” wkrótce.



Feministką (nie) być



Walka o równe prawa kobiet jest dziś pretekstem do podważania tradycyjnego modelu rodziny i istoty macierzyństwa oraz propagowania wolności seksualnej. W ten sposób to, co miało służyć zapewnieniu równego statusu kobiet i mężczyzn, co było troską o ochronę prawdziwych interesów kobiet i społeczeństwa, stało się propagowaniem radykalnych idei feministycznych.

Małgorzata Matuszak

Kobiety słyszą często ze strony innych przedstawicieli płci pięknej słowa, iż powinny się wspierać i „trzymać się razem” z racji tego właśnie, że są kobietami. Każda z nas jest bowiem silna, razem zaś posiadamy siłę zwielokrotnioną, która pozwala zdziałać dużo dobrego. Z pewnością tak jest, musimy jednak zadać pytanie, czy każde z hasel postulowanych przez pewne grupy pań wyraża pragnienia i myśli wszystkich kobiet? Trudno zrozumieć „damy”, określające się mianem feministek, które chcą być, często na siłę, głosem innych kobiet, nie mając do tego podstaw. Trudno też oprzeć się wrażeniu, że większość z nich wykorzystuje postulowaną walkę z dyskryminacją do własnych celów i promocji siebie. Robert Biedroń zapytany przy okazji odbywającego się w maju tego roku VIII Kongresu Kobiet, dlaczego kobiety mają się wspierać tylko ze względu na płęć, odpowiedział, cytując Madeleine Albright: „W piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet”. Najpierw jednak trzeba zadać pytanie, jaki obraz kobiecości kreują feministki i czy pod hasłem „bycia kobietą” rozumieją to samo, co inne panie.

► Z historii feminizmu

Słownikowa definicja feminizmu autorstwa Lindy Gordon opiera się na trzech założeniach: (1) na przekonaniu, że status kobiety nie jest niezmienny ani zdeterminowany przez biologiczne czynniki, ale jest tworzony przez ludzi w ich kulturze i przez ludzi może być zmieniony; (2) na stwierdzeniu, że status kobiety w chwili obecnej jest niezadowolający; (3) na podjęciu działań politycznych i społecznych, których celem jest poprawa statusu kobiet. Sam termin po raz pierwszy został użyty w 1895 r. i rozumiano go jako ogół działań i zachowań wyrażających wszelkie idee związane z emancypacją kobiet. Geneza feminizmu sięga już starożytności, początek datuje się najczęściej na przełom XVII i XVIII wieku, prawdziwy jednak jego rozkwit nastąpił w XIX stuleciu.

Badacze historii feminizmu wyróżniają trzy jego zasadnicze etapy, tzw. fale feminizmu. Pierwsza fala (*old wave*) obejmuje lata 1840–1920. To okres wzmocnionych działań kobiet – nazywanych sufrażystkami (łac. *suffragium* – głos wyborczy) – pochodzących głównie z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Miały one na

celu przede wszystkim reformę prawa wyborczego, prawa rodzinnego i poprawę ekonomicznych warunków życia kobiet. Ruch ten spotkał się z ostrą krytyką, także ze strony samych kobiet. Druga fala (*second wave feminism*) przypada na przełom lat 60. i 70. XX wieku. Objęła głównie Stany Zjednoczone i niektóre kraje Europy Zachodniej, głównymi zaś jej postulatami były równouprawnienie na rynku pracy oraz kwestie dotyczące kobiecej seksualności i prawa do aborcji. Początek trzeciej fali feminizmu datowany jest na lata 80. XX wieku. Była ona reakcją na fakt, iż dotychczasowe działania feministek nie przyniosły zamierzonych celów. Inspirowała się współczesną filozofią i teorią społeczną, feministki trzeciej fali poruszały zaś tematy do tej pory pomijane – kwestie etniczne, rasowe, podziały ekonomiczne czy religijne. Dzisiejszy termin „feminizm” wiele ma odcieni i natężeń intensywności. Możemy mówić o różnych jego nurtach – o feminizmie liberalnym i radykalnym, ekologicznym, chrześcijańskim, lesbijskim, antypornograficznym, postmodernistycznym, egzystencjalnym, zorientowanym psychoanalitycznie i anarchicznym, czarnym, czerwonym i latynoskim, marksyistowskim i socjalistycznym.

Pod koniec drugiej fali feminizmu pojawił się też tzw. postfeminizm, niemający charakteru misyjnego jak poprzednie fale feminizmu, lecz raczej indywidualistyczny, przyjemnościowy, lifestyle'owy. Według postfeminizmu feminizm osiągnął sukces, kobiety wywalczyły równouprawnienie (a przynajmniej większość podstawowych spraw emancypacyjnych została już wywalczona i przepracowana), on sam przestał więc być potrzebny, a nawet zaczął szkodzić. Kobieta miała wolność wyboru, także swej tożsamości seksualnej, społecznej, ekonomicznej.

► Szaletstwa feminizmu

Feminizm w założeniach swych był słuszną walką z niesprawiedliwością i upokarzającymi kobietami stereotypami. Niestety, w latach 70. XX wieku na ruch feministyczny zaczęły wpływać radykalowie, propagujący nową wizję człowieka. Uznając kobiety za prototyp „klasy uciskanej”, a małżeństwo i „obowiązkowy heteroseksualizm” za narzędzia ucisku, oparli się na myśli Fryderyka Engelsa i jego analizie powstawania rodziny. „W historii za pierwszorzędny antagonizm należy uznać antagonizm między mężczy-

zną i kobietą w monogamicznym małżeństwie, a za pierwszorzędną ucisk – ucisk kobiety przez mężczyznę” – pisał Engels w 1884 r. W 1970 r. zaś Shulamith Firestone w swej książce „The Dialectic of Sex” („Dialektyka płci”) zmodyfikował Engelsowską ideę walki klas na użytek „rewolucji klas płciowych” (*sex-class revolution*): „Aby wyeliminować klasy płciowe, klasa podrzędna (kobiety) musi się zbuntować i przejąć kontrolę nad reprodukcją... To oznacza, że celem rewolucji feministycznej jest nie tylko usunięcie przywilejów mężczyzn, co było celem ruchu feministycznego, lecz wyeliminowanie różnicy między płciami; różnice płciowe nie będą już więcej miały żadnego znaczenia”.

Walka o równe prawa kobiet zaczęła stawać się pretekstem do podważania tradycyjnego modelu rodziny, istoty macierzyństwa i propagowania wolności seksualnej. W ten sposób to, co miało służyć zapewnieniu równego statusu kobiet i mężczyzn, co było troską o ochronę prawdziwych interesów kobiet i społeczeństwa, stało się propagowaniem radykalnych idei feministycznych. Spadkobiercą tych idei jest chociażby tak szeroko dziś lansowana ideologia „gender”. Dzisiejszy feminizm przybiera niekiedy aż karykaturalne formy. Z szaleństwem graniczą na przykład poglądy ekstremalnego odłamu feministek w Szwecji, które określają mężczyzn jako typ zezwierzęcony, jako gatunek, który powinien teraz być karany za wieki prześladowania kobiet.

Natknęłam się w Internecie na taki oto mem: zdjęcie przemawiającej Kazimiery Szczuki z mikrofonem w ręce, a na jego tle napis „My, feministki, żądamy dostępu Warszawy do morza”. Tak to, niestety, często wygląda – feministki uprawiają intelektualny terrorizm, są apodyktyczne, wszystkowiedzące, rozkrzyczane, rozhisteryzowane. Niektóre, próbując wmówić każdej kobiecie, że kariera zawodowa jest ważniejsze od rodziny i macierzyństwa, i na rodzenie i wychowywanie dzieci szkoda czasu, odbierają jej możliwość wyboru „tradycyjnego” modelu życia i rodziny. „Tak” dla zachowania zdrowia, życia i godności kobiety rozumieją jako prawo do aborcji na żądanie, w myśl hasła: *My body, my choice* („Moje ciało, mój wybór”).

► Płeć to przeszłość?

Z badań ogłoszonych przez YouGov wynika, że 49 proc. Brytyjczyków między 18 a 24 rokiem życia nie potrafi uznać siebie za osoby w pełni

heteroseksualne, a 43 proc. z nich umieściłoby się gdzieś pośrodku 6-stopniowej, używanej do określania orientacji seksualnej, skali Kinseya, uważa się zatem zarówno za homo-, jak i heteroseksualnych bądź z odchyleniem w jedną stronę, nie wykluczając przy tym odstępstw. Z danych tych można wyciągnąć wniosek taki, że młodzi Brytyjczycy przywiązują coraz mniejszą wagę do swej orientacji seksualnej, postrzegając ją jako coś elastycznego, zmiennego, a nie określonego raz na całe życie.

Seksualność jest postrzegana dzisiaj jako bardzo indywidualna sprawa. Jeśli zakłada się, że energia seksualna jest tak dynamiczna i silna, iż nie powinno się jej tłamsić i ograniczać, a pożądanie można zaspokajać na różne sposoby, których mnogość uważa się za coś fascynującego (w żadnym razie za powód do potępienia i wstydu), nic dziwnego, że do dzisiejszego postrzegania seksualności nie przystają już stare, ograniczające ją podziały. Młodsze pokolenia odrzucają więc je i tworzą własne. Popularnością ostatnio cieszą się określenia takie jak soloseksualność, demiseksualność czy też sapioseksualność. Są one dowodem na to, że seksuologia się „rozwiją”, a seksualność niejedno ma imię. Autorzy badania przyczyn takiego podejścia młodych ludzi do swej seksualnej identyfikacji upatrują w postępującej liberalizacji obyczajów, walce z homofobią i głośnym sprzeciwie wobec niej, „rzetelnej” edukacji seksualnej, a także w szczyrych medialnych wyznaniach dzisiejszych idolek, takich chociażby, jak Miley Cyrus, Kristen Stewart czy Cara Delevingne, które otwarcie mówią o swoich uczuciowych i seksualnych wyborach odbiegających od tych przyjętych za normę.

Ci, którzy omawiają wyniki tych badań w naszym kraju, żałują, że u nas nie ma tak „rzetelnej” edukacji seksualnej, która również młodym Polakom daje swobodę w „wyrażaniu siebie”, pozwalając na wypracowanie nowego sposobu myślenia i mówienia o seksualności i akceptacji tego, co inne i nowe. Bo przecież inność może być tak fascynująca... Może. Do czego jednak taka degrengolada prowadzi? Jeśli przyjmiemy, że wprowadzane od najmłodszych lat podziały płciowe są naprawdę ograniczające i bezsensowne, zastąpimy je zaś „nowoczesną edukacją seksualną”, którą feministyczne lobby proponuje, promując przy okazji odejście od „przestarzałego modelu rodziny”, doprowadzimy do sytuacji absurdalnych, w których definiowanie, co oznacza bycie kobietą czy mężczyzną, zaczyna tracić swój sens. Naprawdę chcemy sytuacji, w której bada-

nia na wzór tych brytyjskich przeprowadzone w Polsce dałyby podobne jak tam wyniki?

► **Spełniony sen „gender”?**

Ostra dyskusja na temat, co oznacza „bycie kobietą”, rozgorzała ostatnio przy okazji biegu na 800 metrów kobiet podczas zakończonych właśnie Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro. W finale startowała również nasza reprezentantka, Joanna Józwik. Zajęła 5. miejsce, będąc równocześnie najlepszą Europejką na tym dystansie. Miejsca na podium przypadły trzem biegaczkom z Afryki: Caster Semenya z RPA zdobyła złoty medal, Francine Niyonsaba z Burundi srebrny, a Margaret Wambui z Kenii brązowy.

Joanna Józwik po starcie o swoich sportowych rywalkach powiedziała: „Koleżanki mają bardzo wysoki poziom testosteronu, zbliżony do męskiego, stąd ich wygląd i wyniki. Caster Semenya jest w tym sezonie nie do pobicia i jeżeli władze światowej federacji lekkoatletycznej nic z tym nie zrobią, nie przywrócą dopuszczalnego limitu testosteronu we krwi, to wciąż będzie nie do pokonania”. Stwierdziła też: „W drodze na stadion przede mną szła Wambui, która jest trzy razy większa ode mnie. Jak ja mam się czuć? Ona ma wielką łydkę, wielką stopę, robi jeden krok, a ja trzy. Dla takich zawodniczek jak ja czy Kanaadyjka Melissa Bishop to trochę krzywdzące”. Dodała również, że czuje się srebrną medalistką tych igrzysk.

Po tych słowach spotkała się z komentarzami osób, które jej wypowiedzi odebrały jako dyskryminujące pochodzenie i kolor skóry rywalek, co przecież nie miało miejsca. Joanna Józwik odniosła się jedynie do zasad, które wzbudzają kontrowersje i poddane być winny weryfikacji. Pytanie postawiła zasadne: czy bieg, w którym startowała, był istotnie biegiem dla kobiet? Czy zadane tak pytanie wymknęło się politycznej poprawności, wedle której każda podobna tej krytyka podciągana jest pod przejaw dyskryminacji?

Pytanie, czy Caster Semenya jest naprawdę kobietą, zadawano już w 2009 r., gdy zdobyła złoty medal na Mistrzostwach Świata w Berlinie. Jej kobiecość podano w wątpliwość i po wielu kontrowersjach Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych wydało decyzję o przeprowadzeniu na Semeniy testów płci. Ich wyników nigdy nie ogłoszono, według nieoficjalnych doniesień jednak u biegaczki stwierdzono cechy obu płci, czyli hermafrodytyzm: nie

ma macicy, ma natomiast wewnętrzne jądra. Początkowo nakazano jej za pomocą środków farmakologicznych obniżyć poziom testosteronu, później prawnicy wymogli, by wprowadzone przepisy dotyczące dopuszczalnych jego wartości zostały zniesione. Biegaczka znów startuje z kobietami, mając poziom testosteronu zachodzący na normy właściwe mężczyznom. Caster Semenya mówi, że czuje się kobietą i za kobietę się uważa, niezależnie od tego, co na jej temat mówią inni. Trudno w to jednak uwierzyć, patrząc na jej wygląd, obserwując jej ruch i gesty, bardziej męskie niż u dużej części mężczyzn.

► **Pięknie się różnić...**

„Gdy mówię mojej żonie, że jej kompletnie nie rozumiem, odpowiada: »trudno, dzieli nas za duża różnica płci«. Zapewne nie ma innego wyjścia, niż sobie tę różnicę uświadomić i nauczyć się z nią żyć, wzajemnie się uzupełniając. To znaczy, innym wyjściem jest feminizm, produkujący potwory, chłopo-baby. Nie życzyłbym swoim córkom, żeby cywilizacja poszła dalej w tym kierunku. Kobiety wewnętrznie schłopiałe, zewnętrznie wychudzone pod dyktando kreatorów mody, którzy preferują kształty chłopięce, i mężczyźni wzorem owych dyktatorów zniewieściali, dożywotnio nieodpowieni i przy każdym najdrobniejszym problemie szukający bezpiecznego schowka pod matczyną spódnicą” – pisał Rafał Ziemkiewicz w tygodniku „Do Rzeczy”.

Płeć jest dzisiaj w niebezpieczeństwie. Niebezpieczna jest zarówno walka, jak i unifikacja płci. Niebezpieczne jest jej rozmycie. Zacieranie granicy między płciami nie w przypadku każdej różnicy jest dobre. Kobiety nie mogą pod każdym względem być takie same jak mężczyźni, a mężczyźni tacy sami jak kobiety, to nawet niemożliwe. Przecież różnimy się – umiejętnościami, zdolnościami, zainteresowaniami, percepcją świata i jego oceną. Posiadamy nieco inne systemy wartości, a także inne potrzeby. Dlaczego nie mamy się po prostu różnić pięknie? I dlaczego mamy ze sobą walczyć? Bo przecież – jak pisał Jan Paweł II w „Liście do Sekretarza Generalnego IV Światowej Konferencji ONZ” poświęconej kobiecie – „mężczyźni i kobiety zostali powołani przez Stwórcę, aby żyć w głębokiej wzajemnej komunii, poznając jedni drugich i składając siebie w darze, działając razem dla wspólnego dobra i uzupełniając się nawzajem dzięki komplementarności cech kobiecych i męskich”.

Hermes, ogrodnik i mistrz



Piotr Lisiewicz

W II Rzeczypospolitej dowcipy i anegdoty o Januszu Kusocińskim znało każde dziecko. Oto na policjanta stojącego na skrzyżowaniu ulic wpada Kusociński. – Panie posterunkowy, dokonano u mnie włamania! – Czy pan dogoniłeś złodzieja? – Ależ gdzie tam – spoglądając na zegarek – przegoniłem go o 5 minut 32 i pół sekundy.

► Dlaczego Kusociński mógłby robić interesy w Abisynii

Jego rekordy miały być nawet dowodem na to, jak wielkim wieszczem był Adam Mickiewicz – wszak w „Panu Tadeuszu” nazwał najszybszego z chartów Kusym.

W przedwojennym piśmie satyrycznym „Mucha” udało mi się odnaleźć pewien szmonces o Kusocińskim. Oto panowie Hozenduft i Eier-tanz zaczynają rozmowę o robieniu interesów w Abisynii. Jak tłumaczy Hozenduft, przed wyjazdem postanowił, żeby, gdy chodzi o wygląd i maniery, „zrobić się na sportowca”. – Pan sam rozumiesz, że w takie drogie to trzeba być jak mięszaniec Kusocińskiego ze mną – objaśnia. – Co znaczy takie porównanie? – pyta zdziwiony Eier-tanz. – To znaczy, że trzeba mieć taką głowę do interesu, jak ja, i takie nogi, jak Kusociński, na wypadek jak się interes nie uda.

Z kolei o znanym inżynierze Zygmuncie Słomskim pismo „Mucha” donosiło, że jest jak Kusociński, bo: „Jak szybko wbiegł do Zarządu Tramwajów w Warszawie, tak jeszcze szybciej wyleciał, ustanawiając w tym względzie rekord wszechpolski”.

Kusocińskiego używano nawet do ilustrowania opowieści na tematy teologiczne. – Czy ty wierzysz w wędrówkę dusz? – Wierzę. Człowiek odradza się po raz wtóry na tej ziemi, tylko dusza jego przebywa wtedy w odmiennym zupełnie tworze, aniżeli działa się to w życiu poprzednim. – W takim razie czym by byli na ziemi w drugim jestestwie nasi dwaj słynni biegacze: Kusociński i Petkiewicz? – Ano, jeden zółwem, drugi ślimakiem.

Sława biegacza nie zrobiła wrażenia tylko na słynnym oryginale Francu Fiszerze, który poznał Kusocińskiego w odwiedzanym przez artystów IPS-ie. – Czym się ten gość zajmuje? – spytał sąsiada. – Jak to? To słynny olimpijczyk, lekkoatleta! – No dobrze, ale co on właściwie robi? – Jak to co robi? Biega. – Biega? – spytał zdumiony Fiszer. – A w którą stronę?



„Widziałem tam Kusego, jest lekko ranny, ale dalej obsługuje karabin maszynowy. Tyle już ze swego Maxima wystrzelał do Niemców, że w swoim dołku był zasypany łuskami aż po uszy” – tak zapamiętał go we wrześniu 1939 r. młody piłkarz Skry Warszawa. Janusz Kusociński, ogrodnik z Łazienek Królewskich i mistrz olimpijski z Los Angeles, o którym w przedwojennej Polsce pisano wiersze i piosenki, nie posłuchał tych, którzy tłumaczyli mu, że jest zbyt znany, by działać w konspiracji.

► Nieznośny smarkacz

Janusz Kusociński urodził się 15 stycznia 1907 r. w Warszawie. Był siedmiomiesięcznym wcześniakiem i jego matka Zofia bała się początkowo o jego życie. Gdy miał pół roku, jego rodzice przeprowadzili się do Ołtarzewa pod Warszawą. Ojciec Klemens Kusociński, działacz niepodległościowy i więzień caratu, miał tam gospodarstwo rolne. Okolicę tę nazywano podwarszawskim „zagłębem ogrodniczowarzynniczym”.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „Od palanta do Olimpiady” „Kusy” pisał: „Pamiętam jak przez mgłę, że jako mały bąk całe dnie spędzałem na dworze, że się wślizgiwałem do psiej budy i bawiłem ze szczeniakami. Później mi nieraz mama opowiadała, że wcześniej niż inne dzieci zacząłem chodzić i to od razu biegiem. Byłem – mówiąc otwarcie – nieznośny smarkacz”.

Jak pisała Katarzyna Dzierzbicka w artykule „Kusy – od Ołtarzewa do Palmir” na łamach biuletynu IPN Pamięć.pl: „dom, w którym się wychowywał przyszedł olimpijczyk, stał do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dziś w tym miejscu, u zbiegu ulic Tadeusza Kościuszki i Poznańskiej, znajduje się pamiątkowa tablica. Słynny mieszkaniec Ołtarzewa ma również swój pomnik przed budynkiem pływalni w Ożarowie Mazowieckim”.

Miał dwóch braci oraz trzy siostry. Najstarszy z braci Zygmunt zginął podczas I wojny światowej. Drugi z braci, Tadeusz, poległ w wojnie polsko-bolszewickiej pod Zamościem, co pomijano w życiorysach Kusogo z czasów PRL.

Rodzice posłali go do szkoły im. Nawrockiego przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Codziennie dojeżdżał do niej z Ołtarzewa. Wspominał ją dobrze, a to z powodów, które opisywał następująco: „Bardzo to była miła szkoła – można było podczas pauz wymykać się do Ogrodu Saskiego i organizować mecze piłki nożnej”. Co do nauki to przejmował się nią głównie wtedy, gdy mogło grozić mu wyrwanie do odpowiedzi. „Ojciec ufał, że pobyt w szkole wpłynie zbawiennie na mój charakter, że się usatkuje i zakocham w książkach – a tymczasem ja się zakochałem w piłce” – pisał. Grywał też w popularnego wówczas palanta.

W 1923 r. trafił do szkoły powszechnej nr 129, którą oceniał niżej od poprzedniej, gdyż trudniej było wyrwać się z niej na wagar. Ojciec postanowił, że syn zostanie ogrodnikiem, więc wysłał go do Państwowej Średniej Szkoły Ogrodniczej. Tam też nauczyciele nie szczędzili mu uwag, że gdyby uczył się tak dobrze, jak gra w piłkę, byłby najlepszym uczniem w szkole.

► Mecz na placu Starynkiewicza

W 1922 r. Kusociński wraz z kolegami założył klub sportowy „Pretoria”. „Grywał na skwerze Berbers na pl. Starynkiewicza, w Sparcie i Placówce na terenie Cytadeli Warszawskiej. To najprawdopodobniej tam chłopcy nadali mu przydomek »Kusy«” – pisała Katarzyna Dzierzbicka.

Klub nie działał zbyt długo, a po zakończeniu jego działalności Kusociński zapisał się do klubu Ożarówianka w nieodległym od Ołtarzewa Ożarowie Mazowieckim. „Mój debiut wypadł podczas meczu Ożarówianki z Józefowianką, o 6 km od Ożarowa. Przegraliśmy 8:2, ale te dwa gole były moją robotą” – wspominał.

Następnie przeniósł się do Józefowianki, potem do Robotniczego Klubu Sportowego Ruch i wreszcie do Robotniczego Klubie Sportowego „Sarmata” w Warszawie, gdzie grał jako napastnik. Futbol stał się dla niego ważniejszy od ogrodnictwa: „Zamiast przyglądać się kielkującej pszenicy, wołałem grać w totka o to, czy wygra Sarmata, czy też Skra. Co mnie mogła obchodzić rywalizacja roślin – kiedy obok mnie wrzała walka takich konkurentów jak dwa sportowe kluby. Ojciec był na mnie oburzony – a ja tak byłem rozkochany w piłce nożnej, że nie zwracałem uwagi na niczyje rady i przycinki”.

► Lekkoatleta z przypadku

Lekkoatletą został... przypadkowo. W 1925 r. w czasie zawodów zorganizowanych z okazji święta robotniczego zabrakło jednego zawodnika do sztafety. Zamiast nieobecnego biegacza pobiegł Kusociński i jego drużyna wygrała. Odtąd „Kusy” rozpoczął w Sarmacie bieganie, początkowo na 800 i 1500 metrów. Niebawem wygrał bieg przełajowy na 3,5 km o mistrzostwo Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych w Rembertowie.

W 1928 r. ukończył szkołę i odszedł z Sarmaty, rozpoczynając treningi w Warszawiance. Na Agrykoli trenował pod okiem estońskiego trenera Aleksandra Klumberga. Przyniosło to pierwszy wielki sukces – mistrzostwo Polski w biegu na 5 km.

Ale wtedy dostał wezwanie do wojska. Służył w batalionie administracyjnym III kompanii, który stacjonował na warszawskiej Pradze. „Patrząc z bliska na życie rekruta od razu doszedłem do przekonania, że ten tryb życia nie będzie mi odpowiadał” – wspominał.

Mimo intensywnych ćwiczeń wojskowych nie zaniedbywał biegania i startów w zawodach. Czasem angażował się w nie aż za bardzo. „Przed biegiem Wilanów-Warszawa zignorował zalecenia le-

karza, aby nie forsował kontuzjowanego kolana, co skończyło się pobytem w szpitalu” – pisała Katarzyna Dzierzbicka.

W 1929 r. Kusociński zdał egzaminy w szkole podoficerskiej z wysokim, piątym wynikiem. Został instruktorem kompanii. W końcu udało mu się załatwić przeniesienie do Ośrodka Wychowania Fizycznego w Warszawie, gdzie mógł podjąć treningi i starty w pełnym wymiarze.

► Ogrodnik z Łazienek

Życie przedwojennego sportowca nie przypominało jednak współczesnego zawodownictwa. 1 grudnia 1931 r. Janusz Kusociński otrzymał posadę ogrodnika w warszawskich Łazienkach. Mieszkał na terenie parku, gdzie po pracy trenował biegi przełajowe. „Teren Łazienek specjalnie nadaje się do tych biegów, gdyż posiada liczne nierówności, a nic tak nie wyrabia, jak biegi po zboczach na dobrej trasie” – pisał.

Zawody pozwalały natomiast zwiedzać zarówno Polskę, jak i inne kraje. „Najbardziej, oczywiście, podobał mi się obraz cudownej Matki Boskiej Ostrobramskiej. Gdy się nań spojrzy i wpatrzy, dopiero można zrozumieć, dlaczego miasto jest z obrazu tego tak dumne” – wspominał pobyt w Wilnie.

O pierwszym zagranicznym wyjeździe do czechskiej Pragi pisał zabawnie: „Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że prawdziwy sportowiec, wyjeżdżając na zawody, zabiera ze sobą do walizki szczoteczkę i proszek do zębów, a kostium lekkoatletyczny oddaje na bagaż. [...] Wybierając się do Pragi, zdawało mi się, że jadę gdzieś na koniec świata, że wszystko może mi się przydać. To też 4 razy pakowałem się i tyleż razy rozpakowywałem swoje walizki. Wreszcie wszystko co uważałem za niezbędniejsze wpakowałem do dwóch waliz a matka, dbała o moje zdrowie, przyszykowała dziesięciokilowy koszyk jabłek i niezliczoną ilość kanapek, abym broń Boże nie był głodny. Kiedy obciążony »pakami« przyjechałem na stację, kiedzy, zobaczywszy mnie obładowanego, wybuchnęli śmiechem. – Januszu, bój się Boga, a gdzież to ty się wybierasz? Przecież jeszcze do Ameryki nie jedziemy”.

► Krwawy bieg po olimpijskie złoto

Ale miał przyjść czas i na Amerykę. Przygotowywał się bowiem już do Olimpiady w Los Angeles w 1932 r. Jeszcze przed nią były Mistrzostwa Świata w Antwerpii, gdzie zwyciężył w biegu na 3 km, ustanawiając rekord świata rezultatem 8:18,8.

Do Los Angeles przyjechał wcześniej od znacznej części polskiej ekipy i dlatego witał ją na amerykańskiej ziemi. Wyjechał po nią pojazdem mniej pospolitym w owych czasach niż dziś: samochodem. „Pierwszą moją myślą było pochwalić się, że nauczyłem się już dobrze prowadzić samochód. To też jechałem, jak się mówi, po kawalersku. I niewiele brakowało, ażeby, zresztą nie z mojej winy, doszło do katastrofy. Na wspaniałej szosie, specjalnie zbudowanej, a prowadzonej od dworca kolejowego do samej Wiosny, ruch był olbrzymi. W pewnej chwili jakiś Murzyn nieprzepisowo zjechał mi przed samochód. Niemal w ostatnich ułamkach sekundy, na całe szczęście, zdołałem zatrzymać samochód i uniknąć katastrofy. Murzyna nie minęła kara, bowiem na drogach amerykańskich przepisy są bardzo surowe i policjant, który zjawił się natychmiast, jak z pod ziemi i spisał protokół” – wspominał.

Bieg Kusocińskiego na 10 tys. przeszedł do legendy. Polak zdobył złoty medal olimpijski, biegnąc w w nowych butach, które obtarły mu stopy do krwi. Mimo to pokonał czołówkę światowych biegaczy, m.in. Finów Lauriego Virtanena i Volmari Iso-Hollo. Na trybunach siedział zdyskwalifikowany za złamanie zasad amatorstwa najsłynniejszy z nich Paavo Nurmi.

– Jestem szczęśliwy, że mogłem swoim wynikiem przyczynić się do rozślawienia imienia Polski i do uświetnienia wielkości sportu polskiego – zdołał powiedzieć po biegu. Wspominał potem w książce „Od palanta do Olimpiady: „Za chwilę znalazłem się w szatni, w rękach swoich przyjaciół, którzy całowali mnie serdecznie i ściskali. Znalazł się też dr Bartenbach, który zaczął oglądać mi nogi. A wyglądały one strasznie. Szereg nabrzmiałych krwią, ogromnych odcisków pod palcami i pod stopami, sprawiało wprost straszny ból. Kpt. Bartenbach zajął się niezwłocznie opatrunkiem, ale niestety, przerwano mu w pracy, ku mojemu nieopisanemu żalowi. Musiałem wyjść z powrotem na stadion, gdyż zaczynało się »ceremonie protocolaire olympique«. Wszyscy wstają; staje na niskim wzniesieniu, w rodzaju schodów, mając niżej po lewej stronie Iso Hollę, po prawej – Virtanena. W tej samej chwili orkiestra gra »Jeszcze Polska nie zginęła«. Boże, cóż to był za widok, jakież przeżywałem uczucia. Przecież tyle razy wysłuchiwałem na ziemi obcej w meczach międzypaństwowych Mazurka Dąbrowskiego. Nigdy jednak nie wydał mi się tak piękny i tak drogi mojemu sercu. Z trudnością mogłem powstrzymać łzy szczęścia, cisnące się do oczu. Patrząc na kolonię polską, wiedziałem, że każdy z nich przeżywa to samo, co i ja [...] Po biegu, gdy zważyłem się, po prostu oniemiałem: ubyło mi w czasie trwania biegu 2 i pół kilo”.

Z powodu krwawiących nóg nie mógł wystartować w biegu na 5 tys. metrów i stracił szansę na ko-

lejnny medal. Co dokładnie było nie tak z butami mistrza? „Kusociński założył pantofle lekkoatletyczne odpowiednie do biegania na trawie (w biegach przełajowych), a nie na twardej bieżni. Przed zawodami w Los Angeles nie pozwolono mu (innym też) zrobić rozgrzewki na bieżni, sprawdzić jej nawierzchni, więc Kusociński zrobił rozgrzewkę na trawnikach okalających stadion. W upale, na twardej nawierzchni, bieg w takich butach sprawiał mu dojmujący ból” – wyjaśnia portal Dzieje.pl. Nie mogąc startować, Kusociński uczestniczył w spotkaniach z oklaskującą go Polonią amerykańską.

Inne od obecnego podejście do sportu pokazuje też odrzucenie przez „Kusego” intratnej propozycji. „Jeden ze znanych menagerów amerykańskich proponował mi 50.000 dolarów za 10 startów z Nurim, bez względu na rezultat. Starty te chciał on urządzić w ciągu najbliższych tygodni w większych miastach amerykańskich. Odmówiłem kategorycznie” – wspominał.

► „Kusy” na głos i fortepian

Na dworcu w Warszawie na Kusocińskiego czekały tłumy. „Zostałem porwany na ręce. Stałem się niewolnikiem tłumy, który czynił ze mną, co tylko chciał. Musiałem błagać, aby mnie puszczono, gdyż ktoś mi krzyknął, że na dworcu jest moja matka. Na szczęście, choć z wielkim trudem, przedostałem się do niej, aby ją ucałować” – pisał.

Kusociński stał się bohaterem narodowym i inspiracją dla artystów. Poeta Jerzy Kierst napisał zaś na jego cześć wiersz „Los Angeles 1932”:

*Znowu Hermes prowadzi zawodników
na drugą półkulę.
Już na okręcie wpadł mu w oko
Polak, Janusz Kusociński, chociaż Herakles
poleciał mu Finów: Virtanena i Iso-Hollo.
Nie omylił się Hermes.
Wielki biegacz, miłujący kwiaty,
miał wspaniałe serce i olimpijski oddech,
Bieg na dziesięć tysięcy metrów wywołał zachwyt
ludzi i bogów.
Kusy prowadząc za sobą podwójny cień - dwóch Finów
- obiega stadion,
jakby to była dziecięca gonitwa naokoło klombu
w Parku Łazienkowskim w Warszawie. [...] Obiegił stadion, jak Hektor i Achilles mury Troi...
Tym razem jednak Hektor zwyciężył,
bo Athene stanęła zdecydowanie po stronie Janusza.
- Na Zeusa! - wykrzyknęła uderzając końcem włóczni
o ziemię
- biegnie nie gorzej od Hermes!*

Kazimiera Wirska skomponowała na jego cześć utwór „Kusy: marsz sportowy na głos i fortepian”. Słowa napisał do niego Walery Jastrzębiec, a wykonywały go często szkolne chóry.

► Dziennikarz Gazety Polskiej

W 1933 r. Kusociński przeprowadził się do nowego mieszkania na parterze Pałacu Myślewickiego w Łazienkach Królewskich, co było oznaką przynależności do elity. Pałac ten zajmowany był m.in. przez Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, a potem wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Przyjmowano tam też zagranicznych mężów stanu.

Dwa lata po sukcesie olimpijskim „Kusy” został wicemistrzem Europy. Niestety, w 1936 r. doznał bardzo poważnej i uporczywej kontuzji kolana, która wyłączyła go z uprawiania sportu na dwa lata. Wspominał, jak w szpitalu pozwolono mu już spacerować po okolicy: „Chodzenie z tą laską ogromnie mi imponowało. Po pierwsze udawałem starego weterana wojennego, po drugie śmiałem się z tych wszystkich, którzy wyprzedali się, salutując każdemu oficerowi, ja zaś tylko uprzejmie kłaniałem się”.

Czas ten wykorzystał na zrobienie matury oraz studiów w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na Bielanych. Pisał też artykuły o sporcie. Był redaktorem naczelnym „Kuriera Sportowego”, a także korespondentem zagranicznym działu sportowego „Gazety Polskiej” i „Przeglądu Sportowego”.

W 1936 r. przeszedł udaną operację kolana, którą przeprowadził lekarz wojskowy dr Henryk Julian Levittoux. W sierpniu tego roku został korespondentem „Przeglądu Sportowego” na olimpiadę w Berlinie. Cytowany przez Dzierżbicą jego redakcyjny kolega Kazimierz Gryźewski wspominał: „Bardzo cenny był dla nas Janusz Kusociński, który, choć inwalida, został zaproszony na Igrzyska przez organizatorów i mieszkał w wiosce olimpijskiej. On miał bezpośredni kontakt z zawodnikami i spisywał swoje spostrzeżenia oraz ploteczki na małych karteczkach, które później nam dostarczał”.

Po ukończeniu studiów w 1938 r., Kusociński przez dwa lata pracował jako nauczyciel wychowania fizycznego w warszawskiej szkole podstawowej przy ul. Żuga 16 w Warszawie (dziś – imienia Janusza Kusocińskiego).

Walczył o to, żeby wrócić na bieżnię. W końcu udało się. 24 lipca 1938 r. wystartował w Mistrzostwach Polski w Warszawie, zajmując w biegu na 5 km drugie miejsce. W 1939 r. wziął udział w Międzynarodowych Halowych Zawodach Lekkoatletycznych w Berlinie. Ustanowił dwa nowe rekordy Polski na 2 i 3 km. Ostatni raz stanął na bieżni 28

czerwca 1939 r. i – wraz z kolegami – pobił rekord Polski w sztafecie 4x1,5 km. Zakładał start w Olimpiadzie planowanej na rok 1940. Ale jego losy miał być zupełnie inny...

► Zasypany łuskami aż po uszy

„Na początku września 1939 roku kapral z cenzusem Janusz Kusociński zgłosił się na ochotnika wraz z płotkarzem, st. strzelcem Józefem Korolkowiczem, do służby wojskowej. Mimo że »Kusy« z powodu kontuzji kolana dostał kategorię D, a Korolkowicz kategorię C, trafili do kompanii karabinów maszynowych II batalionu 360. pułku piechoty” – pisała w Biuletynie IPN Pamięć.pl Katarzyna Dzierzbicka.

Według autorki początkowo „Kusy” zajął odzienek w Alejach Jerozolimskich koło wiaduktu przy ul. Towarowej. 12 września brał udział w natarciu na Służew i lotnisko na Okęciu, a następnie bronił Fortu Czerniakowskiego przy ul. Powsińskiej 28, gdzie dwukrotnie został ranny. Mimo przestrzelonego ramienia i uda nie chciał opuścić swojego stanowiska.

Przedwojenny lekkoatleta, a po wojnie dziennikarz Wolnej Europy Wojciech Trojanowski w artykule „O człowieku, który zasłużył na pomnik” na łamach londyńskich „Wiadomości” zamieścił takie oto wspomnienie: „Wtedy to podszedł do mnie młody piłkarz ze Skry, który biegł przez pustą ulicę. Był w mundurze, dźwigając skrzynkę z amunicją. – Ledwie pana poznałem, panie Trojanowski. Wczoraj przerzucili nas na Pragę spod Wilanowa. Widziałem tam »Kusego«, jest lekko ranny, ale dalej obsługuje karabin maszynowy. Tyle już ze swego Maxima wystrzelał do Niemców, że w swoim dołku był zasypany łuskami aż po uszy. – No tak – mówię. – Kusy wszystko robi systematycznie i z uporem”.

25 września trafił wreszcie do szpitala. Przeszedł operację przestrzelonego kolana. Rozkazem Juliusza Rómmla został odznaczony Krzyżem Walecznych.

► Tak biegać i nie uciec tym draniom

W czasie okupacji Kusociński pracował w lokalu Pod Kogutem przy ulicy Jasnej 6. W owej „gospodzie sportowców” pracowali obok niego inni bohaterowie sportowych aren: Maria Kwaśniewska, Jadwiga i Zofia Jędrzejowskie oraz Ignacy Tłoczyński. Na ścianach wisiały zdjęcia oraz karykatury sportowców. Przy jednej z nich znalazł się napis „Wyścieg Kusego z tacą do gościa”.

Odradzano mu wstępowanie do konspiracji, bo był zbyt rozpoznawalny, ale nie posłuchał. W grud-

niu 1939 r. przystąpił do podziemnej Organizacji Wojskowej „Wilki”, w której zajmować się miał wywiadem, czemu sprzyjała praca kelnera. Złożył przysięgę i przybrał pseudonim „Prawdźic”.

Jak się potem okazało, gospoda Pod Kogutem była obserwowana przez Niemców. Wieczorem 26 marca 1940 r. „Kusy” został aresztowany przez gestapowców w bramie kamienicy przy ulicy Noakowskiego, gdzie mieszkał. Doniósł na niego niemiecki agent Szymon Wiktorowicz.

Przez dwa tygodnie trzymany był w celi na Pawiaku. „Mimo tortur milczał z tak bardzo sobie właściwym uporem. Więc go zabili” – pisał w swym wspomnieniu Trojanowski. Dzierzbicka pisze, że w jego celi widziano Heinricha Himmlera. Jak się dowiedziała jego siostra, przed egzekucją „Kusy” miał powiedzieć: „Nie wiem, gdzie mnie wieziecie, może już nie powrócę”, a potem stanął na baczność i krzyknął: „Niech żyje Polska”.

Rozstrzelany został w Palmirach w Puszczy Kampinowskiej, gdzie Niemcy zamordowali około 1700 Polaków i Żydów, w tym wielu przedstawicieli polskiej elity. Zginął w największej z egzekucji 21 czerwca 1940 r., w której obok niego rozstrzelani zostali też były marszałek sejmu Maciej Rataj oraz działacz PPS Mieczysław Niedziałkowski.

Najbardziej znaną formą upamiętnienia polskiego mistrza są rozgrywane od ponad półwiecza międzynarodowe zawody – Memoriał Janusza Kusocińskiego. 12 sierpnia 2009 r. „za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za osiągnięcia sportowe w dziedzinie lekkoatletyki” Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski odznaczył go prezydent Lech Kaczyński.

Poeta Tadeusz Kubiak napisał wiersz „Pamięci Janusza Kusocińskiego”:

Pamiętaj – Palmiry

W sosnowym lesie – tu dobiegał do mety

Tu go dopadła, wyprzedziła śmierć,

Nie ta śnieżysta, z dziecinnych jasełek

co otrzepuje się z świerków, z jodełek,

z gwiazd nocą jasną...

Ta naznaczona, napiętnowana

czarnymi krzyżami swastyk.

Stąd już nie pobiegł ku słońcu przestrzeni

Tu nikt nie myślał o wieńcach laurowych

gałązkach palmy, gałązkach oliwek.

Koroną cierniową z cierni wieńczyły tu głowy

hordy wrzaskliwe.

A warszawska ulica pożegnała swego bohatera ostatnim dowcipem przez łyż. – Kusocińskiego pan znał? – Jezus Maria! Tak biegać i nie uciec tym draniom. ■



Jaworowy chłopiec bez szans na nawrócenie

Magdalena Złotnicka



Kiedy Wilhelm Mach,
wówczas jeszcze
nikomu nieznany
nauczyciel pochodzący
z Kamionki, składał
podanie do Związku
Zawodowego Literatów
Polskich, wielu dziwiło
się jego personaliom,
podejrzewano nawet,
że nie jest Polakiem.
Tymczasem rzecz
w tym, że kiedy
przyszedł na świat,
Polska była pod
zaborami, a jego mama
zapatrzyła się na cesarza
Wilhelma, którego
twarz znała z garnków
sprzedawanych przez
Żydów. Stwierdziła,
że jeśli da synowi na
imię Wilhelm, to ten
wyrośnie na równie
przystojnego mężczyznę
jak cesarz.

O powieść o garnkach pochodzi od starszej siostry Macha, Bronisławy. Do tego, skąd wzięło się imię jej brata, przyznała się jednemu z dziennikarzy w 1991 r.

Na hasło „Wilhelm Mach” ludzie obeznani choć trochę z literaturą reagują najczęściej stwierdzeniem, że „coś im się kojarzy”. Jednak gdy przychodzi odpowiedzieć na pytania bardziej konkretne, nie jest już tak prosto. W sumie trudno się dziwić – Mach przewija się w większości publikacji poświęconych Markowi Hłasce, o Machu piszą Tadeusz Konwicki czy Kazimierz Brandys. „Wilek”, jak na niego mówili przyjaciele, pojawia się w rozmaitych anegdotkach dotyczących świata artystyczno-literackiego Polski Ludowej. Jednocześnie dziennikarze lewicowi interesują się Machem przede wszystkim ze względu na jego homoseksualizm. O książkach Macha – było ich zresztą niewiele – dziś prawie się nie pamięta. A szkoda.

► Genialne dziecko z chłopskiej rodziny

Zanim Mach napisał cokolwiek, już wiadomo było, że może czekać go błyskotliwa kariera. Był bowiem genialnym dzieckiem. Na świat przyszedł w Nowy Rok, 1 stycznia 1917 r., we wsi Kamionka, znajdującej się w powiecie ropczyckim na Rzeszowszczyźnie. Miał pięć siostr i brata. Był najmłodszy w rodzinie. Kim byli jego rodzice? Matka miała na imię Apolonia i pochodziła z chłopskiej rodziny Białków. Z kolei ojciec Wincenty – jak pisał w jednym z dotyczących Macha artykułów Zbigniew Wawrszczak – „pochodził z położonej po sąsiedzku Krzywej, tam też podobno Machowie siedzieli od dawna. Ojciec późniejszego pisarza zaliczany był do wioskowej elity: zapewne z racji tego służbę wojskową odbywał w Wiedniu, dobrze opanował język niemiecki i robił z tej znajomości użytek, pisując sąsiadom dobrze udokumentowane podania do urzędów w rozmaitych sprawach. Tak dalece wyspecjalizował się w tego rodzaju działaniach, że uważany był w Kamionce za »pisarza«; czemu trudno się dziwić, skoro wielu mieszkańców wsi nie umiało ani czytać, ani pisać”.

Tomasz Burek w tekście „Utopia Dobroci” („Twórczość”, 1977 r.) pisał z kolei, że ojciec Macha „uprzął średniej wielkości, 13,5-hektarowe, gospodarstwo, pracował też przez kilkanaście lat (do 1923 r.) jako gajowy w lasach należących do Tarnowskich. Kiedy Wilhelm przyszedł na świat, rodzice znajdowali się już w stosunkowo podeszłym wieku. (Zmarli niedługo po sobie – ojciec w 1930, matka w 1933 r.). Po ich śmierci opiekę nad dorastającym chłopcem – a później nad samotnym mężczyzną,

który nigdy nie założył własnej rodziny – sprawowała obdarzona nieprzeciętną indywidualnością siostra Bronisława”.

Sytuacja Machów była więc dziwna. Z jednej strony ledwo wiązali koniec z końcem, z drugiej zaś – można powiedzieć, że należeli do wiejskiej elity. Ponadto najmłodszy syn błyskawicznie nauczył się czytać i ogólnie zdradzał wyjątkowe zdolności, więc rodzina odmawiała sobie wielu rzeczy, by inwestować w przyszłość chłopca. W 1924 r. Mach zaczął uczęszczać do znajdującej się w rodzinnej wiosce szkoły powszechnej, a w 1933 r. rozpoczął naukę w gimnazjum, najpierw znajdującym się w Ropczycach, później zaś przeniósł się do Dębicy. Tam też zdał maturę. Jak wspomina Edward Milas w tekście „Lata szkolne”, zamieszczonym w zbiorze „Wilhelm Mach. Człowiek i pisarz”, Mach „od chwili przybycia aż do ukończenia gimnazjum był najlepszym uczniem w naszej klasie. Dotyczyło to zarówno przedmiotów humanistycznych, jak również i ścisłych. O pełnym powodzeniu w nauce decydowały głównie jego wybitne zdolności, ale również wcześniej rozbudzone zamiłowanie do czytania książek i zdobywania wiedzy, dzięki jakimś sprzyjającym okolicznościom, które mu dość wcześniej umożliwiły dostęp do dobrych książek”. Milas wspomina także, że w tamtym czasie mieszkał w bursie. Po maturze Mach rozpoczął studia w Państwowym Pedagogium w Krakowie. Nauka trwała dwa lata, Mach ukończył ją rok przed wojną, by następnie odbyć roczną zasadniczą służbę wojskową.

W czasach przedwojennych Mach wyraźnie wykazywał sympatie antyfaszystowskie, raczej lewicowe, choć mówienie o komunizmie byłoby nadużyciem. „Nie mieliśmy ustalonej ideologii. Byliśmy wrogami faszyzmu. Sympatie nasze szły na lewo – bez zobowiązań. Kochaliśmy Majakowskiego, czytaliśmy Huxleya i »Wiadomości Literackie«. Chwaliliśmy sobie liberalizm, który nas głodził. Podobał nam się »Kordian i cham« i »Ferdynand«. Oburzała nas palka policjanta, pobudzały do protestów i gniewu dyskryminacje rasowe, śmieszyła sanacyjna pompa. Wyznawaliśmy Boga, Bergsona, »kategoryczny imperatyw« Kanta i psychologię indywidualną” – pisał już po wojnie w „Doświadczeniach i przypadkach”.

W 1939 r. wziął udział w kampanii wrześniowej. Jak podaje Tomasz Burek, przyszedł autor „Życia dużego i małego”, „został lekko ranny. W okresie okupacji przebywał najpierw u siostry Bronisławy w Sędziszowie Małopolskim, w 1941 roku zamieszkał ponownie w Krakowie. Pracował zarobkowo jako urzędnik Ubezpieczalni Społecznej. Jednocześnie brał czynny udział w konspiracyjnej

pracy oświatowej”. Po wojnie dwa lata studiował w Krakowie, pracę magisterską napisał pod nadzorem prof. Kazimierza Wyki. Burek wspomina, że Mach już wówczas czynił poważne próby literackie. Był jednym ze współautorów i redaktorów wydanej we wrześniu 1945 r. krakowskiej jednodniówki literackiej „Inaczej”.

W Krakowie Mach zaczął się także obracać w kręgu ludzi, którzy stali się wkrótce jego światem. W kręgu literatów. Zaczął nawiązywać przyjaźnie, m.in. z własnym promotorem Kazimierzem Wyką, Karolem Kurylukiem, ze Stefanem Otwinowskim, z Kazimierzem i Marią Brandysami czy Tadeuszem Konwickim.

► Legenda o pewnym podaniu

Także w 1945 r. Mach złożył podanie do Związku Zawodowego Literatów Polskich. Nie było to właściwie podanie, ale starannie opisany dotychczasowy żywot Macha, który miał już za sobą jakieś tam próby twórcze. Niecodzienne pismo zwraca uwagę wielu. „To nie było »podanie«, lecz ogromne, ciasno zapisane, na kilkanaście stronicy wypracowanie. Głównie uderzało w tym wypracowaniu pismo – staranne, uporządkowane, odmierzone, równymi rządkami biegnące przez papier. Człowiek, który to napisał, nie tyle jak każdy z nas posługiwał się śpiesznie literami dla wyrazu myśli, ile wykonywał swoje literę. Tak sobie od razu powiedziałem – te litery są wykonane przez kogoś chyba niebanalnego. Dukt i wygląd pisma pozostały u Macha zawsze takie same” – wspominał Kazimierz Wyka w tekście „Podgora, czyli o Wilhelmie Machu”, powstałym w roku śmierci pisarza. Chociaż epistoła wywołuje zdumienie, efekt przynosi zamierzony. Mach dostał pracę w redakcji „Twórczości” w charakterze sekretarza. Pełnił tę funkcję do 1950 r., przy czym od 1947 do 1948 przebywał na stypendium we Francji.

Jak wynika ze wspomnień Tadeusza Konwickiego, Mach bardzo szybko zdobył uznanie w środowisku krakowskich literatów. „Mach przeżywał w tym czasie swoje najpiękniejsze lata. Pojawił się jak meteor na krakowskim niebie na przełomie wojny i pokoju. Pierwsze numery »Twórczości« przyniosły jego fascynujące, zdumiewająco dojrzałe eseje [...]. Chłonna, wyposzczona, chciwa życia socjeta krakowska przywitała go jak młodego księcia” – zaznaczał autor „Małej Apokalipsy” w „Kalendarzu i klepsydrze”.

Mach pisze także swoją pierwszą powieść. Nosi tytuł „Rdza” i początkowo ma formę opowiadania, wydrukowanego w „Twórczości”. Później historia rozrasta się do formy książkowej. Chociaż książka

jest ukończona już w 1947 r., wychodzi dopiero w 1950 r., w wydawnictwie „Czytelnik”. Tomasz Burek pisze o niej, że to „debiut jakże mocno spóźniony” i zaznacza, że powieść nie zyskała rozgłosu z powodu „ostrego” klimatu, jaki zapanował w literaturze lat 50.

O czym była książka? Jeden z ówczesnych krytyków, Andrzej Kijowski, swoją recenzję utworu zatytułował „Skrzyżowanie Marksa z Freudem”. Chociaż zdarzały się pochwalne głosy, zwracające uwagę na to, że wskazywała rolę mas chłopskich w walce z niemieckim okupantem, to zarazem zarzucano jej nadmierną psychologizację. Zupełnie inaczej zapatruje się na utwór Janusz Termer („Kultura”, 1988 r.) „Napisał [Mach] mianowicie jedną z najlepszych, moim zdaniem, po dziś dzień powieści polskich o latach wojny! Chociaż daleko tu do jakiegokolwiek frontu, który pojawia się tylko w strzępach wrześnieowych wspomnień głównego bohatera Andrzeja Osieckiego, który głęboko przeżywa swój kompleks winy po porzuceniu w tej kampanii obrony mostu; tyleż z własnego tchórzostwa, co i z poczucia ogólnej beznadziei totalnej klęski. Niemców w okolicy, gdzie toczy się akcja powieści, jak na lekarstwo, wielkie konflikty i sprawy przechodzą gdzieś bokiem – tutaj pozornie nic się nie dzieje: układ jakby zakrzepły w stanie sprzed wojny. O walkach partyzanckich i ruchu oporu coś tam się słyszy i mówi, jedni drugich podejrzewają o udział w konspiracji, ale do czynnego w niej udziału nikt się specjalnie nie kwapi” – pisał.

► Socjalizm z przekonania

W 1950 r. „Twórczość” została przeniesiona do Warszawy, zmienił się prawie całkowicie zespół redakcyjny, pisma zresztą nie prowadził już Kazimierz Wyka. Mach również odszedł, choć, co ciekawe, przeprowadził się do Warszawy. Tutaj wszedł w skład propagującej hasła reżimu komunistycznego „Nowej Kultury”. W tym samym zespole znaleźli się także Kazimierz Brandys i Konwicki. Ryszard Matuszewski w tekście „Człowiek i pisarz ludziom przyjazny”, zamieszczonym we wspomnianym już zbiorze, stwierdził, że nowa redakcja w dużej części składała się z osób „zdecydowanych – zgodnie z ówczesną linią polityki kulturalnej – na bezkompromisową walkę z wszelkim »pięknoduchowstwem«, »inteligentnymi relikami«... – Cóż mogło łączyć delikatnego, wrażliwego jak mimoza czciciela literackiej finezji, jakim był Mach, z tą dynamiczną gromadką fanatyków polityki? Wbrew pozorom okazało się, że mogło łączyć wiele i że odnalezienie wspólnego języka z niektórymi zwłaszcza członka-

mi zespołu nastąpiło stosunkowo szybko, przedzierzając się niebawem w coraz serdeczniejszą wzajemną zażyłość i solidarność” – pisał. Zaznaczył także, że „typ tych doświadczeń uzasadniał wiarę i zaufanie w dydaktyczne, oświatowe, jednoznaczne społecznie i moralnie cele literatury, pozwalał mu wierzyć w zgodność celów własnych i tych zadań, jakie stawiano przed nową literaturą socjalistyczną w ogóle”.

Bowiem wskutek doświadczeń życiowych Mach zdawał się naprawdę wierzyć w socjalizm. Być może właśnie spędzone na wsi dzieciństwo, doświadczenie biedy i niekiedy niesprawiedliwości społecznej pchnęło go w tym kierunku. Trudno zarzucić bowiem Machowi, że był koniunkturalistą. Matuszewski wspomina, że kiedy nadeszła odwilż, mnóstwo osób starało się zmanifestować, jak zmieniły im się poglądy, odcinało się od tego, co przed chwilą głosiło, Mach pozostał wierny obranej drodze. Więcej, jeden z jego artykułów wywołał spore niezadowolenie u orędowników zmian. „Nie przeszkodziło to Machowi ustąpić z redakcji wówczas, kiedy sytuacja się zmieniła i najbardziej »zbuntowani« musieli ją opuścić. Mach do nich nie należał, mógł w zespole zostać, chętnie by go byli w nim nadal widzieli wszyscy decydujący o kierunku pisma i ci, którzy w nim pozostawali. Szczególna wrażliwość Macha podyktowała mu jednak odejście, bo z dwu dróg – wygodniejszej i mniej wygodnej – jego postawa nakazywała mu wybrać drugą” – zaznaczał Matuszewski.

Zanim jednak Mach opuścił redakcję, kierował działem prozy. I jako kierownik poświęcał potwornie dużo czasu na czytanie nadsyłanych do redakcji tekstów. W każdym z nich starał się znaleźć coś dobrego, jeśli nie udawało się, to było mu przykro. Zamiast więc zbywać teksty suchą informacją, że nie zostaną wydrukowane, odpisywał, radził, czytał poprawione. I tak w kółko, do momentu, aż coś da się w końcu wydrukować. Jeśli chodzi o rolę, jaką Mach odgrywał w stosunku do młodych poetów, trzeba by ją porównać do tej, jaką pełnił Jarosław Iwaszkiewicz. Otaczał opieką młodych pisarzy. W świat literackich tuzów wprowadził m.in. pisarza Marka Nowakowskiego.

„W najdosłowniejszym nawet sensie: niejeden z młodych po dziś dzień jest mu winien sto, dwieście czy pięćset złotych. Jeśli tylko mógł – pożyczal lub dawał po prostu. Potem chwytal się drobnych dziennikarskich robótek, recenzji, okolicznościowych artykułów – czy sam z kolei od kogoś innego pożyczal... Ale nie o takich długach pragnę mówić, nie taki jest pierwszy tytuł do wdzięczności, którą i ja, i bardzo liczni moi rówieśnicy jesteśmy mu

winni” – zaznaczał Marian Pilot w tekście „Doradca i przyjaciel młodzieży” (w „Wilhelm Mach. Człowiek i pisarz”).

W Warszawie Mach mieszkał przy ulicy Widok, prowadził bujne życie towarzyskie. Tutaj także daje się zauważyć dość specyficzna natura Macha. Henryk Bereza podkreśla, że główną cechą pisarza była niejednoznaczność. „Dzięki niej można go było zastać na przykład przy przygotowaniach kolacji dla ulicznika w trakcie intelektualnej rozmowy o »Obcym« Alberta Camusa z Marysią Brandysową. Niejednoznaczność sprawiała, że mogła się zdarzyć okazja do słuchania jego opowieści o rozmowie politycznej z marszałkiem Marianem Spychalskim [polski działacz partyjny i państwowy w okresie PRL, członek Komitetu Centralnego i Biura Politycznego KC PZPR – przyp. M.Z.] lub o całonocnym sporze z grupą generałów, gdy szło się akurat na wieczorną wódkę, a to z Jerzym Andrzejewskim, a to z Haliną Mikołajską lub czasem z samym Jerzym Zawieyskim. Towarzystwo ulicznika lub ulicznicy Machowi nie ubliżało, w towarzystwie generałów nie widział szczytu. Pozycje społeczne, maski polityczne, przebrania światopoglądowe, nie miały dla niego istotniejszego znaczenia” – pisał na łamach „Twórczości” w 1990 r.

► Nałkowska i miłość do Hłaski

W 1954 r. ukazały się „Pisma wybrane” Zofii Nałkowskiej. Mach był tym, który odpowiadał za kolejność pozycji w zbiorze, opatrzył go również wstępem. Co ciekawe, był najmłodszym z pisarzy, którym Nałkowska w testamencie powierzyła swoją spuściznę. Sędziwa już pisarka musiała „coś” zobaczyć w dużo od niej młodszym Machu. Kalina Błażewska, w poświęconym Nałkowskiej tekście „Takie życie – takie zdychanie” (tekst zamieszczony na portalu Wysokieobcasy.pl 10 stycznia 2015 r.) pisze: „Ostatnim mężczyzną w życiu Nałkowskiej jest młody pisarz Wilhelm Mach. Pomaga jej w korektach i przepisywaniu tekstów. Poza tym pociesza, zachęca, rozbawia, jest czuły. I nie pozwala mówić o śmierci. W grudniu 1952 roku Nałkowska stwierdza, że jest jej »chyba najbliższy o tym czasie życia«. Pozwala mu siedzieć za swoim biurkiem, kiedy sama leży w »ładnym i śmiałym negliżu«. Tego, że Mach jest homoseksualistą, nawet się nie domyśla”.

Orientacji seksualnej Macha mógł się domyślać za to Marek Hłasko, który się z nim kumpłował. Zważywszy na fakt, że Hłasko był znacznie młodszy i miał w sobie pewien magnetyzm, Mach podkochiwał się w nim bardzo intensywnie. Z ich znajomością wiąże się pewna anegdota. Kazimierz Brandys w „Miesiącach 1982–1984” wspomina, jak Hłasko po pijaku przyniósł do mieszkania Wilhelma

Macha okropnie ciężki znak drogowy STOP, razem z żelaznym stojakiem. „Potem do świtu zamęczał Macha pytaniami: dlaczego świat jest straszny, dlaczego ludzie są podli. Znak drogowy był jego gałęzią, Mach księdzem” – pisze Brandys.

O homoseksualizmie Macha ogródkami pisał też Wyka. „Pseudomoralna cenzura obyczajowa jeszcze wciąż trzyma pieczęć przemilczenia na pewnych sprawach, gdy tymczasem one istnieją i nie wiadomo, po co ta pieczęć” – enigmatycznie zaznaczał w „Podgorze”. Machowi poświęca jeden z rozdziałów książki „Homobiografie” Krzysztof Tomasiak. Cytując tam wspomnienia różnych pisarzy, w tym wspomnianych Nowakowskiego i Brandysa, kreśli obraz Macha uciśnionego i znoszącego liczne upokorzenia wynikające z takich, nie innych preferencji seksualnych, a także opowieści o źle ulokowanych uczuciach.

Dla niniejszej sylwetki orientacja seksualna Macha ma zresztą znaczenie drugorzędne, odnotowując ją z kronikarskiego obowiązku, ubolewając zarazem, że właśnie ten wątek w życiu Macha jest jednym z najczęściej wybijanych. Ale wiadomo, skądale towarzyskie i sprawy związane z tym, kto z kim, zawsze fascynują.

Wróćmy jednak do literatury. W 1955 r. ukazała się powieść „Jaworowy dom”, Mach otrzymał za nią wyróżnienie do Nagrody Państwowej. „Niektórym czytelnikom książki „Jaworowy dom” może się bowiem wydawać, że została napisana na jakieś koniunkturalne zapotrzebowanie” – zaznaczał cytowany już Edward Milas.

W tej powieści widać chyba najlepiej, jak mocno biografia Macha zrosła się z jego twórczością. W ojcu, starym Jaworze, z łatwością można dopatrzeć się surowego ojca Wincentego, który najwyraźniej musiał odcisnąć jakieś piętno na psychice syna, zaś Mach jest zagubionym, wrażliwym i wyobcowanym dzieckiem.

„Ojciec był człowiekiem surowym i stanowczym, wieloletnia służba wojskowa ukształtowała jego poglądy, pan Stefan utrzymuje, iż był zwolennikiem nieomal wojskowej dyscypliny w domu. Kiedy umarł w roku 1930, Wilhelm Mach liczył sobie zaledwie 13 lat, niemniej twarda osobowość ojcowska ciążyła na jego psychice i wzajemne stosunki między ojcem i synem, trudności wzajemnego porozumienia, stanowią częsty motyw jego twórczości” – pisał Zbigniew Wawrzczak.

Z kolei Janusz Termer, autor licznych publikacji poświęconych twórczości Macha, zauważa, że „nie wyszła mu [Machowi] może całkiem zwycięsko tylko próba walki z »socrealistycznymi pokusami« czysto socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego w powieści »Jaworowy dom«

(1954), choć i tutaj daleki był od stosunku prostej politycznej podległości regułom tej odgórnie wówczas narzucanej twórcom »poetyki«. Ale już wydane po październikowym przełomie »Życie duże i małe« (1959), proza świetnie utrzymana w ryzach baśniowo-mitologicznego realizmu, przywróciło dawny artystycznie i poznawczo czysty blask jego prozie, znany z »Rdzy« – pisał Janusz Termer w tekście »Mach po 95 latach« (tekst ze strony pisarze.pl).

► Tylko świetny pisarz

Dwie ostatnie książki Macha to »Góry nad czarnym morzem« (1961 r.), będące owocem fascynacji Bułgarią (Mach podróżował zresztą także do Indii, Ameryki i Związku Radzieckiego), którą pisarz uznawał wręcz za swoją drugą ojczyznę, i »Agnieszka, córka Kolumba«, za którą otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia. Powieść opowiada o trudnej miłości soltysa Bałcza, byłego dowódcy kompanii karnej, zdobywającej wioskę, której obecnie soltysuje, i tytułowej Agnieszki, wiejskiej nauczycielki. Między zakochanymi wywiązują się spory natury moralno-ideologicznej. Choć oboje się kochają, nie udaje im się stworzyć związku.

Mimo że książki Macha prezentują wysoki poziom literacki, wśród jego przyjaciół pojawiły się opinie, iż nie spełnił on oczekiwań. »Wszystkie jego książki były piękne, po swojemu piękne, i mam nadzieję, że zostaną na zawsze w naszej literaturze. Ale są one piękne podobnie, jak są piękne inne książki współczesnych. A ja przecież widziałem, słowo honoru daję, na własne oczy widziałem, jak zaczynało się w nim rozjarzać jeszcze wtedy, w krakowskim okresie, fosforyzujące, tajemnicze, nieziemskie światło, jak drgało konwulsyjnie, jak wzbierało nienaturalną mocą, żeby nagle eksplodować rozbłyskiem – darujcie, przepraszam – geniuszu, choć ja już dzisiaj dawno nie wierzę w geniusz człowieka i z trudem sobie przypominam tę jego odległą zapowiedź. Ale nie było eksplozji. Mach skarłał do wymiarów świetnego pisarza, który jednych zachwyca, a drugich nudzi« – pisał Konwicki w »Kalendarzu i klepsydze«.

► Co by było, gdyby...

Warto zaznaczyć, że Mach interesował się także kinem. Jak wspomina Tomasz Burek, recenzował »Krzyk« Antonioniego, »Matkę Joannę od Aniołów« Kawalerowicza i wciągnął się we współpracę z kine-matografią – w ostatnich latach życia był kierownikiem literackim zespołu filmowego »Kamera«.

Mach zmarł 2 lipca 1965 r. w Warszawie. Przy jego śmierci był jego młody bułgarski przyjaciel. Przez długi

czas jako przyczynę śmierci podawano atak serca, dziś równie powszechna jest wersja mówiąca o tym, że było to samobójstwo. »[...] nie wytrzymał własnego napięcia. Wszystko było w nim wyęteżone aż do bólu, naciągnięte jego chłopską wolą dopełnienia komunii wbrew wszelkim oczywistościom. Gdzie, kiedy go to tknęło, ten nienasycony głód przyjaźni całkowitej, ostatecznej? Pamiętnik prowadzony przez lata zakończył słowem »ciemność« [...] przez następne miesiące spotykałem ludzi, którzy mówili, że nie wierzą – że dalej słyszą jego głos« – pisał o jego śmierci Kazimierz Brzdys w »Rynku«.

Mach jest dziś prawie całkowicie zapomniany, ale warto go sobie odświeżyć. Choć z całą pewnością nie był pisarzem na bakier z reżimem, to jego pisarstwo na tle dzieł ówczesnie powstających w głównym, oficjalnym nurcie jest boleśnie autentyczne. Tomasz Burek zauważa, że »w przeciwieństwie jednak do teorii, postulującej wielostronny i dynamiczny charakter powiązań literatury ze światem, w którym żyjemy i który zmienia się z wielką szybkością [...] świat wyobraźni Wilhelma Macha był zamknięty, wąski, kameralny, ograniczony do kilku obsesyjnie podejmowanych i modulowanych motywów, monotematyczny w swej istocie, odrębny i odporny na sugestie czasu (pomimo takich czy innych koncesji zewnętrznych, dość daleko idących zwłaszcza w latach 1950–1954)«.

Wydawać się może, że Macha, chociażby jako członka redakcji »Nowej Kultury«, należałoby spisać na straty, jako pisarza flirtującego z PRL-em. Warto jednak zwrócić uwagę na kilka spraw. Po pierwsze, jego rola jako mecenasa kultury, wspierającego innych pisarzy, zasługuje jeśli nie na uznanie, to przynajmniej na pamięć. Po drugie, łatwiej – przynajmniej mi, przyjać zachwyt socjalizmem u kogoś, kto wywodził się z wiejskiego środowiska i miał życiowe powody, by utożsamiać się z nową ideologią, niż koniunkturalistom. Po trzecie zaś, pamiętać trzeba, że fala wielkich nawróceń, ocknień i otrzeźwień przetoczyła się przez polski świat literacki w 1968 r., po wydarzeniach marcowych, zaś w niektórych wypadkach jeszcze później. Wielu pisarzy, w przeszłości wypisujących niekiedy wręcz peany na cześć systemu, po zmianie frontu chodziło w chwale opozycjonistów. Może więc i Mach – który wedle wspomnień znajomych był dobrym człowiekiem – miałby szanse na nawrócenie?

A może i nie. Wszak Ryszard Matuszewski pisał o nim, że »w życiu starał się zbliżyć jedynie do tego, w czym widział ową jasną stronę natury ludzkiej. Kontakt z ciemną raczej unikał, po prostu wycofwał się i milkł«. Może więc milczałby wobec manifestacji studenckich i wydarzeń radomskich? Nie ma co gdybać, tego już się nie dowiemy. ■



Bracia Antoni Kozłowski „Biały” i Bolesław Kozłowski „Grot”. Fotografie przedwojenne

Dariusz Jarosiński



Walkę o Polskę mieli we krwi

Jeden z hierarchów Kościoła katolickiego powiedział kilka lat temu o mieszkańcach ziemi łomżyńskiej, iż jest to „wierny lud, Bogu oddany, przywiązany do Kościoła i ojczyzny”. Na pewno nie przesadził w słowach. W nadbiebrzańskej i nadnarwiańskiej krainie Żołnierze Wyklęci jeszcze w latach 50. stawiali zbrojny opór komunistom. W walce brały nieraz udział całe rodziny.

Kozłowski to stara szlachecka rodzina, z kilkowiekową tradycją, której przodkowie walczyli w powstaniach narodowych. W rodzinie pielegnowane były nie tylko wartości patriotyczne, narodowe, lecz także dbano o jak najlepsze wykształcenie. Z dużym powodzeniem Kozłowski prowadzili swoje majątki rolne. Izydor Kozłowski, nestor rodziny, zarządzał dużymi, bo ponadtysiąchektarowymi dobrami ziemskimi, znajdującymi się w powiatach łomżyńskim i wołkowyskim. W powiecie łomżyńskim były to majątki Siemień i Kałęczyn, a w powiecie wołkowyskim m.in. Janów-Teklin – w tymże majątku prowadzona była na bardzo wysokim poziomie hodowla koni arabskich, wymagająca dużej wiedzy i umiejętności. We wrześniu 1939 r. konie zostały przekazane na potrzeby polskiej armii.

Izydor i Stefania Kozłowski mieli sześcioro dzieci – pięciu synów i córkę. Wszyscy walczyli w podziemiu niepodległościowym. Najstarszym z dzieci był Antoni, rocznik 1910, przyszły kapitan Wojska Polskiego, Narodowych Sił Zbrojnych, ps. „Szczerebiec”, „Biały”, pełniący m.in. funkcję komendanta Powiatu Łomża NSZ, a jednocześnie inspektora Obwodu „A” w Okręgu Białystok NSZ. Kierował też Akcją Specjalną, czyli odpowiednikiem AK-owskiego Kedywu. Zginął w czerwcu 1944 r. w bitwie z Niemcami w Czerwonym Borze.

W 1915 r. urodził się Marian, przyszły kapitan Narodowej Organizacji Wojskowej, major Narodowych Sił Zbrojnych i powstałego z połączenia tych organizacji w 1945 r. Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Używał pseudonimów „Lech”, „Przemysław”, „Dąbrowa”, w 1945 r. objął funkcję komendanta Okręgu NZW Olsztyn kryptonim „Bałtyk”.

W 1918 r. przyszedł na świat Bolesław, przyszły kapitan NSZ i NZW, ps. „Grot”, „Hanka”, „Marek”, „Sowa”. Po śmierci brata Antoniego „Białego”, „Grot” został komendantem Powiatu NSZ Łomża, później pełnił funkcję zastępcy komendanta Okręgu NZW Białystok kryptonim „Chrobry”, kierował dwoma wydziałami w komendzie Okręgu – wywiadu i propagandy.

Józef Kozłowski, choć nosił w NSZ pseudonim „Mały”, był najwyższy z braci, miał dwa metry wzrostu. Walczył w oddziale partyzanckim brata Mariana „Lecha”. Na temat siły i odwagi „Małego” pozostały liczne wspomnienia. Zginął jako pierwszy z braci,

pod koniec 1943 r., w potyczce z niemiecką żandarmerią niedaleko Borkowa. Po śmierci trudno było znaleźć odpowiednią dla niego rozmiarami trumnę. Najmłodszym z pięciu niezłomnych braci był Izydor ps. „Idek”, rocznik 1923, który nosił imię po ojcu. Obaj też z ojcem 1 listopada 1943 r. zostali aresztowani w Kałęczynie przez gestapo i przewiezieni do niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku, a stamtąd do Auschwitz. 17 maja 1944 r. na oczach „Idka” Niemcy zamordowali jego ojca.

► Podobne drogi życiowe



Bolesław Kozłowski „Grot” z żoną Krystyną „Cyganką” i synkiem Markiem. Łomża, rok 1947, wkrótce po ujawnieniu się

Rodzeństwo Kozłowskich pierwsze nauki, na poziomie szkoły powszechnej, pobierało w domu. O edukację dzieci dbały guwernantki. Zatrudnione we dworze nauczycielki, Niemka i Francuzka, uczyły języka niemieckiego i francuskiego. Bracia poznali również łacinę i język rosyjski. Aby umożliwić dzieciom naukę w Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Łomży, w 1929 r. państwo Kozłowski zamieszkali w położonym w pobliżu miasta dworku w Kałęczynie. Wszystkie dzieci należały do Związku Harcerstwa Polskiego, który dbał o ich wychowanie patriotyczne, przygotowywał do życia w trudnych warunkach. Na letnie obozy łomżyńscy harcerze wyjeżdżali nad jezioro Narocz na Wileńszczyźnie. Chłopcy, będąc uczniami szkół średnich, uczęszczali też na kursy wojskowe.

Bracia Kozłowski zdobyli świetne wykształcenie – Antoni ukończył Wydział Nauk Politycznych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, Marian był absolwentem słynnego Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej przy wileńskim uniwersytecie. Instytut ten należał do najbardziej elitarnych polskich uczelni, przygotowywał do pracy w dyplomacji, wywiadzie. Wśród profesorów byli m.in. Stefan Ehrenkreutz, Wiktor Sukiennicki, Stanisław Swianiewicz. Wojna uniemożliwiła Bolesławowi dokończenie studiów w Wilnie na Wydziale Nauk Politycznych, najmłodszy z braci, Izydor, z uwagi na wiek nie zaczął studiów uniwersyteckich.

Kałęczyński dwór po wybuchu wojny pełnił ważną funkcję ośrodka pracy niepodległościowej w najbliższym terenie. Tutaj na poddaszu domostwa przechowywane było archiwum, w zabudowaniach gospodarczych znajdowały się specjalne schrony dla

rannych partyzantów, nad którymi opiekę sprawowali Stanisława i „Idek”. Senior rodu, Izydor Kozłowski, był przed wojną członkiem Stronnictwa Narodowego, również jego synowie działali w strukturach tej partii, nic zatem dziwnego, że związali swą działalność z narodowymi formacjami zbrojnymi, które były im bliskie ideowo. Wszyscy przeszli podobną drogę: jesienią 1939 r. przystąpili do Polskiego Związku Powstańczego, w lipcu 1941 r. weszli w szeregi Narodowej Organizacji Wojskowej, a we wrześniu 1943 r. przeszli z częścią żołnierzy do Narodowych Sił Zbrojnych. Stworzyli sprawną, dobrze wyszkoloną organizację. Najbardziej doświadczony z braci, przedwojenny oficer zawodowy Antoni „Biały”, awansowany do stopnia kapitana, objął komendę nad powiatowymi strukturami NSZ oraz dowództwo nad oddziałem partyzanckim. W 1943 r. utworzone zostały dwa elitarne oddziały Akcji Specjalnej przeznaczone do akcji sabotażowych, dywersyjnych – nad jednym dowództwo objął kpt. „Biały”, a nad drugim kpt. „Lech”, czyli brat Marian.

► Łzy. Radość. Wolność. Życie

12 czerwca oddział Akcji Specjalnej NSZ pod dowództwem kpt. Antoniego Kozłowskiego „Białego” w akcji w pobliżu miejscowości Cychy odbił z rąk niemieckich żandarmów 30 aresztowanych członków podziemia, osób z siatki AK, w tym trzy kobiety. Tak po latach opowiadał o tamtych wydarzeniach Bolesław Kozłowski „Grot” dziennikarzowi Ryszardowi Wójcikowi. Rozmowa została przeprowadzona w 1975 r., ale opublikowana dopiero w 1989 r., pt. „Krwia obmyta”: „Na dał nam cynk akowiec, ten szucman Kotowski, który służył dla nas u Niemców. Taka wiadomość, że w Zabieli pod Kolnem aresztowali żandarmi całą akowską siatkę. Tam dowodził mój kumpel, Olszak, pseudonim »Szarecki« [komendant Rejonu AK Kolno por. Stanisław Olszak „Szarecki” – przyp. D.J.], znany mi jeszcze z Wilna. »Szarecki« wiele razy dawał osłonę naszemu oddziałom. U niego odsypiałem z ludźmi trudniejsze akcje. Tu właśnie widzi pan tę sprawę: jakim zygakiem biegle linie organizacyjnych i politycznych podziałów w podziemiu. Wiadomość ważna: aresztowali trzydzieści osób, w tym trzy kobiety, a wśród mężczyzn jest dowódca kompanii. Akurat wtedy był to mój teren. Oczywiście zapadła decyzja: odbijamy. Tylko kiedy ich powioz? Ślę łącznika do »Szareckiego« i jest odpowiedź: »Nie martw się, zalaćmy to sami«. Ale na drugi dzień nadchodzi meldunek: »Niemcy już szykują transport«. Powioz więźniów przez Mały Płock do Łomży. A więc to my ich musimy przechwycić. I oto zjawia się mój brat – Antek. On zginie dopiero potem na Czerwonym Borze. Teraz



foto: Archiwum rodzinnego Wojciecha Kozłowskiego

Marian Kozłowski „Dąbrowa”, były komendant Okręgu Olsztyn NZW kryptonim „Bałtyk”

ledwie żywy ze swoimi ludźmi, którzy już ryją nosem przy ziemi, zmordowani długim marszem. »Z tymi chłopakami nie pójdziesz« – mówię do niego. »Biały« na to: »Chłopcy! Jest trzydziestu aresztowanych, trzeba ich odbić. Kto na ochotnika?«. Zerwali się wszyscy. Gola się, myją, pucują. Taki był nasz partyzant. Łącznicy meldują co pół godziny. Jedzie ten konwój. Dwie fury i bryczka. Na bryczce żandarm, sadysta Rauch, z nim trzech szucmani, wśród nich nasz Kotowski; ludzie na furach skuci kajdankami, powiązani w szereg do jednego stalowego pręta. Wydaje rozkaz: »Zająć pozycje przy szosie i – spać!«. Rozkaz został wykonany. Niestety, zasnął także wartownik, młode chłopaczysko. Tylko mnie zawdzięcza, że nie dostał czapy. Przejechał konwój! Gonimy. Łapiemy pierwszą lepszą furmankę, jaką rodzina schodzi bez słowa z wozu. Gdy widzą, jak wsiadamy i co koń wyskoczy, klękają w rowie i odmawiają modlitwę za konających! O nic nawet nie pytali. Druga fura – to samo. Rogiński, pseudonim »Róg«, kieruje tą pierwszą furą. Konie w cwał. Chłopcy przykryci plandeką, broń schowana. Tak pędzą aż do Bud Czarneckich. Niemcy się oglądają, słyszą klekot wozu, ale myślą, że to pijani chłopcy gonią szkapiska, bo furmanka zatacza się całą szerokością drogi. Już Rauch szykuje

knut na tych chamów. Niemiec konie szanuje! Tu, koło Cydzyna, rozbabrana szosa, trwają roboty drogowe. A do Łomży – ręką podać. Ostatnia pora. Furmanka właśnie mija Raucha, plandeki spadają z głów, lufy kierują się na brykę. Żandarm i Rogiński zeskakują na ziemię prawie jednocześnie i mierzą w swoje brzuchy z pistoletów. Co ma wisieć, nie utonie. »Róg« zginie potem, już w wolnej Polsce, zgnieciony przez KBW – teraz pali do Raucha i dziurawi mu bandzioch. Szucmani strzelają, ale pewnie w powietrze, Kotowski tego Raucha w rowie dobija i ucieka do lasu. Gonią go nasze kule, ale ktoś przytomniejszy woła: »To nasz, to nasz!«. Przeżył cudem. A tam dołącza druga nasza furmanka i trzeba prędko brać zakładników, bo skuci dobrze, a nie ma kto ich rozkuć. Ten rozwała żelazo o kamień, a tamten musi czekać aż Kotowski wróci z kłuczami i otworzy. Koniec akcji. Ludzie uratowani. Łzy. Radość. Wolność. Życie».

► „Za te jego cuchnące gacie zwolniono stu Polaków”

Najbardziej spektakularna akcja braci Kozłowskich została przeprowadzona 16 czerwca, a więc cztery dni po akcji pod Cydzynem. Żołnierze z oddziału kpt. „Białego” pojmali niemieckich zakładników, za których tytułem wymiany uwolniono z więzienia w Łomży ponad 300 Polaków. Bolesław Kozłowski „Grot” tak wspominał to zdarzenie niemające precedensu w historii polskiego podziemia:

„Wywiad doniósł, że do zarządcy majątku w Lachowie, niejakiego Roberta Piwko, jadą w gości dwaj niemieccy oficerowie – major Wehrmachtu, Gutzeit, i porucznik Kretschmann. Plan mój był taki: zagarnąć zakładników i wytargować u Niemców, ile się da, naszych więźniów z Łomży. Z tym zarządcą Piwko mieliśmy od dawna na pieńku. Mazur z pochodzenia, mówił dobrze po polsku, ale drań był dla Polaków wyjątkowy. Bił po głowie, gdy się kto nie uklonił, dziewczuchy tarmosił, byle się jaka podwinęła. Mój brat Antoni, kapitan »Biały«, byłby go już stuknął, gdyby nie obawa odwetu wobec bezbronnej ludności okolicznej. Mieliśmy kaem, typu hotchkiss, dobrze ustawiony na zakręcie w lasku, tak na wszelki wypadek: wóz jechał bez konwoju, więc działać trzeba było zaskoczeniem. Gdy auto zwolniło przed zwaloną umyślnie kłodą, brat doskoczył z pistoletem i tamci posłusznie podnieśli ręce. Moja tyralierka [...] wysypała się na szosę, zamykając kółeczko. Nie powiem: major Gutzeit okazał się chłop odważny. Odepchnął naszego konwojenta i w nogi! Chłopak młody, płacząc z rozpacz, pogonił za nim – strzelać zakazałem bez względu na okoliczności. Młodsze nogi wzięły górę i – zakręciwszy młynka kolbą – goniący powalił majora. Szofer, Polak zresztą, stał posłusznie. Natomiast woj-

skowy, siedzący w aucie, ani drgnął. Zbliżyłem lufę do jego karku i wtedy szpetny grzmot rozległ się pod mundurem. Woń niemiła spowila okolicę. [...] – Ach, poruczniku Kretschmann, nie wstyd to panu kalać tak polskie powietrze? – ulżyłem sobie i ja niewybrednie. [...] Zawiązałem jejcom opaski, a sam z bratem i jeszcze Sykut i Wagner (zginęli wkrótce na Czerwonym Borze, tam gdzie i mój brat, tak samo w kupie jak zawsze, we trójkę...) – ruszamy do Lachowa. Piwko wyszedł z pałacyku i tylko kwiknął jak prosię na widok pistoletu. Wielkie było chłopisko i z ikłą. Złapał i on za gnata. Już go jednak pomacałem po kręgosłupie żelazem. Zesztywniał. Jego żonę, Emmę, wzięliśmy z nim razem do towarzystwa. I do lasu. [...] Ogłaszamy więc zakładnikom wyrok. Za trzy godziny zostaną rozłupani. Wet za wet, oko za oko. Litości być nie może i nie będzie. Kluczemy jednak lasem, niby że naokoło wertepy okropne. Bóg wie, w jakich chaszczach się kryjemy. Na umówionej polance odbieram fikcyjne meldunki rzekomych „batalionów”: dogadani chłopcy, ubrani w mundury, berety, trzaskają kopytami raportując stan bojowy nieistniejących jednostek. Gdzieś, niedaleko, wyje na obrotach zdobyczny samochód, niemalże »odwód pancerny!« Słyszę, jak major mówi do porucznika: »Zmotoryzowana żandarmeria leśna!«. Strach ma wielkie oczy. Gdy mija termin ultimatum – wpadam do bunkra i oznajmiam: »Wasi, tam w Łomży, zlekceważyli nasze warunki i rozpoczęli pacyfikację Lachowa! Jeśli akcja ta nie zostanie wstrzymana – wyrok wykonamy za godzinę.« »Mein Gott!« – modlą się, całują, żegnają z życiem. Przecież mnie o to idzie. [...] I znowu za jakiś czas wchodzę do lochu: od razu wstają wszyscy na mój widok. Jedno w oczach pytanie: pętla już czy kula. Wstrętną mam rolę i chamski scenariusz, ale w tej grze jest stawka najwyższa. Losy łomżyńskich więźniów. »Wasi jednak poszli po rozum do głowy« – mówię. »Cofnęli żandarmów z Lachowa. Dali wam jeszcze szansę«. I znowu zwłoka. Koncert nerwów napiętych do ostateczności. Weźmie ryba czy nie weźmie? Na drugi czy na trzeci dzień zaczęli pisać listy do władz niemieckich. Major napisał nawet do samego Hitlera. Jego bratanek był ulubieńcem Führera, bodajże znanym lotnikiem. »Mój Wodzu! Jesteśmy w rękach polskiej żandarmerii leśnej, traktowani jako zakładnicy bardzo humanitarnie [...]«. Listy pisali przez kalkę. Tłumaczone w naszym obozowisku stanowiły dla moich ludzi nie lada rozrywkę. Mieliśmy pod nogami tyle tylko »wyzwolonej« ziemi, ile nakrywały jej nasze stopy. Te kopie listów przetrwały wojnę i zaginęły dopiero w cztery lata później, gdy mnie aresztowano. Wreszcie nasz łącznik, który podłączonym do sieci aparatem porozumiewał się z łomżyńskim więzieniem, przyniósł upragnioną wiadomość: gestapo zwolni na próbę stu Polaków za jednego zwolnionego Niemca! I wtedy przekonał się

się, jak bardzo ci nasi wrogowie są wobec siebie solidarni i jacy zdyscyplinowani! Daliśmy im możliwość wyboru, kto zwolniony będzie pierwszy. Wybrali najstarszego rangą – majora. I jemu, majorowi, dawali – zauważyłem to – najwygodniejszy kąć do spania i najlepszy kęs spyży. »Major pójdzie ostatni« – ogłosiłem nowinę. »Na razie zwolnimy porucznika«. Myślałem, że śmierdziel znowu popuści w portki z uciechy. Za te jego cuchnące gacie zwolniono stu Polaków, kobiet, dzieci, starców. Pozostałych troje zwolniliśmy już hurtem. Dla fasonu, w tym samym miejscu na drodze, gdzieśmy ich capnęli, stała bryka pana Piwko, sprawadzoną z majątku – żeby drań wiedział, że oni naprawdę wiele... Ogłosiłem: »Ciebie zwalniamy tylko na prośbę tujszej ludności. Tym chłopom zawdzięczasz życie. Pamiętaj, jeśli skrzywdzisz naszego – kula cię nie ominie!«. Próbował mnie pocałować w rękę. »To wy nie bandyci, wy polskie wojsko!« – zasalutował major.

Potem w śledztwie prokurator przypomniał mi tę historię, niby że rozmawiałem »w białych rękawiczkach z hitlerowcami«, że się z nimi »dogadałem«. Powiedziałem mu, że to była wygrana bitwa, w której nie padł żaden strzał, a ocalono życie kilkuset ludzi. A on mi na to: »Uzgodniliście tę komedię wcześniej, żeby pokryć waszą faktyczną współpracę z gestapo! I za to was czapa nie minie«.

► Podpalić własny dom

1 listopada 1943 r. gestapowcy aresztowali Izzydora Kozłowskiego wraz z synem „Idkiem”. Następnego dnia bracia Marian i Bolesław w obawie o rewizję w domu i ewentualne znalezienie archiwum, a nie mieli pojęcia, gdzie ojciec ukrył dokumenty, zdecydowali się na podpalenie rodzinnego domu. Niełatwo było patrzeć, jak ogień trawi własny dom. Matka z córką Stanisławą przeżywały trudny czas, bo musiały radzić sobie same bez mężczyzn. Nigdy jednak nie uskarżały się na los. Ojciec nie wrócił już z obozu koncentracyjnego, został zamordowany w pokazowej egzekucji w KL Auschwitz, świadkiem morderstwa był „Idek”. Chłopcu co prawda udało się jesienią 1944 r. zbiec z transportu zdążającego z więźniami do Buchenwaldu i dotrzeć do domu, co było wprost niewiarygodnym wyczynem, ale w styczniu 1945 r. zmarł z wycieńczenia. Przynajmniej umierał wśród bliskich.

W czerwcu 1944 r., a dokładnie w nocy z 20 na 21 czerwca, została zarządzona koncentracja oddziałów AK, NOW i NSZ w Czerwonym Borze niedaleko wsi Giełczyn. 23 czerwca nad ranem doszło do niespodziewanego ataku niemieckich formacji frontowych specjalnie tutaj ściągniętych samochodami i pociągami. Do pacyfikacji oddziałów podziemia li-

czących 250 partyzantów Niemcy rzucili 5 tys. żołnierzy. Liczyli na rozgromienie Polaków, ale przeliczyli się. Oddział NSZ kpt. Antoniego Kozłowskiego „Białego” i oddział AK ppor. Franciszka Żebrowskiego „Wyda” (ojca Leszka Żebrowskiego – historyka, publicysty) przyjeły na siebie huraganowy niemiecki atak. W ten sposób związali siły wroga i umożliwili kolegom partyzantom z innych formacji wydostanie się z obławy. W bitwie zginęło 90 partyzantów, 140 uratowało się; wśród ocalonych 50 było rannych. Niemcy odnieśli duże straty – zabitych zostało około 100 żołnierzy, a 200 odniosło rany (niektóre źródła podają, że straty niemieckie wyniosły 200 zabitych). W bitwie zginęli m.in. kpt. „Biały” oraz jego najbliżsi podkomendni, żołnierze z obstawy Leon Sykut „Sokół” i Piotr Wagner „Lis”. Wszyscy zostali pochowani w jednym grobie na cmentarzu w Łomży obok „Idka”, brata „Białego”. Gdyby nie bohaterska postawa kpt. „Białego”, Niemcy unicestwiliby z pewnością całe zgrupowanie partyzanckie. Niemcy nie dostreśli obozowisk oddziałów „Białego” i „Wyda”, mogły one spokojnie wycofać się bez szwanku, a jednak pospieszyły na odsiecz kolegom, podejmując straceniową walkę, bo zarówno „Biały”, jak i „Wyd”, zdawali sobie sprawę z tego, że ich manewr jest prawie samobójczy.

Po śmierci kpt. „Białego” komendantem Powiatu Łomża NSZ został jego brat, por. „Grot”. Tuż przed akcją „Burza”, przed nadejściem Armii Czerwonej, „Grot” rozwiązał oddziały zbrojne, nakazał partyzantom udanie się na kwatery, przejście do głębokiej konspiracji i czekanie na rozkazy. Tym samym uchronił żołnierzy przed dekonspiracją, wywózką na Syberię, aresztowaniami. Czas ten por. „Grot” wykorzystał na reorganizację struktur NSZ, dostosowanie ich do walki z nowym okupantem. Powiększył też liczebność partyzantów. W marcu 1945 r. przeprowadzone zostały pierwsze akcje NSZ w powiecie na posterunki MO w Stawiskach, Szczepankowie, Rogienicach. Rozstrzelano kilku milicjantów, dokonano też ataku na niewielki garnizon żołnierzy sowieckich. Latem 1945 r. w KP NSZ Łomża było 2750 zaprzysiężonych żołnierzy. We wrześniu tego roku po scaleniu NSZ z NOW powstała nowa organizacja – Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, przygotowana do walki z sowieckim okupantem. „Grot”, awansowany do stopnia kapitana, objął funkcję zastępcy komendanta Okręgu Białostockiego NZW, jednocześnie sprawował dowództwo nad dwoma Wydziałami – II (wywiadem) i V (propagandą). W powiecie łomżyńskim działało równie silne jak NZW podziemie poakowskie, związane najpierw z Armią Krajową Obywatelską (AKO), a później ze Zrzeszeniem Wolność i Niezawisłość, które prowadziło intensywną działalność zbrojną. Na Białostocczyźnie, a już szczególnie w powiecie łomżyńskim,



fot. Archiwum rodzinne Wojciecha Kozłowskiego

Bolesław Kozłowski w pracy w łomżyńskim Biurze Turystycznym „Gromada”

mieliśmy z pewnością do czynienia z powstaniem antykomunistycznym. Długo by można było wymieniać akcje zbrojne wymierzone w bolszewię – rozbijane były więzienia, posterunki MO, zajmowane miasteczka, rozstrzeliwani zdrajcy, konfidenci. Oddziały NZW pod dowództwem por. Michała Bierzyńskiego „Sępa”, ppor. Henryka Jastrzębskiego „Zbycha”, ppor. Stanisława Grabowskiego „Wiarusa” siały strach wśród komunistów, ich konfidentów. Mieszkańcy łomżyńskich wsi z jednakowym zaangażowaniem i poświęceniem udzielali wsparcia żołnierzom NZW i WiN, choć cena za udzielanie pomocy była niezwykle wysoka – komuniści pacyfikowali całe wsie, konfiskowali gospodarstwa, aresztowali ludzi i poddawali ich brutalnym śledztwom.

► Taki miał dar

Kpt. Bolesław Kozłowski „Grot” w 1945 r. ożenił się z łączniczką NSZ, NZW Krystyną Chętnik „Krystyną”, „Cyganką”, córką Adama Chętnika, wybitnego etnografa, muzealnika, działacza społecznego. „Grot” cieszył się dużym szacunkiem wśród żołnierzy. Często jeździł w teren, spotykał się z wojskiem, dbał o morale żołnierzy. Bronisław Karwowski „Grom”, jeden z ostatnich żyjących żołnierzy Pogotowia Akcji Specjalnej Komendy Powiatu Łomża NZW, wspomina takie odwiedziny: „Jak był z nami »Grot«, zawsze odmawialiśmy modlitwę. »Grot« był płomiennym mówcą. Po przyjeździe [na kwaterę – przyp. D.J.] albo przed wymarszem wydawał komendę: »W szeregu! Czapki zdejść! Modlitwa« – a potem wygłaszał przemówienie. Zawsze przy tym stała grupa ludzi ze wsi, nabierało się ciekawskich dzieci, myśmy płakali i ludzie płakali, taki miał dar. Potrafił mówić, aż za serce brało. Po jego przemówieniu mogliśmy iść na noże”.

Brat kpt. „Grota”, mjr Marian Kozłowski „Lech” „Dąbrowa”, na początku 1946 r. otrzymał nominację na komendanta Okręgu Olsztyn NZW kryptonim „Bałtyk”. Oddział Pogotowia Akcji Specjalnej dowodzony przez Jerzego Karwowskiego „Newadę” szcze-

gólną aktywnością wykazywał się w powiecie Pisz i Giżycko, rozbrajając posterunki MO. Od wiosny 1946 r. teren Okręgu „Bałtyk” służył głównie rekwirowaniu koni, maszyn z państwowych gospodarstw na Mazurach, które później były sprzedawane, a pieniądze zasilały kasę Okręgu Białystok „Chrobry”.

W styczniu 1947 r. odbyły się tzw. wybory do Sejmu. Komuniści, nie licząc się kompletnie z opinią publiczną, sfalszowali je niemal na oczach całego społeczeństwa. Nowy Sejm zdominowany przez bolszewików ogłosił w lutym amnestię dla członków podziemia niepodległościowego. Komenda Okręgu NZW Białystok nie była jednomyślna, czy należy się ujawniać. Komendant Okręgu ppłk Władysław Żwański „Błękit” wydał rozkaz zabraniający ujawniania się, nie wszyscy komendanci powiatowi jednak się temu podporządkowali. Przeciwny rozkazowi był także jego zastępca, kpt. „Grot” – od tej pory ppłk „Błękit” dowodził jednoosobowo. „Grot”, choć nie dowierzał komunistom i był pełen wątpliwości, jak należy postąpić, to jednak uznał, że może za jego przykładem pójść młodzi partyzanci, którzy dopiero wkroczyli w dorosłe życie, że może uda się przynajmniej nielicznych uratować od niechybnej śmierci w lesie. Nie stosował wobec nich nacisku moralnego. Dopiero po ujawnieniu się tłumaczył im, że powinni pójść do szkoły, uczyć się, że „nie mają być głupszy od swoich przeciwników”. Obaj bracia Kozłowscy, „Grot” i „Dąbrowa”, ujawnili się. Ujawniła się też żona kpt. „Grota” – „Krystyna”, „Cyganka”. W opinii komunistów nie byli patriotami, lecz bandytami. W 1950 r. obaj zostali aresztowani i skazani na wieloletnie kary więzienia. Przeszli długotrwałe śledztwa, potworne tortury, m.in. zrywanie paznokci. Kapitan „Grot” kilkadziesiąt razy karany był pobytami w karcerach, niektórzy więźniowie po jednokrotnym pobycie w tym pomieszczeniu metr na metr, bez okna, we własnych odchodach, odchodzili od zmysłów. Żołnierze NSZ i NZW byli gorzej traktowani w zakładach karnych niż niemieccy zbrodniarze.

Kapitan Bolesław Kozłowski „Grot” wyszedł z więzienia w 1955 r. Zamieszkał w Łomży. Zmarł w 1982 r. Majorowi Marianowi Kozłowskiemu „Dąbrowie” odmówiono po wyjściu z więzienia prawa do powrotu na ziemię łomżyńską. Tułał się z rodziną po Polsce, bo, jak twierdziła bezpnie, „zbyttnia zażyłość z ludnością grozi zorganizowaniem wrogiej działalności”. Mimo bardzo dobrego wykształcenia, ogromnej wiedzy, miał kłopoty ze znalezieniem pracy. Dopiero w 1983 r. pozwolono mu zamieszkać blisko córek w Warszawie na Białołęce. Zmarł trzy lata później. Obaj bracia byli inwigilowani przez całe życie, niemal każdy ich krok rejestrowany był przez agentów SB. ■

Gród łez i serdecznej miłości



Agnieszka Kowalczyk

„Pod względem towarzyskiego życia nie masz jak Warszawa! I pod względem serca polskiego – wszelkich objawów miłości kraju i współbraci – poświęceń, ofiar, wszędzie i zawsze przewodniczy ta Matka zapłakana i Wdowa żałobna po wielkim narodzie! Niby uśmiechnięta niekiedy, bo wielką rozpogodzona nadzieją i wiarą. Niby zapominająca o ranach, a umiejąca je koić. Bo warszawska ludność jest najpierwszą ze wszystkich”. Tak o stolicy pogrążonej w mrokach nocy paskiewiczowskiej pisała Paulina Wilkońska – nieźrównana pamiętnikarka, autorka powieści, obrazków i szkiców, uczestniczka życia intelektualno-artystycznego warszawskich salonów.

Paulina Wilkońska (1815–1875) to osobowość wyjątkowa – z jednej strony kobieta czuła, wrażliwa, z drugiej – bezkompromisowa, niezłomna, gotowa ponieść ofiarę w imię wyznawanych wartości. Już jako 16-letnia panna, wychowanka jednej z pensji poznańskich, poślubiła Augusta Wilkońskiego – powstańca listopadowego, który, przedstawiając się jej podczas pierwszego spotkania, cierpiał jeszcze z powodu ran odniesionych pod Iganiem. W bitwie grochowskiej niósł chorągiew z napisem „Za waszą i naszą wolność”, a pod Ostrołęką dostał się do niewoli, z której uciekł, by walczyć znów w okopach Woli. Takim pokochała go Paulina i postanowiła podzielić jego los, udając się wraz z mężem za mury forteczne, kiedy skazany został na 12 lat twierdzy za udział w powstaniu. Ta heroiczna postawa Pauliny niewątpliwie przyczyniła się do ułaskawienia Augusta, który po czterech latach opuścił więzienną celę.

► Serce Polski biło w warszawskich salonach

Oto teraz rozpoczynał się nowy etap w biografii Wilkońskich. Szczęście małżonków nie znało granic – wreszcie wolni i wreszcie razem. Jeszcze w tym samym roku August zabrał ukochaną do Warszawy. Było to jej pierwsze spotkanie ze stolicą, o której dotąd słyszała jedynie w opowieściach z czasów dzieciństwa. „Otóż Warszawa! – pisała z rozrzewnieniem – cel marzeń od najmłodszych lat!”. Przypominały jej się opowiadania wuja, który spędzał zimy w stolicy, a odwiedzając jej rodziców, „zawsze o tym pięknym, uroczym towarzyskim opowiadał świecie [...]”. Wszystko ciekawie chwytalam i Warszawa przedstawiała się w oczach moich jakoby gród czarodziejski, jedyny na świecie całym”. Teraz zaś wyśnione miasto stawało przed nią otworem. Wraz z Augustem, który został jej przewodnikiem, odkrywała pamiątki i osobliwości stolicy. Gdy raz stanęli przed ratuszem na placu Teatralnym, mąż wyszeptał jej do ucha: „Dawne wyrocznie Lecha niebo nam ogłasza: / „Polacy, to nasz orzeł, ta ziemia jest nasza”. Były to słowa z pieśni Wincentego Pola, które widniały na ratuszu jakby niedostrzeżone wciąż jeszcze przez zaborcę.

Państwo Wilkońscy zmuszeni jednak opuścić Warszawę, powrócili do niej dopiero po czterech latach, w 1840 r. Wówczas to stolica pozostała na długo ich domem i miejscem, w którym realizowali swe literackie pasje. Paulina zadebiutowała na łamach „Pierwiosnka” opowiadaniem „Zasłona księżniczki Elizy Radziwiłłówny”. Owocem jej pracy literackiej w Warszawie stał się też zbiorek powiastek „Wieś i miasto” wyrosły z tęsknoty za utraconą na zawsze krainą dzieciństwa, za światem

wiejskiej idylli, którą zburzył dramat historii. Po tem przyszedł czas na kolejne powieści, drobne utwory prozatorskie i felietonowe, obrazy i szkice. Natomiast August, publikując w „Bibliotece Warszawskiej” swoje teksty humorystyczne, felietony i „ramotki”, zyskał niebawem sławę najlepszego w stolicy satyryka i humorysty. Wilkońska wspominała po latach: „Pisaliśmy zatem oboje, a potem czytawali sobie nawzajem, cośmy poklecieli. Ja śmiałam się, rozweselona obrazkami jego, Augusta oko zwilgotniało niekiedy przy którym z tkliwych ustępów powiastki mojej”.

Paulina i August włączyli się od razu w nurt życia intelektualnego, które w połowie XIX wieku toczyło się w salonach Warszawy, mając swój tygodniowy kalendarz, ustalony porządek i sobie tylko właściwe rytuały. Oprócz salonów arystokratycznych przeznaczonych wyłącznie dla wybrańców, istniały w Warszawie jeszcze salony obywatelskie, w których gromadzili się poeci, artyści, uczeni, filozofowie, publicyści i, oczywiście, będące duszą towarzystwa, piękne panie. Bywalcami salonów byli właśnie Wilkońscy, goszcząc w określone dni tygodnia m.in. u Katarzyny Lewockiej, Niny Łuszczewskiej, Anny Nakwaskiej czy Seweryny Pruszkowej. Do Wilkońskich zaś na literackie wtorki przychodzili najczęściej: Antoni Muczkowski z najświeższymi nowościami literackimi, redaktorzy warszawskich czasopism – Antoni Szabrański i Hipolit Skimborowicz, krytycy literaccy – Aleksander Tyszyński i Edward Dembowski, ekscentryczny podróżnik Władysław Wężyk czy też Oskar Kolberg, znany etnograf, któremu Paulina musiała śpiewać piosenki ludu poznańskiego, a on je skrupulatnie spisywał. Zbierający się w salonie Wilkońskiej intelektualiści i literaci wywodzili się w przeważającej mierze z najbardziej kulturotwórczych środowisk ówczesnej stolicy – „Biblioteki Warszawskiej”, „Przeglądu Naukowego” i Cyganerii.

Atmosferę tamtych spotkań utrwaliła Paulina w sposób niezwykle sugestywny w „Moich wspomnieniach o życiu towarzyskim w Warszawie” (1871), zawierając w dziesięciu barwnych obrazach historię tyluż warszawskich salonów. Jakże dziś do naszej wyobraźni przemawiają damy w pięknych toaletach, mężczyźni w tradycyjnych frakach i jasnym rękawiczkach rozprawiający żywo aż do świtu o polityce, literaturze i sztuce we wnętrzach przesyconych aromatem parzonej kawy i wonią dymu palonych cygar. W salonach wylaniających się ze „Wspomnień” Pauliny biło serce Polski, bo właśnie w nich zbierało się patriotycznie usposobione towarzystwo Warszawy, by tu, w dyskusjach intelektualnych, recytowanych wierszach, opowie-

ściach z przeszłości, śpiewanych pieśniach, móc zamanifestować swą polskość.

► Cech Głupców na Nowosenatorskiej

Jedną z najciekawszych inicjatyw salonu Wilkońskiej było stworzenie swoistej korporacji literackiej, której nadano prowokacyjną nazwę Cech Głupców. Współtworzyli go wybitni literaci i publicyści warszawscy – m.in. Roman Zmorski, Aleksander Niewiarowski, Antoni Czajkowski, Teofil Lenartowicz, Henryk Lewestam i Narcyza Żmichowska. Największą indywidualnością był tu naczelny warszawski „cygan” – Józef Bogdan Dziekoński – pisarz i lekarz nazwany miłośnikiem rzeczy i spraw nadprzyrodzonych.

Nasuwa się pytanie, dlaczego był to cech Głupców? Jak tłumaczy Juliusz Wiktor Gomulicki: „Chyba z tego powodu, że »nadzieja – głupich matką«, a wszyscy członkowie Cechu byli niepoprawnymi patriotami i marzycielami, którym przyświecała nadzieja lepszej przyszłości dla ojczyzny”.

Warszawscy literaci zbierający się u Wilkońskich na Nowosenatorskiej, aby przechytryć cenzurę, zakładali błazeńskie maski. Stworzyli nawet własny rytuał spotkań, rozpoczynając obrady od złożenia hołdu Minerwie, której marmurowy posązek z głową przystrojoną w osłe uszy stał przewrócony do góry nogami. Oprócz tego każdy winny był wpisać w księdze Cechu jakieś komiczne głupstwo, w którym tkwiłaby ukryta mądrość. Każdy też musiał przynieść z sobą jakiś rysunek, karykaturę bądź dowcipny wierszyk, które zapisywano do księgi statutowej, a ponadto raz na miesiąc poważniejszą pracę włączaną do pisma zbiorowego. Każdy wreszcie posiadał swój cechowy pseudonim, np. Antoni Czajkowski – Wzniośle Głupi, Lenartowicz – Tkliwie Głupi, Ludwik Norwid – Ledwo Głupi, Narcyza Żmichowska – Dziwnie Głupia, a Antoni Zaleski – Malowniczo Głupi. Takiego żartobliwego przydomka nie otrzymała tylko sama gospodyni.

Zebrania były liczne, zajmujące i bardzo wesołe. Jeden z młodych artystów-rysowników wykonał nawet zabawne karykatury członków Cechu. W szczególności zaś udał się mu wizerunek Franciszka Gąsiorowskiego jako satyra: „był ułomny, a twarz jego, nieco ostrych rysów, znaczył wyraz inteligencji, ironii, a niekiedy sarkazmu”. Paulina utrwaliła nawet reakcję samego sportretowanego, który rozpoznał siebie na satyrycznym rysunku:

„Posłyszawszy o tym obrazku, przybiegł pan Franciszek, by go zobaczyć. Podaje mu tekę pomieszana nieco. Gąsiorowski przerzuca kartki, podejmuje Minerwę, patrzy i śmieje się, mówiąc:

- To ja jestem ten satyr, słowo daję!
 - On pana pewnie i nie widział - wtrąciłam.
 - Widziała mnie gadzinka i schwyliła podobieństwo! - zaśmiał się znowu.

A zauważyłam, że był zadowolony”.

Artystyczna działalność towarzystwa oprócz utworów prześmiewczo-ironicznych zrodziła też prace o wyższych aspiracjach naukowych i literackich, np. historyczne („Samuel, książę Korecki” Kazimierza Władysława Wójcickiego, „O mitologii Polaków i Litwinów” Wacława Aleksandra Maciejowskiego), filozoficzne („O pracach Augusta Cieszkowskiego” Lewestama), przyrodnicze („Rzut oka na budowę geologiczną Tatrów” Ludwika Zejsznera), literackie (powieść „Władysław” Dziekońskiego, ramotki Wilkońskiego). Te, które ocalały, zamieszczone zostały na kartach „Dzwonu Literackiego”. Było to pismo powstające na posiedzeniach Cechu w 1845 r. i zawierało poezję, opowiadania, szkice i rozprawy pióra „Głupców” zebrane aż w czterech tomach. Natomiast Księga Cechu zawierająca część dorobku towarzystwa została spalona w 1846 r. przez samych jego członków w obawie przed represjami.

► „Poufale kółko przyjaciół i koryfeuszów naukowych”

Wilkońska odmalowuje najgłośniejsze salony literackie Warszawy, wśród których na szczególną uwagę zasługuje ten prowadzony przez Ninę i Wacława Łuszczewskich. Na poniedziałkowych wieczorach bywało u nich nawet i po 100 osób, w tym wiele rodzin z Kresów. Paulina, charakteryzując to „poufale kółko przyjaciół i koryfeuszów naukowych”, jak mówiono o gromadzącej się tam inteligencji, wprowadza nas jednocześnie w świat kobiet – bohaterek i animatorek życia salonów – niezależnych i twórczych osobowości mających swoje życiowe pasje. Poznajemy więc z bliska m.in. Augustową Potocką – opiekunkę wszystkich chyba dobroczynnych zakładów w Warszawie, Ludwikę Jędrzejewiczową – siostrę Fryderyka Chopina, powieściopisarkę Łucję Rautenstrauchową, młodą poetkę Józję Prusiecką czy też Paulinę z Radziejewskich Krakowową, wydającą pismo „Pierwiosnek”, w którym właśnie zadebiutowała Wilkońska. Kobiety warszawskich salonów, jak wynika z relacji wspomnieniowej, traktowane były pod wieloma względami na równi z mężczyznami, także jako współtwórczynie życia umysłowego i artystycznego stolicy.

Salon Niny Łuszczewskiej był jednym z nielicznych w Warszawie, gdzie rozbrzmiewała muzyka polska. Swoje występy dawali tu: skrzypek Apolinary

Kątski, amatorki-pianistki – pani Poźniakowska i panna Zofia Malhomme – czy kompozytor Ignacy Komorowski, autor melodii do tekstów poetyckich Lenartowicza, Pola i Aleksandra Chodźki. Komorowskiemu, który w swej twórczości inspirował się muzyką ludową, jak pisze Wilkońska, rodacy na cmentarzu powązkowskim wzniesli pomnik – z napisem „Śpiewakowi Kaliny” z „odłamu skały, ponad którą wnosi się krzyż mający niby chustką przywiązane ramiona, jak to jest we zwyczaju ludu na Mazowszu. Po prawej stronie krzyża stoi chłopię z krakuską w ręku i fletnią, a drugą składa wieniec laurowy na grobie śpiewaka”.

Na poniedziałkowych wieczorach nie zabrakło również wirtuozów zagranicznych. Wilkońska była na przykład pod wielkim wrażeniem muzyki fortepianowej Juliusza Schulhoffa – sławnego pianisty niemieckiego, który zachwycił ją swoją śliczną idyllą, wzbudzającą tęsknotę za życiem wiejskim: „Przymknęłam powieki i przed rozbijałą fantazją przeciągnęły wdzięczne sioła, chatki wśród ogrodów, pasące się trzody, łąki kwieciami zasłane, zbożem pokryte pola – wszystko w złotawy promień ujęte słońca, gdy z dała dźwięk melodyjny dzwonu wieczornego po rosie nadpływał... Zaprawdę, że gra Schulhoffa sielanką była na fortepianie”.

Paulina pozostawała też pod wrażeniem przeobrażania się salonu Niny w swego rodzaju teatr i często przypominała sobie wystawioną tam scenę z „Fausta” Goethego z cierpiącą i porzuconą Małgorzatą. Równie poruszający okazał się dla niej występ znanego artysty dramatycznego Józefa Komorowskiego. Ten niezrównany deklamator prozony był często przez gospodynię o przeczytanie kilku ustępów z arcydzieł literatury. Pośród głębokiej ciszy, która zapanowała jak w „świątyni milczenia”, wybrał wyjątek z „Boskiej komedii” Dantego w tłumaczeniu Mickiewicza. Był to fragment z pieśni o Ugolinie, który zamurowany wraz z synami w wieżennej celi patrzył na śmierć głodową swych dzieci, po czym sam skonał. Jako potępieniec dokonał straszliwej zemsty na swym prześladowcy, pożerając w czeluściach piekła jego głowę: „A jak łakomie szarpiemy chleb z głodu./ Tak on zatopił kły w ciało sąsiada./ Tam, kiedy czaszka do barków przypada./ Nie z takim gniewem Tydej zemstą ślepy/ Menalipowej głowy gryzł czerepy./ Jak on swą zdobycz żuje i wysysa”.

Komorowski, jak wspominała poruszona do głębi Paulina, „nie deklamował – czytał tylko, lecz każdy wyraz padał jakoby dźwięk srebrny, jak gdyby posypały się perły, perły przepiękne dźwięcznej ponad wszystko mowy ojczystej. Głos piękny, wymowa wyrazista, głębokie zrozumienie wielkiego wieszca

uobecniły nam ten obraz pełen zgrozy, srogie męczarnie, katusze piekła i śmierci, że aż dreszczem przemawiał – Komorowski czytać skończył, a milczenie, silnym wywołane wrażeniem, przez długą jeszcze potrwało chwilę”.

► Wieczory z Deotymą

Salon pani Łuszczewskiej zasłynął w szczególności, gdy literackie wieczory uświetniała poetykimi improwizacjami jej córka Jadwiga, nazywana Deotymą, od imienia greckiej filozofki z czasów Sokratesa. Wkrótce stała się ona największą sensacją ówczesnej Warszawy, a jej sława sięgnęła nawet poza mury stolicy. Gazety rozpiswały się o dziewczynę, którą „jeszcze w kolebce owiał geniusz natchnienia”, a jej wiersze ukazywały się w krakowskim „Czasie”.

Jeden z takich niezapomnianych wieczorów z „wieszczką Deotymą” utrwaliła Paulina w swych „Wspomnieniach”: „Wśród rozmów ożywionych, wesołych, półgłosnych, powstał ruch nagły i podawano sobie: »Improwizacja!« [...] Deotyma stanęła na środku. Cała w białym kaszmirze, z włosami z tyłu głowy podwiniętymi, jak na Kaniewskiego obrazie. [...] Cisza nagle zaległa, nikt odechnąć nie śmiał. Wieszczka stała, jak gdyby duchem odbiegła ziemię, jak gdyby z nami nie była wcale: jakby pogrążona w śnie somnambulicznym”. Publiczność wskazała jej dwa słowa – „dzwon” i „serce”, które stać się miały tematem improwizacji. „Zaczęła mówić. [...] A słowa z ust jej płynęły, jak gdyby sama nie wiedziała o nich”. Z myślą o dzwonie przeniosła się na Wawel, a wyraz „serce” nasunął jej obraz wielkiej miłości Zygmunta Augusta do pięknej Barbary Radziwiłłówny. Potem w wyobraźni słuchaczy pod wpływem natchnionych słów wieszczki zrodził się obraz królowej Jadwigi w otoczeniu dwóch aniołów:

*Jeden jej podał koronę
– I dźwignęła ją na skroni.
A gdy ją drugi w pogoni
Pochwyił drżącą i zbłądłą,
Imię: „Polska”, z ust jej padło
– I tży rzuciła do Wisły.*

„Cicho, cichuteńko było wokoło, że byłoby można upadające piórko posłyszeć – pisała Wilkońska o nastrojach, które po improwizacji zapanowały w salonie. „Ale gdy wieszczka wymówiła: »Polska« wśród przybitej Warszawy, gdy mówiła o całopaleniu, ofierze królowej-dziewicy z uczuć swoich najdroższych dla kraju [...], od razu wszystkich obec-

nych uderzyły serca i poniosły w górę szmer żalu i modlitwę”.

► Duch patriotyzmu w salonie Wilkońskiej

„Wspomnienia” Wilkońskiej stanowią też swoisty hołd złożony tym wszystkim męczennikom sprawy narodowej i konspiratorom, którzy sami uczestniczyli w życiu salonów bądź byli bohaterami rozmów i opowieści podczas literackich wieczorów Warszawy. Paulina, przypominając ich sylwetki i odsłaniając często dramatyczne losy, tworzyła niejako księgę bohaterów podziemnej historii Polski. Nie wolno było oficjalnie o nich mówić i pisać, byli przez cara wyklęci, ale pamięć o nich trwała w patriotycznym środowisku warszawskich salonów. A Warszawa czasów paskiewiczowskich miała wielu swych bezimiennych bohaterów, szczególnie w 1846 r., gdy wezbrała znów fala terroru:

„Nastał rok 1846! Aresztowania bez liku, egzekucje krwawe i szubienice. Po wszystkich placach Warszawy dniem i nocą palono ognie i biwakowało wojsko. Patrole bezprzesłanne przebiegały ulice: jeden wyjeżdżał, a drugi wjeżdżał. Odbывwały się każdej nocy rewizje. O zmierzchu nie wolno było bez latarki wychodzić. Trzy osoby na ulicy rozmawiać nie mogły. Kto ukazał się z brodą, tego schwytano na ratusz, gdzie mu ją zgolił zostający tamże na ciąglej służbie golibroda. Niekiedy aresztowany musiał przez dni kilka lub kilkanaście w izbie przepełnionej różnymi ludźmi, w strasznej niewygodzie, zaduchu i brudzie, przesiedzieć. Rogatki były zamknięte i nie wypuszczono nikogo bez legitymacji. Wiele rodzin rosyjskich wynosiło się z obawy przed strasznym widmem rewolucji na noc każdą do Cytadeli”.

Wśród wielu skreślonych przez Wilkońską portretów ówczesnych cichych bohaterów Warszawy zwraca uwagę postać Karola Balińskiego, uczestnika „literackich wtorków” w 1844 r. Właśnie wrócił do ojczyzny z Syberii, gdzie zesłany został na kilkuletnią katorgę za działalność w Stowarzyszeniu Ludu Polskiego. Wrócił jednak zupełnie odmieniony – złamany fizycznie i tak zeszpecony, że zerwała z nim narzeczona. „Bolesnym był widok jego, a ponad wszystko sympatycznym” – pisała o nim ze współczuciem Wilkońska. „Cierpienie głębokie, przejmujące go na wskroś, było w każdym jego wyryte rysie. [...] Mówiono, że przed wywiezieniem na Sybir należał do najprzystojniejszych młodzieńców. Powrócił zmieniony całkiem: szkielet, z ranami na twarzy”. Przed zesłaniem Baliński był świetnie zapowiadającym się poetą. Jego patriotyczne liryki cieszyły się dużą popularnością i porywały

młodzież do czynu. Działania zaborców i bolesne doświadczenia katorgi nie zdołały jednak złamać w nim ducha. Wilkońska nadal widziała w autorze „Farysa” czarującego poetę – smutnego i tkliwego, który pozostawił jej piękny upominek w postaci wiersza wpisanego do albumu:

*I ja Ci, Siostró, przynoszę kwiatek,
Polny, bez woni, choć barwy złotej; [...]
Nic go nie zziębi, nic nie ustrasza,
On zawsze jednym blaskiem goreje
– To nieśmiertelnik – to wiara nasza,
Nasze uczucia, nasze nadzieje!*

Postać Karola Balińskiego powróciła jeszcze w zapiskach Wilkońskiej, właśnie w pamiętnym 1846 r., gdy patriotyczną Warszawę obiegra wieść o aresztowaniu poety i wtrąceniu go do Cytadeli. Sobota była tym dniem, kiedy więźniom przesyłano coś do zjedzenia, cygara, a nawet książki. I właśnie książkę podarowała Paulina aresztowanemu Balińskiemu, a gdy z powrotem trafiła w jej ręce, w środku odnalazła napisany przez poetę wiersz – „Żywy trup” – który stanowił swoiste dziękczynienie za dar dla ducha. Bohater tego niezwykle, powstałego w Cytadeli utworu, to „żywy trup” – metaforyczna figura wyrażająca los poety, za życia pogrzebanego w lochach więzienia. Ludzie przechodzą obok jego grobu obojętnie, tylko jeden człowiek

*[...] obejrzał się dokoła –
I nieznacznie rzucił kwiatek, [...]
A trup cicho szemrze w grobie:
„Dzięki, bracie, dzięki Tobie!
Tyłu przeszło – nikt nie wspomni,
Tyś jeden przypomniał o mnie”.*

Kwiat ów stał się symbolem pamięci o prześladowanych, o tych, którzy cierpieli za ojczyznę jak Baliński. Ten piękny liryk zamieszczony został w redagowanym przez Wilkońskich piśmie – „Dzwon Literacki”. Paulina pisze dalej, że Baliński został zwolniony z Cytadeli, ale był już bardzo wyczerpany. Po raz ostatni widziała go w lecie 1847 r.

► Pożegnanie z ukochanym miastem

Wilkońska w swych „Wspomnieniach” odsłania też inne dramatyczne losy polskich poetów-patriotów, przedstawiając m.in. historię wywiezionego na Sybir Edwarda Żeligowskiego, a także Edwarda Dembowskiego, który zginął w patriotycznej manifestacji 1846 r., gdy idąc z krzyżem

na czele pochodu, trafiony został austriacką kulą. Z relacji Wilkońskiej poznajemy też ostatnie dni pewnego młodego poety Klatta osadzonego w Cytadeli, którego odwiedziła narzeczona Emilia Rogalewicz. Młody więzień przy pożegnaniu wcisnął w jej dłoń karteczkę ze słowami „Przestrzec Kamińskiego”. Odkrył to dozorca Żuczkowski, co spowodowało tragiczne skutki: Emilia wraz z matką zostały aresztowane. Uwięziona narzeczona Klatta, jak przekazuje Wilkońska, „chorowała trawiona cierpieniem moralnym, tęsknotą, smartwieniem. Nikła z dnia na dzień. I wreszcie po roku blisko, wycieńczoną, słabiutką, umierającą na chorobę piersiową, odwieziono do rodziców, gdzie po dniach dziesięciu Bogu niewinnego oddała ducha [...]”. Pogrzb jej był nadzwyczaj liczny [...]. Przy grobie zdzierano z trumny nie tylko kwiaty, ale aksamit i ozdoby na pamiątkę, jako relikwie po zmarłej męczennicy”.

Więźniem Cytadeli, a potem twierdzy w Zamościu stał się niebawem i August Wilkoński oskarżony o utrzymywanie kontaktu z rewolucjonistami na emigracji. Paulina również podczas tego uwięzienia towarzyszyła mężowi. Po roku wrócili do Warszawy, ale wkrótce zostali wydaleny na dobre z Królestwa Polskiego i osiedli w rodzinnym majątku Wilkońskiej w Poznańskim. Po śmierci męża Paulina raz jeszcze tylko odwiedziła stolicę, w 1855 r., i po raz ostatni zagościła u dawnych przyjaciół, odwiedzając salony, w których niegdyś bywała. Wówczas przeżywała wraz ze wszystkimi mieszkańcami stolicy 2 marca – dzień śmierci cara Mikołaja I. Stał się on dla Polaków dniem nadziei na lepszą przyszłość, którą wiązków z nowym władcą – Aleksandrem II. Choć mówiono o nim, że pod jego rządami „sprawa nasza pod każdym względem szczęśliwszy weźmie obrót”, Paulina miała złe przeczucia i nie wierzyła, by teraz „Polska swobodniej odetchnąć mogła”. Pod wpływem rozgrywających się wówczas w stolicy wydarzeń i bolesnych wspomnień z przeszłości ojczyzny Paulina uświadomiła sobie, że ducha międzypowstaniowej Warszawy nie da się odtworzyć jedynie od strony towarzyskiego życia salonów, próbując uchwycić tylko owe „światlejsze smugi, gwiazdki niebieskie, niezabudki i róże”. Dlatego postanowiła wypowiedzieć całą prawdę o zniewolonym mieście, oddać blaski i cienie życia jego mieszkańców, z kolcami i cierniami wśród kwiatów.

Warszawa na zawsze pozostała wielką miłością Pauliny Wilkońskiej, która wyznała we „Wspomnieniach”, że pokochała ten „gród łez i serdecznej miłości, wesołego gwaru, elegancji, wykwintnego smaku – lecz i najszczerzej pocziwych dążeń”.



Piotr Lisiewicz

Co drugi i trzeci dzień był wzywany na przesłuchania, które trwały kilka godzin. Wracał zmaltretowany. Młodym z celi mówił: „wy chłopcy przeżyjcie, tylko nie dajcie się sprędać, bądźcie zawsze wierni ojczyźnie” – tak wspominał 64-letniego Kazimierza Pużaka jeden ze współwięźniów. Komunistyczni oprawcy zwracali się do niego per „panie prezesie”, po czym nakazywali torturować go swoim podwładnym. Tak o to „socialistyczna” władza potraktowała przywódcę polskich socjalistów, który nie wyrzekł się polskości i niepodległości.

Kazimierz Pużak razem z Józefem Piłsudskim współtworzył niegdyś PPS-Frakcję Rewolucyjną, a w czasie II wojny światowej organizował podziemną PPS Wolność Równość Niepodległość. Dowodził Organizacją Wojskową Pogotowia Powstańczego Socjalistów OW PPS, która weszła w skład ZWZ i AK. Biograf Pużaka, Marcin Panecki, przytacza wspomnienie Jana

Karskiego z rozmowy z Józefem Cyrankiewiczem. „Opowiedziałem mu, jak poszedłem do Pużaka w 1942 roku, kiedy Cyrankiewicz był w Oświęcimiu. Pytałem Pużaka, czy nie można coś zrobić, żeby ratować Cyrankiewicza. Odbić albo kogoś przekupić. Pużak się zezłościł: chce, żeby Pan wiedział, że polska klasa robotnicza nie zapomniała przyszłego sekretarza generalnego PPS. Mówię do Cyrankiewicza [...]: »Józek, jak ty byłeś w obozie, to Pużak myślał o tobie jako o przyszłym sekretarzu generalnym«. Chwila milczenia i Cyrankiewicz odpowiada: »No cóż, po wojnie Pużak się zdezaktualizował«”.

Po raz pierwszy Pużak skazany został w moskiewskim „procesie szesnastu”, a po wyjściu z więzienia w 1947 r. po raz kolejny aresztowało go UB. Dostał 10 lat i zmarł w więzieniu w Rawiczu. Przedrukujemy dziś artykuł współwięźnia Pużaka, Stefana Stamirowskiego. Tekst ukazał się w emigracyjnym „Robotniku” (nr 2 z 1958 r.).

Stefan Stamirowski

Jak umierał Pużak

Przesłuchiwał go pułkownik Józef Różański, który znowu tytułował go słowami „panie prezesie”. Różański zaproponował Pużakowi współpracę z reżymem. Przesłuchiwali go też oficerowie śledczy: por. Łyżkowski, kpt. Bochenek i kpt. Eugeniusz Chimczuk, którzy go bili i znęcali się nad nim. Gdy Pużak w czasie późniejszych przesłuchań zawiadomił o tym Różańskiego, ten ostatni kazał wezwać tych oficerów i zbesztął ich za bicie Pużaka, po czym w dalszym śledztwie zbesztani przez Różańskiego oficerowie czynili to samo, co poprzednio; zbesztanie ich było umówioną komedią.

Przebywałem z Pużakiem w jednej celi w więzieniu w Rawiczu. [...] Był jednym z szesnastu przywódców Polski Podziemnej, których władze sowieckie uprowadziły w marcu 1945 roku do Moskwy; tam skazany został na półtora roku więzienia. Z końcem 1945 roku przywróciła mu wolność sowiecka amnestia. Po zwolnieniu z więzienia w Moskwie został zaproszony przez ówczesnego ambasadora Modzelewskiego do ambasady, gdzie otrzymał paszport zagraniczny i bilet do Warszawy; przyjęcia ofiarowanych mu pieniędzy odmówił. Udał się pociągiem do Warszawy.

► Brystygierowa: to nieporozumienie

Po przekroczeniu granicy w Brześciu, na stacji Mrozy, weszło do przedziału dwóch osobników, którzy oświadczyli Pużakowi, że chce się z nim widzieć minister i że przysłał po niego samochód, którym przybędzie do Warszawy szybciej, niżby przybył koleją. Było to aresztowanie. Samochodem przewieziono Pużaka wprost do Warszawy do więzienia przy ulicy 11 listopada. W więzieniu przyszła do niego Julia Brystygierowa, naczelnik V Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicz-

nego, która na wstępie oświadczyła mu (jak przy wszystkich przesłuchaniach aresztowanych w bezpiecie), że aresztowanie go jest „jakimś nieporozumieniem”. Zwracając się do niego słowami „panie prezesie”, proponowała mu podpisanie oświadczenia, iż nie będzie się kontaktował z dawnymi przyjaciółmi politycznymi, że nie będzie ich przyjmował u siebie w domu i że nie będzie brał udziału w żadnych próbach aktywizacji PPS. Pużak odmówił podpisania takiego oświadczenia.

Brystygierowa wyszła, pozostawiając Pużakowi w celi oświadczenie do podpisania, zaś dyżurny oficer bezpieczeństwa powiedział mu, że gdy się namyśli i postanowi oświadczenie podpisać, może każdej chwili zapukać do drzwi i zawiadomić go o zmianie swej decyzji odmownej. Sześć dni bezpieczeństwa czekała na podpis Pużaka – bezskutecznie. Po 10 dniach od dnia aresztowania Pużak został zwolniony i udał się do domu na Grochowie przy ulicy Byczyńskiej 1. Dom obstawiony był stale szpicłami, bardzo mało ludzi tam przychodziło.

► Spisek w celu obalenia ustroju

W czerwcu 1947 roku Pużak został aresztowany ponownie, jednocześnie z innymi przywódcami i działaczami PPS. Przesłuchiwał go pułkownik Józef Różański, który znowu tytułował go słowami „panie prezesie”. Różański zaproponował Pużakowi współpracę z reżymem. Przesłuchiwali go też oficerowie śledczy: por. Łyżkowski, kpt. Bochenek i kpt. Eugeniusz Chimczuk, którzy go bili i znęcali się nad nim. Gdy Pużak w czasie późniejszych przesłuchań zawiadomił o tym Różańskiego, ten ostatni kazał wezwać tych oficerów i zbesztiał ich za bicie Pużaka, po czym w dalszym śledztwie zbesztani przez Różańskiego oficerowie czynili to samo, co poprzednio: zbesztanie ich było umówioną komedią, nie ulega wątpliwości, że sam Różański kazał owym oficerom bić Pużaka. Pużak nie podpisał w śledztwie ani jednego protokołu. Punktem wyjścia dla śledztwa była wizyta Pużaka i innych oskarżonych u Józefa Dziegielewskiego w dniu jego imienin 19 marca 1946 roku; spotkanie u Dziegielewskiego miało jakoby na celu stworzenie spisku w celu obalenia „ludowo-demokratycznego ustroju Państwa Polskiego” [...]

Proces, odbyty w dniach 5–19 listopada 1948 roku przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie, był niby to publiczny, w rzeczywistości jednak nie dopuszczono na salę żadnej publiczności z wyjątkiem kilku dziennikarzy. Zachowanie się Pużaka na sali sądowej było niezwykle. Odmówił złożenia wyjaśnień i odpowiedział tylko na kilka pytań, ale odpowiedział w taki sposób, że prokurator plk. Stanisław Zarakowski zwrócił sądowi uwagę na bezcelowość zadawania pytań Pużakowi. W ostatnim słowie oskarżonego powiedział Pużak tylko tyle: „W chwili, gdy stoję nad grobem, było-

by nie do uwierzenia, gdybym zmienił poglądy”. O nic sądu nie prosił, o nic się do sądu nie zwracał. Został skazany na 10 lat więzienia, po zastosowaniu amnestii złagodzono mu karę do połowy. [...]

► „Do szpitala nie przenosić”

W listopadzie 1949 roku Pużak, odziany w niemiecki pasiak, przewieziony został do więzienia w Rawiczu. W Rawiczu osadzono Pużaka w pojedynce, w nieopalonej celi w piwnicach. (Później w sąsiedztwie siedział Golebiowski z AK). Gdy strażnicy dokuczali mu, popychali go lub pokpiwali z niego, Pużak odnosił do nich bardzo łagodnie, postępował z nimi w sposób głęboko chrześcijański. Cierpiał na brak apetytu i dokuczała mu bardzo choroba serca. W Rawiczu wzywano Pużaka na dalsze przesłuchania, szło o zeznania z przeszłości Józefa Cyrankiewicza i Stefana Matuszewskiego, chodziło o skompromitowanie ich. Pużak mimo negatywnego stosunku do nich niczym ich nie obciążał. Te śledztwa męczyły go i denerwowały. [...]

Na wniosek lekarza o przeniesienie Pużaka do szpitala więziennego, naczelnik więzienia Rokicki odpowiedział, iż ma instrukcję, by Pużaka do szpitala nie przenosić. Lekarz przy mojej pomocy dostarczał więc lekarstwa Pużakowi, przemycając je w postaci pastylek w chlebie.

W lutym 1950 roku Pużak wezwany był znów na przesłuchanie, badał go ktoś z Warszawy do [godziny] 3 nad ranem. Gdy zmęczony wracał pod strażą do celi, potknął się o rurę instalacyjną i upadł. Nastąpił atak sercowy, Pużak stracił przytomność. Strażnik wezwał lekarza, przybył dr Andrzej Spyra, a ja przyniosłem nosze, by przeniesie Pużaka do szpitala. Oddziałowy jednak bał się, powiadomił więc naczelnika więzienia Kąkola (następcę Rokickiego), ten zaś skomunikował się z Warszawą. Na decyzję z Warszawy trzeba było czekać przeszło godzinę, podczas której Pużak leżał na noszach. W tym czasie dr Spyra zrobił mu zastrzyk i Pużak odzyskał przytomność.

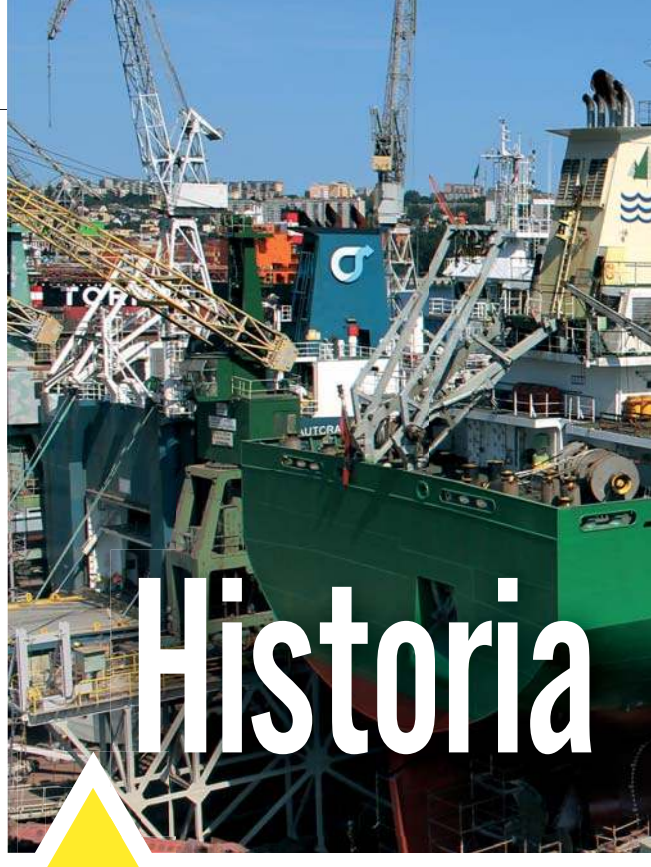
Po więcej jak godzinie zezwolono z Warszawy na szpital. [...] Zmarł w dniu 30 kwietnia 1950 roku. Do obiadu czuł się doskonale. Czytałem mu na głos „Jana Krzysztofa” Romain Rollanda, rozdział pod tytułem „Krzak gorejący”. W pewnej chwili Pużak zaczął wołać: „Ogień, ogień”. Na moją uspokajającą uwagę, że ognia nigdzie nie widać, Pużak zniecierpliwiony powtórzył: „Ogień” i dodał: „Człowiek umiera”. O godzinie 4 po południu skonał. Sekcji zwłok dokonał dr Spyra. Sekcja stwierdziła pęknięcie aorty. Rodzinie pozwolono przysłać trumnę. Trumna nadeszła po dwóch dniach. Żalutowano ją, tak że już zwłok Pużaka w trumnie nie oglądałem.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.



Jednostka M/V FINBREEZE oraz Platformy wiertnicze firmy LOTOS PETROBALTIC w czasie remontu przy nabrzeżach stoczniowych

W minionym 30-leciu światowy przemysł stoczniowy podlegał silnemu przeobrażeniu. Wiele stoczní na świecie, również polskich, musiało dostosować swoją ofertę do potrzeb i cen dyktowanych przez rynek. Wiele firm z branży stoczniowej zdecydowało się na dokonanie wąskiej specjalizacji, licząc na napełnienie portfela zamówień. Dla większości przedsiębiorstw problemem jest skuteczne konkurowanie z tanimi ofertami stoczní azjatyckich, ale wypracowana marka i jakość usług pozwalają niektórym zyskać stabilność rozwoju i szanse na biznesowe zaistnienie w XXI w.



Historia

Rozmaite źródła szacują, iż nawet 85 proc. obecnej produkcji statków odbywa się w Chinach, Korei Płd. i Japonii, a wliczając potencjał stoczní indyjskich i wietnamskich – nawet powyżej 90 proc. Dla stoczní europejskich pozostaje więc niewielka możliwość utrzymania aktywności produkcyjnej w obszarze budowy statków o wysokich parametrach zaawansowania technologicznego i jakości wykonania. Stocznie europejskie zagospodarowały wymagający rynek zamówień na wartościowe, złożone jednostki oceaniczne, które, choć rzadziej zamawiane, są dla nich rentowniejsze. Wiele przedsiębiorstw rozwinęło segment produkcji jednostek pływających na potrzeby wież wiertniczych do prac poszukiwawczych. Z powodzeniem produkują również elementy konstrukcyjne morskich elektrowni wiatrowych. Podobnie efektywna ekonomicznie okazała się oferta usług remontowych. Wzmocnienie starań o dostosowanie oferty stoczniowej do realiów rynkowych skutkuje zmianą modelu biznesowego, a w konsekwencji wzrostem rentowności.

► Początki Stoczni Remontowej Nauta

Jednym z przedsiębiorstw, które poradziło sobie w trudnych dla stoczniowców czasach – przez niektórych specjalistów określanych mianem „czasu zapaści



w dokach się toczy

dla branży” – jest Stocznia Remontowa Nauta, należąca do grupy MARS Shipyards & Offshore, wchodząca w skład konsorcjum spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Na początku października 2015 r. Nauta rozpoczęła 90. rok działalności. Zbliżająca się kolejna rocznica powstania Stoczni jest okazją do przypomnienia jej historii i najciekawszych projektów.

Za datę powstania Stoczni Remontowej Nauta uznawany jest 7 października 1926 r. – dzień, w którym Rada Miejska w Gdyni podjęła uchwałę o budowie przemysłu stocznioowego w tym mieście. Z tą datą łączony jest oficjalny jubileusz firmy, ale jej historia obfituje w wiele wątków, również dramatycznych, które warto opowiedzieć ku przysłowiowym „nauce i pokrzepieniu serc”, a więc po kolei... Historia Stoczni Remontowej Nauta S.A. rozpoczęta w latach 20. XX wieku jest silnie związana z budową miasta i portu w Gdyni. Choć oficjalnie uznaje się rok 1926 jako moment powstania stoczni, już w 1922 r. Franciszek Letke otwiera w pobliżu obecnej ul. Waszyngtona pierwszy warsztat zajmujący się budową kutrów i łodzi rybackich, tworząc tam przyczółek dla usług wykonywanych na rzecz „ludzi morza”. Na początku maja 1927 r. grono polskich inżynierów w osobach Witolda i Zygmunta Andruszkiewiczów, Stanisława Kisiela oraz Samuela Elpera zakłada prywatne przedsiębiorstwo o nazwie „Nauta” spółka z ograniczoną odpowiedzialno-

Jednostki w czasie remontu w dokach pływających stoczni – M/V REDHEAD



Regata rakietowa Marynarki Wojennej RP ORP „Gen K. PULASKI” w czasie dokowania w doku pływającym nr 4 SR NAUTA

ścią, zlokalizowane u nasady Nabrzeża Śląskiego. Sylwester 1927 r. okazuje się jednak ostatnim dniem działalności ich przedsiębiorstwa, upadłego wskutek bankructwa spółki. Istniejące obiekty Nauty zostają przejęte przez nową spółkę akcyjną o nazwie „Stocznia Gdynńska”. Historia działalności stocznioowej w tym miejscu nadal się toczy. W październiku 1928 r. 76 proc. akcji nowej stoczni kupuje konkurencyjna do tej pory Stocznia Gdańska (zarządzana



Jednostki M/V TONDA SEA oraz M/T GLENDA MELISSA w remoncie w suchym doku SD I stoczni

przez międzynarodowe towarzystwo The International Shipbuilding and Engineering Co Ltd). Niestety, w marcu 1936 r. akcjonariusze Stoczni Gdańskiej podejmują uchwałę o likwidacji Stoczni w Gdyni. Na szczęście, dzięki pomocy prasy, władz miejskich i innych instytucji lokalnych oraz interwencji instytucji państwowych, nie dochodzi do realizacji tego zamiaru. Miejscowej gminie udaje się plan wykupu wszystkich akcji należących do zagranicznego inwestora, co umożliwia uchylenie decyzji o likwidacji firmy. Tymczasem rok przed tymi wydarzeniami ciesielsko-stolarskie warsztaty Franciszka Letkego przejmuje Morski Instytut Rybacki, który na ich bazie tworzy przedsiębiorstwo o nazwie „Morski Instytut Rybacki – Stocznia Rybacka”, przekształcone w 1938 r. w spółkę z o.o. Stocznia Rybacka. Pracując do wybuchu II wojny światowej, przy zatrudnieniu sięgającym 120 osób, udało się jej zwodować około 30 jednostek, głównie kutrów rybackich i łodzi ratunkowych, oraz wyremontować okręty Polskiej Marynarki Wojennej. Można więc zaryzykować stwierdzenie, iż już przedwojenna Nauta dobrze przysłużyła się Ojczyźnie, wzmacniając jej potencjał obronny.

► Lata 50. i 60.

Choć dawnej Stoczni Rybackiej udało się przetrwać niemiecką okupację (służyła jako warsztaty szkolne dla Gdynińskiej Stoczni, zamienionej na bazę remontową hitlerowskiej Kriegsmarine), bilans strat oszacowanych po wyzwoleniu okazał się dla miasta i stoczni tragiczny.

Maszyny i urządzenia zostały zniszczone w około 98,5 proc., a jej budynki i budowle w ponad 60 proc. W okresie powojennym na dzisiejszych terenach Nauty rozwinęły się trzy firmy: Zakład Złomowania Wraków, Remontowa Obsługa Statków (podporządkowana przedsiębiorstwu Gdynia – America Line) oraz Stocznia Rybacka. Ta ostatnia, podlegała tak jak przed wojną Morskiemu Instytutowi Rybackiemu. W 1952 r., rozporządzeniem Ministra Żeglugi, z połączenia dwóch firm: Remontowej Obsługi Statków i historycznie tam zakorzenionej Stoczni Rybackiej powstało przedsiębiorstwo państwowe pod nazwą Gdyńska Stocznia Remontowa, podległe Centralnemu Zarządowi Morskich Stoczni Remontowych. Początkowo zajmowało się ono głównie remontami jednostek rybackich i technicznych, ale także budową małych statków rybackich. Dzięki pomocy państwa Stocznia Gdyńska wyposażono w nowy slip (wyciąg stoczniowy, pochylnię), który pozwalał na wodowanie kadłubów do 150 m długości, oraz pierwszy dok pływający o udźwigu 1200 ton. Dzięki takiemu wsparciu już w latach 60. zauważalnie wzrosło tempo rozwoju firmy. Oddano nowe hale i budynki administracyjno-produkcyjne oraz hotel robotniczy. Udało się również dokuścić dwa doki o nośności 3500 i 4500 ton oraz wyremontować i wyposażyć w nowe dźwigi Nabrzeże Śląskie. W 1965 r. uruchomiono miejsce docelowo kształcące pracowników stoczni, tj. Przyzakładową Zasadniczą Szkołę Zawodową dla Pracujących (zamknięta w 1999 r.), a 11 lat później Przyzakładowe Technikum Mechaniczno-Elektryczne dla Pracujących (zamknięte w 1983 r.).

► Spółka państwowego potencjału obronnego

W roku 1976, czyli w 50. rocznicę nadania Gdyni praw miejskich, przywrócona została przedsiębiorstwu jej przedwojenna nazwa Nauta. Stocznia wzrastała, a same lata 70. okazały się niezwykle korzystne dla jej rozwoju. Rozbudowa infrastruktury i zaplecza naukowego, wsparta sprowadzeniem nowoczesnych technologii, spowodowała, że stocznia na dobre stała się trwałym elementem polskiej gospodarki morskiej. Na rynku światowym firma zadebiutowała w 1973 r., w wyniku nawiązania współpracy kooperacyjnej z Holandią, Włochami i innymi krajami zachodnimi. Według danych statystycznych z początku lat 80., 60 proc. ówczesnej

komercjalizacji przedsiębiorstwa państwowego, z dniem 1 stycznia 1999 r. nastąpiło przekształcenie Stoczni w spółkę akcyjną Stocznia Remontowa Nauta S.A. Rok 2014 przyniósł jeszcze jedno ważne wydarzenie w jej historii najnowszej – spółka została włączona do grupy kapitałowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. W ten sposób dzisiejsza Nauta weszła w obręb tradycji wiążącej stoczniovców z przemysłem obronnym.

► Stocznia stawia na innowacyjność

Śledząc lata czarne, szare, ale i szczerzółte gdyńskiej Nauty, dotrzeć można do obecnych czasów i łatwiej zrozumieć poziom aktualnych osiągnięć tej firmy oraz jej

AKTUALNIE PRZEDSIĘBIORSTWO, WSPÓLNIE Z UCZELNIAMI WYŻSZYMI ORAZ OŚRODKAMI
NAUKOWYMI, UCZESTNICZY W PROJEKTACH BADAWCZO-ROZWOJOWYCH, KTÓRYCH CELEM JEST
OPRACOWANIE I WDROŻENIE NOWATORSKICH PRODUKTÓW MOGĄCYCH ZNALEŹĆ ZASTOSOWANIE
M.IN. W OCHRONIE ŚRODOWISKA, ENERGETYCE ORAZ RÓŻNYCH GAŁĘZIACH PRZEMYSŁU
– W TYM RÓWNIEŻ W PRZEMYSŁE WOJSKOWYM.

produkcji stoczniowej kierowane było na eksport. Ponieważ produkcja eksportowa stale wzrastała, opracowano koncepcję modernizacji, która miała za zadanie rozbudowę firmy. Pozostaje żałować, iż te śmiałe projekty nie doczekały się realizacji, bo po okresie prosperity nadeszły lata 90... Konieczność dostosowania pracy przedsiębiorstwa do warunków gospodarki rynkowej noszących znamiona kryzysu, wymagała podjęcia trudnych decyzji o restrukturyzacji. Rozpoczęły się intensywne działania w kilku obszarach: organizacji, zarządzania i finansów. Po wycofaniu się armatorów pochodzących z rynku rosyjskiego nastąpiła reorientacja sprzedaży w kierunku rynków zachodnich. Ostatecznie ze struktury macierzystej zakładu wyodrębniło się 13 samodzielnych podmiotów gospodarczych, które obecnie są kooperantami przy realizacji przedsięwzięć podejmowanych przez stocznnię.

W pierwszych dniach 1986 r. Stocznia Nauta otrzymała status przedsiębiorstwa przemysłu obronnego, a na mocy ustawy z dnia 7 października 1999 r. „o wspieraniu restrukturyzacji przemysłowego potencjału obronnego i modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej” zaliczona ją do grona spółek państwowego potencjału obronnego, wykonujących prace na potrzeby bezpieczeństwa i obronności kraju. Dokonała się też istotna zmiana w zakresie formy prawnej: w wyniku przeprowadzonej przez Ministra Skarbu Państwa

znaczenie dla gospodarki naszego kraju. Sumując dorobek powojennej firmy, można się doliczyć kilkunastu tysięcy remontów różnego typu statków, budowy ponad 400 małych i średnich jednostek floty rybackiej i technicznej oraz ponad 80 kompleksowych prac technicznych zmieniających rodzaj starych, przebudowywanych jednostek. Aktualnie przedsiębiorstwo, wspólnie z uczelniami wyższymi oraz ośrodkami naukowymi, uczestniczy w projektach badawczo-rozwojowych, których celem jest opracowanie i wdrożenie nowatorskich produktów mogących znaleźć zastosowanie m.in. w ochronie środowiska, energetyce oraz różnych gałęziach przemysłu – w tym również w przemyśle wojskowym. Wartość tzw. produkcji specjalnej, zrealizowanej przez Stocznnię Nauta w latach 2010–2015, wyniosła około pół miliarda złotych.

Aktualnie spółka aktywnie przygotowuje się do wzięcia udziału w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP – „Zwalczanie Zagrożeń Na Morzu”, poprzez uczestnictwo w dialogach technicznych oraz postępowaniach mających na celu odbudowę Marynarki Wojennej.

Wielu Polaków marzy o odbudowie historycznej potęgi Polski, także o jej mocnej pozycji na morzu. Historia tych marzeń jest historią stoczni Nauta. Warto do niej wracać. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję przy współpracy z PGZ S.A.

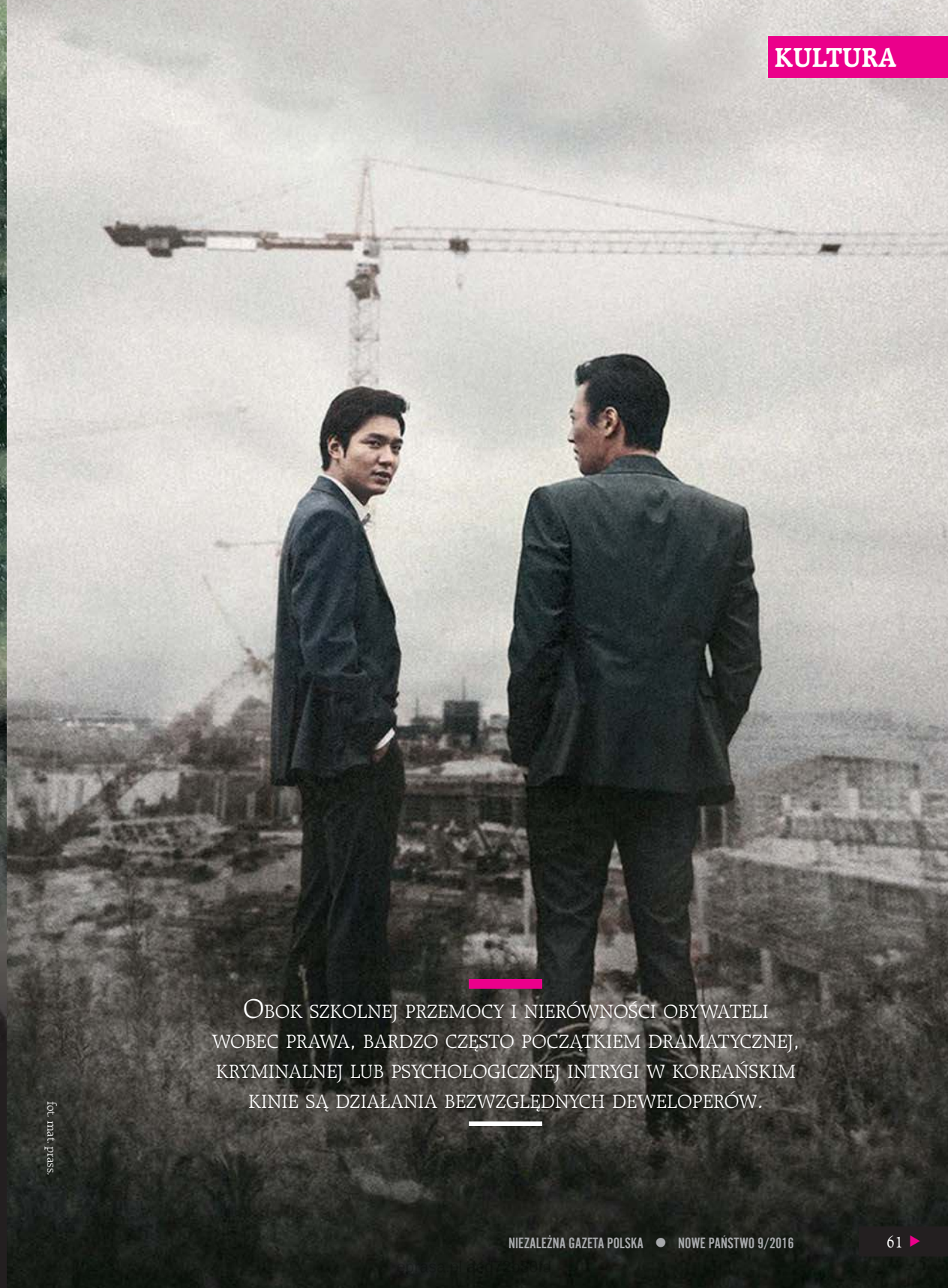


Krzysztof Karnkowski



Gangnam Style

Obraz azjatyckiego kapitalizmu i lokalnej polityki czy też wymiaru sprawiedliwości pokazywany w filmach z Korei jest dla polskiego widza zasmucająco znajomy.



OBOK SZKOLNEJ PRZEMOCY I NIERÓWNOŚCI OBYWATELI
WOBEC PRAWA, BARDZO CZĘSTO POCZĄTKIEM DRAMATYCZNEJ,
KRYMINALNEJ LUB PSYCHOLOGICZNEJ INTRYGI W KOREAŃSKIM
KINIE SĄ DZIAŁANIA BEZWZGLĘDNYCH DEWELOPERÓW.

Oferach wokół warszawskiej reprivatyzacji po cichu mówiono od wielu lat. System, w którym za złodziejstwo komunistów karano lokatorów i tych spośród dawnych właścicieli, którzy nie chcieli lub nie potrafili wejść w układy z cwanyymi i zblatowanymi z miejskimi elitami handlarzy roszczeń, trwał w najlepsze. Pochłaniał ofiary z ludzkiego życia nie tylko w przenośni, odbierając ludziom poczucie spokoju i dach nad głową, lecz także całkowicie dosłownie, jak w głośnie (lecz wciąż zbyt mało nagłaśnianej) sprawie Jolanty Brzeskiej. Ciało tej działaczki i animatorki ruchu lokatorskiego w 2011 r. odnaleziono spalone w warszawskim Lesie Kabackim, śledztwo jednak zostało umorzone. Wkrótce potem gazety pisały o tym, że jej dawne mieszkanie można kupić za milion złotych. „Unikalna okazja, mieszkanie w przedwojennej kamienicy w stylu Art Deco z 1932. Zamieszkaj w towarzyszym ludzi ze świata kultury i nauki” – głosiła reklama. Kto mieszka dziś w dawnym mieszkaniu Brzeskiej? Czy miewa sennie koszmary, w których główną rolę odgrywa ogień?

Nabielaka 9, gdzie mieszkała Brzeska, Chmielna 70 i Mokotowska 40, które miasto poddało reprivatyzacji, pomimo wcześniejszego spłacenia roszczeń, kamienica przy Noakowskiego 16 oddana w wyniku oszustwa, o której głośno z racji współwłasności męża prezydent Warszawy – to adresy, które pomału zaznaczają się w świadomości społecznej. Raczej symbole niż odosobnione przypadki. Zubek warszawskiej góry lodowej, skrywającej wiele dramatów, nieszczęść i niejasnych interesów z udziałem szemranych odzyskiwaczy roszczeń, miejskich urzędników i warszawskich elit, prawniczych, biznesowych, kulturalnych. To temat na wiele artykułów i dla wielu miejskich aktywistów, dziennikarzy śledczych, a przede wszystkim dla CBA i prokuratury. Czy coś zmienia się w ostatnich miesiącach? Czy naprawiając przynajmniej część urzędniczych zaniedbań (przy czym słowo to trzeba uznać za bardzo gruby eufemizm) „mała ustawa reprivatyzacyjna” podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę faktycznie uratuje sytuację, pokaże czas. Tymczasem za każdym razem, gdy w miejscu mijanej całej życie kamienicy widzę nowy, ładny apartamentowiec, zastanawiam się, jakie pieniądze i jaka krzywda za nim stoją. Odpowiedź poznam, mijając dom, z którego kilka tygodni temu musiałem się wyprowadzić, a w którym spędziłem ostatnich kilka lat życia. Drastyczne, dla osób postronnych niewyobrażalne podwyżki czynszów, obojętność miasta, stopniowo pustosząca klatka schodowa i rezygnacja lokatorów.

► Mafia, gangi i deweloperzy

Zapewne zaskoczył Państwa ten wstęp do artykułu, który w założeniu jest kolejnym tekstem poświęconym koreańskiemu, współczesnemu kinu, jednak,

wbrew pozorom, wprowadzenie to było niezbędne. Koreę Południową z Polską, pomimo dużej różnicy kulturowej, łączą bowiem niektóre problemy społeczne, typowe dla krajów, które wychodzą bądź dopiero co wyszły z autorytaryzmu. Korupcja, mafijne powiązania i korzenie wielkich fortun, niejasne relacje na styku władzy i biznesu oraz piękne frazesy o publicznej służbie, wypowiedane przez ludzi pobierających drugą pensję od tych, których mają kontrolować – to realia, które zobaczyć możemy w obu krajach. Obraz azjatyckiego kapitalizmu i lokalnej polityki czy też wymiaru sprawiedliwości pokazywany w filmach z Korei, jest dla polskiego widza zasmucająco znajomy. Stąd też m.in. moja sympatia do tamtejszego kina, oglądam bowiem historie, których nie chcą lub nie mogą pokazać mi polscy twórcy, a w których, mimo wielu szczegółów obcych i egzotycznych, mogę zobaczyć ważny społeczny przekaz. Często zresztą stanowiący punkt wyjścia do stworzenia filmów komercyjnych (w dobrym tego słowa znaczeniu) – przebojowych i atrakcyjnych dla widza. Obok szkolnej przemocy i nierówności obywateli wobec prawa, o czym mam nadzieję w swoim czasie napisać, bardzo często początkiem dramatycznej, kryminalnej lub psychologicznej intrygi są działania bezwzględnych deweloperów.

Gangnam to droga dzielnica Seulu, o której świat dowiedział się, kiedy niespodziewaną popularność zdobył utwór „Gangnam Style” południowokoreańskiego artysty Psy. W ekskluzywnie blokowisko pustawy dotychczas teren przekształcił się mniej więcej w tym samym czasie, gdy peryferyjny charakter traciły Ursynów i Natolin. Za deweloperami często stały rywalizujące ze sobą o każdy skrawek ziemi gangi. Historia ta wpleciona została w 2014 r. w film Yoo Ha „Gangnam 1970” (tytuł międzynarodowy „Gangnam Blues”). Pomimo lekko chaotycznej narracji i skupienia się raczej na warstwie wizualnej niż klarowności opowieści, film opowiadający historię dwóch przyjaciół z dzieciństwa, wpłątanych w mafijną rozgrywkę z polityczną korupcją w tle, już w pierwszym tygodniu zarobił ponad 5 mln dolarów, debiutując na pierwszym miejscu koreańskiego box office’u. Pomimo względnego (2 mln widzów) sukcesu, „Gangnam Blues” nie jest dziełem specjalnie udanym, choć stara się nawiązywać do pełnego znakomitych produkcji koreańskiego kina gangsterskiego. Wspominam o nim głównie przez wzgląd na tematykę. W jednej z ostatnich scen widzimy, jak uczestnik wcześniejszych porachunków wygłasza płomienną, pełną wielkich słów, mowę o wspólnie przyszości dzielnicy. Patrząc na ceny mieszkań i piękne zdjęcia miejscowych wieżowców,

można by uznać, że słowa dotrzymał. Powraca jednak pytanie o koszty.

► Krwawy mściciel

Blіszy polskiemu widzowi będzie na pewno wątek wyrzucania dotychczasowych lokatorów z miejsc, które przeżyć mają swój architektoniczny i komercyjny awans. Szybko rozwijający się kraj, zwłaszcza zaś jego, wciąż pełna biednej i chaotycznej parterowej zabudowy, stolica, szybko upomina się o slumsy. Ponure tajemnice z przeszłości i współczesne dramaty związane z usuwaniem ludzi siłą z ich domów, znajdujących się w okolicach przeznaczonych do szybkiej rozbudowy, wciąż stają się ważnym punktem wyjścia dla filmów i seriali. Motyw ten odnajdujemy w bardzo ponurym i przejmującym, lecz zarazem spektakularnym filmie „Hwayi – chłopiec potwór” (tytuł

okrutnie z nich obu zakpił los, rozpoczyna krwawą zemstę na swoich wychowawcach. Jako ostatni zginie zaś deweloper, który życie straci podczas uroczystego otwarcia nowej dzielnicy, pośród oficjeli, eleganckich gości i wystrojonej orkiestry. Krwawa historia z ludzką chciwością w tle tym razem przyciągnie do kin prawie 2,4 mln widzów.

► Duch z czwartego piętra

Mafijny fundament nowoczesnej zabudowy przewinie się jeszcze przez wiele filmów, inspirując nawet twórców horroru. W pochodzącym z 2006 r. „Zakazanym piętrze” (tytuł ang. „Forbidden Floor”) Kwon Il-Soo nawiązuje do starego przesądu, każącego Koreańczykom i Chińczykom obawiać się cyfry 4, gdyż w części chińskich dialektów słowa „cztery” i „śmierć” mają takie samo brzmienie. W nie-

PONURE TAJEMNICE Z PRZESZŁOŚCI I WSPÓŁCZESNE DRAMATY ZWIĄZANE Z USUWANIEM LUDZI SIŁĄ Z ICH DOMÓW, ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W OKOLICACH PRZEZNACZONYCH DO SZYBKIEJ ROZBUDOWY, WCIAŻ STAJĄ SIĘ WAŻNYM PUNKTEM WYJŚCIA DLA FILMÓW I SERIALI.

międzynarodowy: „Hwayi: A monster boy”) nakręconym przez Jang Joon-hwana.

Jang pokazuje nam ciekawą, również pod kątem psychologicznym, historię chłopaka wychowywanego przez pięciu kryminalistów na odludnej farmie. Hwayi każdego z nich traktuje jak ojca, a każdy z bandziorów, choć reprezentuje inny typ charakteru, również okazuje mu coś w rodzaju ojcowskich uczuć. Zamiast chodzić do szkoły, chłopak uczy się bezwzględnej zabijania i stopniowo włączany zostaje w akcje grupy. Jego historia i przyczyny takiego położenia odkrywane są przed nami stopniowo. Prawdę zrozumie, gdy pewnego dnia wraz z grupą znajdzie swoje zdjęcie z dzieciństwa w domu zamordowanego człowieka. Ofiara to... opomy właściciel małego domu, który jako ostatni z okolicy nie chce się wyprowadzić, pomimo prośb, grózb i aktów przemocy ze strony bandytów, nasyłanych przez dewelopera. W tym miejscu ma bowiem powstać dzielnica apartamentowców, dotychczasowa zabudowa zniknąć musi z powierzchni ziemi. Tymczasem Im Hyung-taek za wszelką cenę chce zostać w swoim mieszkaniu, wciąż wierzy bowiem w powrót zaginionego przed kilkunastu laty syna. Reszty można się już domyślić. Kiedy chłopak zrozumie, jak

których budynkach unika się czwórki w numeracji, nad piętnem trzecim od razu pojawia się piąte. Wydaje się, że tak samo jest w bloku, do którego wraz z córką wprowadziła się Min-young. Okazuje się jednak, że brakująca kondygnacja istnieje, zaś lokatorów straszyć zaczyna duch kobiety zamordowanej przez chciwego właściciela ziemi, niemającego w żaden sposób pozbyć się jej ze stojącego tam wcześniej uboższego bloku. Wątek zakończonej tragedią eksmisji pojawia się też chociażby w tegorocznym, bardzo udanym serialu „Pied Piper”, opowiadającym o precyzyjnie zaplanowanej zemście kogoś, komu tamto wydarzenie zламало życie.

Zagraniczne filmy często nie są ucieczką od lokalnych zmartwień, lecz obrazami, po które, z różnych przyczyn, nie sięgają nasi polscy twórcy. Na ekranie chciwość i bezwzględność przynajmniej czasami zostają ukarane, nawet wtedy, gdy oficjalna sprawiedliwość okazuje się bezsilna. Jak będzie u nas? ■

Autorem zdjęcia ilustrującego artykuł „Dźwiękowa pocztówka z bagien”, zamieszczonego w poprzednim numerze „NP”, jest Michał Zarecki. Za brak podpisu przepraszamy.

Keb' Mo'

na Rawa Blues Festival

Na tegorocznej Rawie zapowiada się wielkie wydarzenie: Keb' Mo' – jeden z najbardziej cenionych na świecie bluesmanów – zagra w Sali Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia z orkiestrą katowickich filharmoników!

Prezentowanie bluesa w miejscach powstałych dla zgoła innej muzyki ma w naszym kraju ponadpółwieczną tradycję. Przed dwoma laty nawiał do niej Irek Dudek, organizując swój festiwal w dwóch odsłonach, także w sali NOSPR. W tym roku powraca do tamtej idei – wpisania bluesa w przestrzeń akustycznej doskonałości. Ale może również przez sentyment do akustycznego, symfonicznego bluesa, który kiedyś w autorskim projekcie uprawiał. Irek Dudek zaprosił ponownie znakomitego amerykańskiego bluesmana, występującego już kiedyś na Rawie w hali Spodka ze swoim regularnym zespołem.

Keb' Mo' przebił się do czołówki na rynku muzycznym wykonawców bluesa w 1994 r. znakomitą albumem „Keb' Mo'”. Od tego czasu jest na nim nieprzerwanie obecny, m.in. dzięki płytom nagradzanym ważnymi w świecie muzyki trofeami, trzykrotnie zdobył Grammy oraz inne cenione wyróżnienia. Niedawno otrzymał kolejne: „Bluesowy Artysta Roku”, o czym zdecydowali czytelnicy pisma „Living Blues”. Pozycja, jaką zyskał, sprawia, że do współpracy zapraszali go wybitni artyści pochodzący z różnych światów muzycznych, jak na przykład jazzman Marcus Miller. Swoją talent ak-

torski (na początku lat 90. XX wieku występował w musicalu na nowojorskiej scenie) potwierdził zaaproponowany do płytowej rejestracji sonetów Szekspira w gronie sławnych amerykańskich aktorów filmowych i teatralnych.

Występował niemal na całym świecie. Jednak katowicki koncert będzie dla niego pierwszym tego rodzaju artystycznym doświadczeniem i zarazem wielkim wyzwaniem. Przygotowuje się do niego we współpracy z Krzesimirem Dębskim, naszym znakomitym jazzmanem, kompozytorem i aranżerem, któ-

ry poprowadzi wykonanie całości. Amerykańskiemu bluesmanowi będzie towarzyszyła grupa śląskich muzyków i 60-osobowa orkiestra. Zapowiada się więc wyjątkowy koncert na otwarcie 36. Rawy Blues. Wydarzenie godne „największego festiwalu bluesowego organizowanego w zamkniętym pomieszczeniu, który zdobył sobie światową renomę” – jak mówi o Rawie

Bruce Iglauer, szef słynnej bluesowej wytwórni Alligator Records.

Bilety na 36. Rawa Blues Festival dostępne są w całym kraju, w sieci Ticketpro. Szczegółowe info o cenach wejściówek: www.rawablues.com oraz na oficjalnym facebookowym fanpage'u Rawa Blues Festival. ■



fot. mat. pas

Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 30.09.2016 GODZ. 19.30

**KEB' MO' & NOSPR
COREY HARRIS SOLO**

SPODEK 1.10.2016

**JJ GREY & MOFRO
SHEMEKIA COPELAND
ALBERT LEE
TORONZO CANNON
SHAKIN' DUDI
DŻEM**

**KRZYSZTOF GŁUCH OSCILLATE ★ JOE COLOMBO FEAT. KASIA SKOCZEK
HOT TAMALES ★ CHEAP TOBACCO ★ F*CK THE PEOPLE ★ JANUSZ HRYNIEWICZ**

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

*Pokój Numer 3, Levi, Black Job, Black Bee, Blues Drawers
Elephant's Escape, Forsal, Jurajski Oddział Bluesowy*

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski.

info: www.rawablues.com bilety: www.ticketpro.pl



„Świat chce być oszukiwany”
Sebastian Brants (1457–1521)

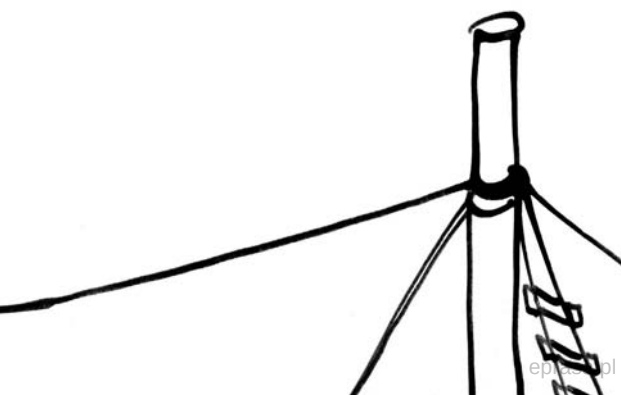
Hochsztaplerzy, mistyfikatorzy, duchowe dzieci Felixxa Krulla



Olga Doleśniak-Harczuk



Listonosz odnoszący sukcesy jako ordynator kliniki psychiatrycznej, prominentna polityk socjaldemokracji, która od A do Z spreprowała swój życiorys, fryzjer leczący dzieci na oddziale pediatricznym, prosty chłop podający się za wcielenie zmarłego cesarza. Zmyślone dyplomy, tytuły, podrobione świadectwa maturalne, wyimaginowane umiejętności i ego jak stąd do Nowego Jorku. Hochsztaplerzy, mistrzowie autokreacji, osobnicy urokliwi bądź – wręcz przeciwnie – odpychający w obyciu, a jednak tak często skuteczni we wcielaniu w życie swoich zamysłów. Są wśród nas!



Znamy takie postacie z najmroczniejszych baśni Giambattisty Basilego i braci Grimm, ich spryt docenił też Charles Perrault, idąc baśniowym torem, można uznać nawet, że wersją light hochsztaplerstwa jest spektakularna kariera uroczego szelmy, Kota w Butach, który z wiejskiego mruczka stał się wielmożnym panem. Samo słowo „hochsztapler” wywodzi się z języka niemieckiego i pierwotnie było określeniem „żebraka”, czasownik „stapeln” miał w żargonie rzeźmieszków znaczyć tyle, co „żebrac”, a przedrostek „hoch” w tym kontekście akcentował, że „żebrak ma się za coś więcej”. W wydanej w 1851 r. książce „Niebezpieczne stany Wiednia” słowo hochsztapler jest definiowane jako „niebezpieczny żebrak mamiący ludzi nieprawdziwymi opowieściami o swoich nieszczyściach i przywłaszczający sobie jednocześnie szlacheckie tytuły czy możliwe nazwiska dla uwiarygodnienia swojej legendy”. Definicja uniwersalna i aktualna.

► Jak „Dietrich Drewniak” został cesarzem

W średniowieczu nie brakowało śmiałków, którzy podawali się za kogoś innego i próbowali oszukać co do swojej tożsamości nawet władców. Z różnym finałem. W 1283 r. niejaki Tile Kolup vel „Dietrich Drewniak” zarzekł się, że jest nikim innym jak zmarłym trzy dekady wcześniej cesarzem Fryderykiem II. Kolup żerował na legendzie ludowej, według której Fryderyk II powróci pod postacią „kogoś z ludu”. W pierwszym odruchu lud mu nie wierzył i wrzucił oszusta do kloaki, a następnie wygnał z Kolonii. Kolup nie dał za wygraną i w mieście Neuss znalazł wyznawców, przyjmował na audyencjach wielmożów i biskupów, nadawał dobra (m.in. opactwo w Essen), podtrzymywał przywileje. Panowanie rzekomej reinkarnacji cesarza trwało do czerwca 1285 r. Prawowity król, Rudolf von Habsburg, nakazał spalić go na stosie jak heretyka.

W XX wieku hochsztaplerem nazywano chociażby wiedeńskiego zbira Ernsta Winklera, który słynął z tego, że podszywał się pod arystokratów, naciągał kupców, potrafił zmistyfikować własną śmierć, a ponadto z uwagi na ekscentryczne pomysły był stałym bywalcem kliniki psychiatrycznej Steinhof. Jedną z najgłośniejszych mistyfikacji Winklera było sfingowanie własnej śmierci w 1928 r. W pobliżu lasku wiedeńskiego porzucono kuferek pełen wizytówek „Hrabiego Henckel von Donnersmarck” z infor-

macją, że ów popełnił w lasku samobójstwo, a znalazca jego ciała otrzyma 100 tys. złotych marek. Na poszukiwania hrabiowskich zwłok rzuciły się setki ludzi, oczywiście zupełnie niepotrzebnie, bo autor „żartu” żył i śmiał się do rozpuku, przypatrując się ich zaangażowanym poszukiwaniom. Trzy lata wcześniej w Paryżu inny oszust, Victor Lustig, przeszedł do historii jako „człowiek, który sprzedał wieżę Eiffla dwa razy”, a potem jeszcze oszukał na 51 tys. Ala Capone. Lustigowi przypisuje się ponadto stworzenie „Dziesięciu przykazań oszusta”, gdzie m.in. radzi: „Nigdy się nie przechwalaj (zachowuj się, jakby twoja ważność była oczywista) i poczekaj, aż inni wyjawią swoje poglądy polityczne, a potem zgódź się z nimi”.

► Śladem Dyzmy i Krulla

Jakie cechy powinien mieć taki współczesny oszust? Ciekawy wzorzec znajdziemy w literaturze, warto przypomnieć sobie chociażby „Kariere Nikodema Dyzmy” (1932) Tadeusza Dołęgi-Mostowicza czy „Wyznania hochstaplera Feliksa Krulla” (1954, oryg. „Die Bekenntnisse des Hochstaplers Felix Krull”) Tomasza Manna. Chociaż bohaterowie obu powieści są od siebie różni i osiągają swoje cele nieco innymi metodami, a karykaturalny Dyzma zawdzięcza też wiele dziełu przypadku, o tyle urok jednego i drugiego magnetyzuje i zniewała. Młody Felix okrada bogatą kobietę i żyje ponad stan, żerując na jej majątku, a ona sama dowiedziawszy się o kradzieży, zamiast się oburzyć i doprowadzić łotra na komisariat, czerpie perwersyjną radość z bycia okradaną. Nikodem, nieokrzesany prowincjusz, najpierw zdobywa pozycję, a następnie rękę groteskowo wręcz delikatnej i egzaltowanej Niny. Jeden i drugi sięgają wysoko po coś, co im się nie należy, i zdobywają to. Nikodem i Felix to osobowości narcystyczne, pewne siebie, przy czym bohater Manna, jak sam autor sugeruje, ma w sobie jeszcze „domieszkę Hermesa”, beczelnego złodziejzaka, któremu i tak z racji uroku, jaki rozciąga, wszystko uchodzi na sucho. Nikodem tak czarujący nie jest, z jego topornością bliżej mu do Hefajstosa niż Hermesa. Ale mitologia na bok. Kariery budowane na łgarstwie i beczelności nie są wyłącznie domeną fikcji literackiej.

► Prawnik tylko na papierze

Lipiec 2016 r. okazał się dla niemieckich socjaldemokratów (SPD) mało łaskawy. Nie dość, że partia słusznie kojarzona z polityką migracyjną Ange-

li Merkel wciąż traci w sondażach, to jeszcze media ujawniły niechlubne sekrety posłanki do Bundestagu Petry Hinz. „Skandal życiorysowy” Petry Hinz uderzył w SPD nie mniej niż w CDU/CSU pamiętna afera z 2011 r. z plagiatem doktoratu ówczesnego szefa MON-u i wielkiej nadziei chadeków – barona Karla-Theodora zu Guttenberga. Tyle że mimo wszystko przypadek Hinz bardziej rozgrzewa wyobraźnię przeciętnych Niemców. Guttenbergowi rodacy byli w stanie wiele wybaczyć, przystojny, szarmancki i inteligentny arystokrata lawirujący w sprawie swojego doktoratu i tak miał rzesze fanów. Był plastrem na niespełnione ambicje, wizytówką całej wspólnoty, nieco przybrudzoną, ale wciąż chętnie okazywaną. Petra Hinz ma trudniejsze zadanie. Nie jest ani sympatyczna, ani wybitnie uzdolniona, nie budzi zaufania, a informacja o tym, że kobieta, która od 11 lat zasiada w Bundestagu i podaje się za prawnika, w rzeczywistości nie ma nawet świadectwa dojrzałości – zwykłych Niemców najwyczajniej zdumiała, a następnie rozwścieczyła.

Doniesienia medialne na temat sfalszowanego CV pani poseł doczekały się komentarza jej prawnika, który przyznał, że – owszem – Hinz nie ukończyła żadnej z podanych w oficjalnym życiorysie szkół, ale przynajmniej starała się nadrobić maturę... próba się jednak nie powiodła. Po roku starań posłanka zrezygnowała bowiem z nauki i dalej ze sfingowanym życiorysem wspinała się po szczeblach kariery. Brak wykształcenia akademickiego u polityka nie musi być powodem do użmy, zdarzali się w historii charyzmatyczni przywódcy bez dyplomu. W przypadku samej SPD takim politykiem był np. kanclerz Willi Brandt, który zrobił maturę, ale już w następstwie pewnych perypetii (miał otrzymać stypendium od SPD, ale w partii doszło do rozłamu i wielkiej awantury i Brandt odrzucił ostatecznie pomoc w finansowaniu swojej edukacji z partyjnej kasy) nie podjął studiów. Zamiast nich odbył staż w firmie spedycyjnej w Lubece. Brandt w żadnym oficjalnym życiorysie nie skłamał odnośnie do swojego faktycznego wykształcenia (bywały inne zastrzeżenia do jego życiorysu, ale o tym być może innym razem), choć tajemnicą Poliszynela było, że z uwagi na jego niedostatki cierpiał na „kompleks Adenauera”, który ukończył studia prawnicze i cieszył się zarówno w szeregach chadecji, jak i poza nimi, opinią człowieka wszechstronnie wykształconego i intelektualnie wyrafinowanego. Pokusa dorównania pierwszemu kanclerzowi tłila się wyraźnie. Tyle że kostyczny Adenauer był generalnie typem zupełnie różnym od nazywanego

„niemieckim Kennedym” Brandta, kwestia asymetrii w wykształceniu obu kanclerzy schodziła w tym sensie na plan dalszy.

► Specjalistka od wgniatania w ziemię

Wracając do Petry Hinz – jak zapewnia jej pełnomocnik, posłanka nie trudniła się poradą prawną, nie wykonywała więc swojego deklarowanego, a jak już wiadomo zmyślnego zawodu i w tym sensie nie złamała prawa. Jedyne, co złamała, to zaufanie wyborców. Sporo jak na polityka partii współrządzącej Niemcami. Koledzy z SPD szybko zorientowali się, że siedzenie w jednej łódce z Hinz grozi zatopieniem całej załogi i zażądali

ślanki, została nawet wezwana w tej sprawie na rozmowę, ale się nie stawiała. Konsekwencji nie wyciągnięto. W październiku 2013 r., gdy w biurze Hinz po raz kolejny zwolniło się miejsce i posłanka dała ogłoszenie, że poszukuje pracownika, wspólnota pracownicza SPD (agencja wewnętrzpartijna rekrutująca pracowników biur) wysłała do potencjalnych kandydatów list ostrzegający przed podjęciem obowiązków u Hinz. Mimo iż wszyscy dookoła znali sprawy, nikt nie odważył się pociągnąć posłanki do odpowiedzialności. I tak niedoszła abiturientka podająca się za doświadczoną prawniczkę, pełna kompleksów i agresji, siedząca na tym swoim sfalszowanym życiorysie niczym na wulkanie, mogła latami poni-

W 1928 R. W POBLIŻU LASKU WIEDEŃSKIEGO PORZUCONO KUFEREK PEŁEN WIZYTÓWEK „HRABIEGO HENCKEL VON DONNERSMARCK” Z INFORMACJĄ, ŻE ÓW POPEŁNIŁ W LASKU SAMOBÓJSTWO, A ZNALAZCA JEGO CIAŁA OTRZYMA 100 TYS. ZŁOTYCH MAREK. NA POSZUKIWANIA HRABIOWSKICH ZWŁOK RZUCIŁY SIĘ SETKI LUDZI, OCZYWIŚCIE ZUPEŁNIE NIEPOTRZEBNIE, BO AUTOR „ŻARTU” ŻYŁ I ŚMIAŁ SIĘ DO ROZPUKU, PRZYPATRUJĄC SIĘ ICH ZAANGAŻOWANYM POSZUKIWANIOM.

jej odstawienia w najbliższym porcie. Pod koniec lipca posłanka pod presją mediów i własnego otoczenia partyjnego złożyła mandat.

Zanim jednak do tego doszło, w mediach wysypał się worek z relacjami jej byłych współpracowników, którzy teraz chętnie opowiadali, jaką Hinz była despotką i jak potrafiła gnębić zespół zatrudniony w jej berlińskim biurze. Sześć pokrzywdzonych osób zgłosiło się do redakcji derwesten.de. Opowiadali, że Hinz „dostawała szalu na jakiekolwiek słowa krytyki”, a współpracownicy nie raz opuszczali jej gabinet zapłakane. Lubiła poniżać stażystów i stałych pracowników biura, zachowywała się tak, jakby żyła w ciągłym lęku, że ktoś „ją podejdzie”. Rotacja zatrudnionych była spora, wciąż przychodził ktoś nowy, a kilka tygodni później rezygnował. Sama Hinz zapytana przez prasę o mobbingowanie podwładnych, stwierdziła, że to „podła nagonka”. Tymczasem, jak pisze derwesten.de, sprawa wcale nie była nowa, a kierownictwo SPD już w 2012 r. otrzymało sygnały, że Hinz mobbinguje swoich współpracowników. W Bundestagu też wiadano o karygodnym zachowaniu po-

zać pracowników. Bardziej socjaldemokratycznie już chyba nie można.

I jeszcze jednak kwestia – niemiecki Dykma w spódnicy wyprowadził w pole nie tylko SPD, lecz także cały Bundestag. Przez te wszystkie lata nikt nie zażądał od niej oryginału dyplomu uniwersyteckiego ani zaświadczenia o przebytej ścieżce kariery deklarowanej w CV. W czasach, gdy ekspedientka w berlińskim butiku ma mieć co najmniej licencjat i znać przynajmniej jeden język obcy, brak adekwatnych procedur w niemieckiej polityce mocno zastanawia. Jedno trzeba Petrze Hinz przyznać, sprytnie wybrała sobie fałszywy zawód, w Niemczech według sondażu GfK polityk wzbudza zaufanie zaledwie u 14 proc. Niemców, prawnik natomiast cieszy się sympatią aż 70 proc., a tuż za nim plasują się strażacy, sanitariusze, aptekarze i lekarze.

► Najpierw zastrzyk, potem strzyżenie

Nic dziwnego, że i wielu hochsztaplerów właśnie pod lekarzy się podszywa. Zawód zaufania społecznego, gwarantujący szacunek, do tego opłacalny finansowo.

O tych wszystkich pozytywach lekarskiego fachu mógłby niejedno opowiedzieć Klaus D., fryzjer z Bawarii, który przez całe 20 lat udawał lekarza. Jego medyczna przygoda zaczęła się w 1983 r. Ze sfalszowanym dyplomem pediatriy zakupionym we Włoszech zapukał Klaus do bram kilku bawarskich klinik. Z powodzeniem. W pediatrycznej klinice rehabilitacyjnej Samberg pod Rosenheim pełnił nawet funkcję szefa oddziału. Jak zeznał podczas procesu w 2001 r., ze względu na alergię musiał zrezygnować z pracy w salonie fryzjerskim, a ponieważ wielokrotnie odbywał staże w monachijskich szpitalach, nadarzyła się okazja, by poznać tajniki medycznego fachu. Klaus nauczył się obchodzić ze strzykawką i zakładać wenflony, a w trakcie pobytu na praktykach dla pielęgniarki we Włoszech „pewien profesor namówił go do zaopatrzenia się w sfalszowany dyplom lekarski i rozpoczęcie pracy już jako lekarz”. Podobno najbliżsi oszusta nie zdawali sobie sprawy z jego poczynañ, a on sam tłumaczył, że „najbardziej w świecie pragnął zapewnić dobrobyt swoim dzieciom”, stąd patent z lekarzem. Mętnych wyjaśnień nie zamierzali słuchać ani sędziowie, ani byli pacjenci „pana doktora”, który wstrzykiwał im – jak się okazało – kortyzon zmieszany z innym lekiem, a nie jak zapewniał „proteiny”. Klaus na trzy lata powędrował do więzienia. Cud, że nikt nie ucierpiał na skutek jego awangardowych zastrzyków.

Dużo szczęścia mieli też pacjenci operowani przez Christiana E., trójkowego absolwenta szkoły realnej, który ze sfalszowanym świadectwem dojrzałości dostał się na medycynę na Uniwersytecie Erlangen i zaliczył nawet kilka semestrów. Jako 29-latek Christian miał już dwa tytuły doktorskie, dyplom ukończenia medycyny na Oxfordzie i liczne listy polecające z pieczętkami szacownych instytucji, w tym rządów krajów związkowych. Wszystkie te dokumenty były efektem jego kreatywnej twórczości, nawet bardzo kreatywnej, ponieważ pojawiły się w nich liczne błędy ortograficzne, co zauważono jednak dopiero, gdy wpadł. Wcześniej bez przeszkód w 2006 r. przyjęto go do Kliniki Uniwersyteckiej Erlangen, gdzie leczył i operował. Ktoś go jednak rozpoznał i zawiadomił policję. Christian po roku lekarskiej przygody trafił na trzy lata za kraty. Jak później tłumaczył, nawet nie pamięta, kiedy wszedł w obcą skórę, rzeczywistość zlała mu się z fikcją, liczyło się tylko to, by być kimś innym.

► Psychiatrya inny niż wszyscy

W latach 80. w Niemczech oprócz Klausa D. grasował też inny fałszywy lekarz – Gert Postel.

Osobnik przebiegły do tego stopnia, że kiedy w 1995 r. przystępował do konkursu na posadę ordynatora w szpitalu psychiatrii sądowej w saksońskim Zschadras, pokonał 38 konkurentów. Lekarz z prawdziwym, a nie podrobionym dyplomem, kilku ze zrobioną habilitacją. Postel zakpił sobie z przeprowadzającej rozmowę kwalifikacyjną komisji Ministerstwa Zdrowia, wygłaszając przed nią referat o „Przymusie kłamstwa na podstawie literackiej postaci Feliksa Krulla” i na dodatek jako temat swojej pracy doktorskiej podał ciąg specjalistycznych terminów, które nie przedstawiały żadnej treści, ale były jednym, pseudonaukowym bełkotem. Członkowie komisji zamiast zakwestionować absurdalny tytuł, przyjęli Postela z otwartymi ramionami. Później w wywiadach (tak, do dziś ich udziela i ma nawet fun club) oszust żartował, że „w środowisku lekarskim stawianie pytań uchodzi za niekompetencję”, więc mu ich nie stawiano. Zapytany niedawno przez niemiecką dziennikarkę o to, czy nie czuł się winny, robiąc na szaro tak szacowną komisję, Postel odparł: „Prawdziwym skandalem jest to, że profesor psychiatrii, czyli mój szef, nie był w stanie w codziennym kontakcie ze mną odróżnić ordynatora od listonosza. A tacy jak on do dziś zajmują się pacjentami. Wiele to mówi o całym systemie”.

Postel nie poprzestał na stanowisku ordynatora. W kolejnych latach piastował jeszcze funkcję pełnomocnika saksońskiej Izby Lekarskiej ds. kształcenia psychiatrycznego, przewodniczącego Komisji Lekarzy Specjalistów i kierownika szpitala psychiatrycznego dla kryminalistów. Nikt nie kwestionował jego kompetencji, nie wnikał w metody leczenia, miał wolną rękę, a rozzuchwalony swoim farterem i bezkarnością zaczął nawet wymyślać terminy naukowe i diagnozować schorzenia, które nie istnieją! Tak było chociażby z wynalezioną przez niego „dwubiegunową depresją trzeciego stopnia”.

► Nienasycony głód kłamstwa

Postel od najmłodszych lat pasjonował się psychologią, socjologią i psychiatrią, zanim dokonał „wielkiego skoku” na posadę ordynatora, odwiedzał jako wolny słuchacz wykłady z psychologii i socjologii na Uniwersytecie Bremen. Pochłaniał wręcz fachową literaturę, szybko przyswoił sobie specjalistyczną terminologię. A później tylko co pewien czas fałszował jakiś dyplom i meldował się z nim w szpitalu, a to w Oldenburgu, a to w Bremen, a że wzbudzał zaufanie i miał teore-

tycznie odpowiednie kwalifikacje, nikt nie dociekał, jaka była jego prawdziwa ścieżka kariery. W 1982 r. ubiegał się o pracę lekarza w Bundesverze, ale go przejrano. Miał wtedy zaledwie 24 lata. Porażka go nie zraziła, jeździł od kliniki do kliniki, wymyślał kolejne historyjki, a to o wpływowym ojcu lekarzu i matce dyrektorce szpitala, a to o odbytych gdzieś imponujących stażach. Co kilka lat dochodziło do demaskacji, zazwyczaj wtedy, gdy ktoś nagle żądał oryginałów dokumentów. W 1984 r. Postel dostał rok więzienia w zawieszeniu, ale i to nie powstrzymało go od dalszych lekarskich oszustw. Zatrudnił się w prywatnej klinice, a dwa lata później znowu stanął przed sądem – tym razem za prześladowanie młodej pani pro-

wa w telewizji, pisze książki, komentuje bieżące wydarzenia, jeździ z wykładami do Szwajcarii, prowadzi „Ruchowi Antypsychiatrycznemu” i jakże by inaczej – ożenił się z prawniczką. A ostatnio jako niekwestionowany autorytet w hochsztaplerskim sporcie odniósł się na łamach magazynu „Fokus” do sprawy Petry Hinz. Z wyższością mentora objaśniał, że hochsztapler jest zawsze samotny, bo wciąż się boi demaskacji, a sama Hinz „z pewnością zareaguje na całe zamieszanie wokół niej depresyjnie”: „Już skasowała konto na Twitterze. Jestem przekonany, że jest przejęta. Można niby mówić, że popełniła po prostu błąd, ale niemiecki hipokryta i tak zażąda kary śmierci” – ubolewał.

DUŻO SZCZĘŚCIA MIELI PACJENCI OPEROWANI PRZEZ CHRISTIANA E. JAKO 29-LATEK MIAŁ JUŻ DWA TYTUŁY DOKTORSKIE, DYPLOM UKOŃCZENIA MEDYCYNY NA OXFORDZIE I LICZNE LISTY POLECAJĄCE Z PIECZĄTKAMI SZACOWNYCH INSTYTUCJI, W TYM RZĄDÓW KRAJÓW ZWIĄZKOWYCH. WSZYSTKIE TE DOKUMENTY BYŁY EFEKTEM JEGO KREATYWNEJ TWÓRCZOŚCI, NAWET BARDZO KREATYWNEJ, PONIEWAŻ POJAWIŁY SIĘ W NICH LICZNE BŁĘDY ORTOGRAFICZNE, CO ZAUWAŻONO JEDNAK DOPIERO, GDY WPAŁ.

kurator, która odrzuciła jego awanse. Podobno doprowadził ją swoją natarczywością do załamania nerwowego.

A potem był słynny konkurs na ordynatora i kolejne lata uwiarygodniania się w psychiatrycznym świecie. Wpadł w 1997 r., rozpoznany przez rodziców koleżanki ze szpitala, którzy przyjechali do kliniki w odwiedziny. Uniknął jednak aresztu ostrzeżony na czas przez inną panią prokurator (!), z którą miał romans. Postel zbiegł i ukrywał się przez rok w Stuttgarcie, gdzie z kolei... mógł liczyć na wsparcie pani sędzi, z którą również łączył go romans. Tak gorące poparcie wymiaru sprawiedliwości nie uchroniło go ostatecznie od pójścia za kraty. Pojmany w 1999 r. dostał cztery lata więzienia. Wyszedł po 2,5 roku za dobre sprawowanie. Pobyt w więzieniu wykorzystał na napisanie książki „Zabawy w doktora – wyznania hochsztaplera” (oryg. Doktorspiele – Geständnisse eines Hochstaplers), celowo wzorowaną na powieści Tomasza Manna. Książka stała się bestsellerem. Sam jej autor ma się dzisiaj świetnie, z oszusta awansował na celebrytę, udziela prasie wywiadów, by-

Na Twitterze zaś z właściwą sobie beczelnością napisał później: „Nie wyżywajcie się na Petrze Hinz, ona jest jedynie hochsztaplerką, mówi wam to ekspert”. A inni użytkownicy Twittera pytali: „Przez 10 lat jadąc na zmyślonym CV, Hinz zarobiła 1,2 mln euro, zwróci?”. Do ataku na posłankę ruszył też satyryczny magazyn „Der Postillion”, który zaalarmował, że „istnieje obawa, że światowej sławy badacz wulkanów i fizyki kwantowej, autorka serii o »Harrym Potterze« mogła sfalszować część swoich dyplomów. Tylko po co ta piąta w kolejce do brytyjskiego tronu kobieta miałaby to robić?”.

Na to frapujące pytanie mógłby udzielić odpowiedzi chyba tylko George Forestier. Autor strof: „Piszę moje serce w ulicznym pyle, od Uralu po Sierra Nevada, od Jokohamy po Kilimandżaro, harfa z drutów telegraficznych”.

Forestier nie istnieje. Urodzony w 1921 r. francusko-niemiecki poeta, którego poezja święciła triumfy w Niemczech lat 50., był kolejną wielką mistyfikacją. Postacią zmyśloną przez innego poetę, Karla Emmericha Krämera. Prawda wyszła na jaw w 1955 r. Niech nieistniejący komentują nieistniejące życiorysy. Kara i nagroda w jednym. ■

12 sierpnia, słynny „gabinet dymisji” na Kremlu. Ich trzech: car, bojar i dworzanin. Prezydent Władimir Putin, dymisjonowany właśnie szef administracji prezydenckiej Siergiej Iwanow oraz awansowany na to stanowisko dotychczasowy zastępca Anton Wajno. Alegoria ważnych zmian, jakie zachodzą dziś wśród rządzących Rosją.

„Władimir Putin nie boi się opozycji i ulicznych demonstracji. Nie boi się też Zachodu i jego sankcji. Jeśli ma kogo się obawiać, to własnych ludzi. Wielu w jego otoczeniu będzie się chciało zemścić, gdy tylko odejdzie ze stanowiska, bo wielu z nich znalazło się w poniżającej zależności od niego” – reżyser Igor Szadchan, autor wyborczej biografii W. Putina w 2000 r.

Antoni Rybczyński

Opryczyna Putina

Był październik 2014 r., gdy na dorocznym spotkaniu dyskusyjnego Klubu Władajskiego wiceszef administracji prezydenckiej Władisław Wołodin ogłosił: „Dziś nie ma Rosji, jeśli nie ma Putina”. Tak samo schlebiali niegdyś Stalinowi, a przecież okazało się, że i bez niego trwa „Sojuz nieruszymy” nieswobodnych”. Czemuż więc to odejście Putina grozi zawaleniem całego systemu i naruszeniem fundamentów państwa? Bo nawet Stalin miał swoje Politbiuro, w którym zasiadał następca. Tymczasem Putin doprowadził do sytuacji, w której nie ma miejsca na pokojową sukcesję.

► Demontaż Politbiura

Okoliczności słynnego zniknięcia prezydenta na 10 dni wiosną 2015 r. pokazują, że kiedy odejdzie na dobre (choćby umierając), dojdzie do brutalnej wojny. „Scenariusz, który realizuje Putin, teraz jest już określony, zdeteminowany i od samego Putina już mało co zależy. On będzie się podporządkowywał samej logice procesu i myślę, że będzie wciąż gorzej i gorzej. Mamy coraz mniej i mniej szans wyskoczyć ze scenariusza dyktatorskiego” – pisał były wicepremier Alfred Koch, dziś emigrant. Sam Putin przechodzi właśnie od starego systemu rządów opartego na konsensusie elit i równoważeniu interesów klanów (najbardziej widoczną mutacją tego modelu był tandem Putin–Miedwiediew) ku władzy jednoosobowej. Wymiana starej gwardii na młodszych putinokratów, przebudowa aparatu bezpieczeństwa i przejmowanie kolejnych ogniw państwa przez siłowników – ludzi wywodzących się ze służb mundurowych: wojska, policji, służb specjalnych – ze szczególnym uwzględnieniem tych ostatnich, czyli czekistów, służy dwóm celom. Po pierwsze, i o tym mówi się najwięcej, reżim przygotowuje się na trudne czasy, czytaj: społeczne niepokoje wywołane kryzysem gospodarczym. Ale jest też cel drugi, dalekosiężny. Putin szykuje już nową ekipę, z którą wygra wybory prezydenckie i będzie rządził, w oparciu o nią, do 2024 r. A wtedy wybierze z tego grona swego następcę. Skoro już zresztą mowa o wyborach, to możliwe, iż obecne czystki mogą być przygotowaniem gruntu pod przyspieszenie wyborów prezydenckich. Z przekazu resortu finansów wynika, że jeśli nie dojdzie do pozytywnego przełomu w gospodarce, to pieniądze skończą się w 2017 r. Tymczasem wybory prezydenckie to marzec 2018 r. Skoro zaś niepopularne reformy będą nieuniknione, to trzeba przyspieszyć reelekcję, bo tylko na progu nowej, sześćdziesięcioletniej kadencji oplaca się bezpiecznie wprowadzać bolesne zmiany.

„Era kolektywnych rządów przyjaciół Putina dobiega końca” – napisał na blogu Władimir Pastuchow, świetny emigracyjny historyk i politolog, wykładowca w Oksfordzie. Kończy się era czekistów (ludzi z KGB) i piterców (ludzi z Petersburga), tak jak w latach 2003–2004 odchodzili ostatni wpływowi przedstawiciele Familii jelicynowskiej. Niektórzy snują paralele sięgające jeszcze głębiej w historię. Kiedy Sta-

lin nie dał sobie rady z kolektywizacją i industrializacją, na „zjeździe zwycięzców” (XVII Zjazd WKP(b) w 1934 r.) pozbył się bardziej doświadczonych współpracowników, tych, którzy pamiętali go z czasów przedrewolucyjnych, tych, którzy rozumieli, co się dzieje i mogli kwestionować decyzje wodza. Zamiast starej rewolucyjnej gwardii Stalin awansował młodsze pokolenie: Chruszczowa, Malenkowa czy Bierię. Ludzi gotowych spełnić każde polecenie, bezwzględnych technokratów, przedkładających władzę i karierę nad ideologiczne wątpliwości. Dziś w podobny sposób postępuje Putin.

Odchodzą starzy towarzysze. Byli szefowie MSW Rasizd Nurgalijew i Borys Gryzłow już kilka lat temu zeszli z pierwszej linii. Od tamtej pory byli z wolna odsuwani coraz dalej od centrum władzy. Ostatnio Gryzłow pełnił jakąś rolę w rozmowach w Mińsku, zaś Nurgalijew właśnie ostatecznie wypadł z Rady Bezpieczeństwa. Władimir Jakunin, który wiele lat kierował potężną firmą państwową, czyli Rosyjskimi Kolejami Żelaznymi, a nieformalnie stał na czele „zakonu prawosławnych czekistów”, został zmuszony do odejścia już rok temu. Igor Siergun, szef wywiadu wojskowego GRU, zmarł „z przepracowania” w styczniu. Przyspieszenie nastąpiło wiosną br. Wraz z likwidacją antynarkotykowej agencji FSKN z obiegu wypadł Wiktor Iwanow, swego czasu główny kadrowiec Kremla. Jewgienij Murow z Federalnej Służby Ochrony (FSO) – którą kierował aż 16 lat! – poszedł na emeryturę w maju. Putin zwolnił też Jewgienija Doda, szefa RusHydro (aresztowany pod zarzutem defraudacji) i Władimira Dmitrijewa, szefa banku VEB. W lipcu FSB zatrzymała gen. Denisa Nikandrowa i dwóch innych wysokich rangą przedstawicieli Komitetu Śledczego. To potężny cios w Aleksandra Bastrykina, szefa KŚ. Pod koniec lipca FSB przeszukała mieszkanie Andrieja Bieljaninowa, szefa Federalnej Służby Celnej (FTS) od 2006 r. (!). Znaleziono masę nielegalnej gotówki. Bieljaninow stracił posadę, grozi mu więzienie. Na początku sierpnia odsunięty został Siergiej Iwanow, od wielu lat jeden z najważniejszych członków ścisłego kierownictwa putinowskiego. Teraz niepewni stanowisk powinni być szef megakorporacji Rostechologie Siergiej Czemezow i szef Rosnieftu Igor Sieczin.

Wszyscy wymienieni są blisko Putina od początku jego prezydentury. Stawiał na nich, bo ich doskonale znał. Bastrykin to kolega ze studiów, Bieljaninow ze służby w NRD, Murow od początku był szefem ochrony Putina. Prawie wszyscy oni służyli w KGB w tym samym czasie co Putin. Prawie wszyscy, jak on, pochodzą z Petersburga (Leningradu). „Putin pozbywa się starych przyjaciół i zastępuje ich sługami. Ci ludzie przypominali Putinowi czasy, kiedy nie był jeszcze szefem. Teraz potrzebuje wykonawców, nie doradców” – mówi portalowi Fontanka.ru Stanisław Bielkowskij. Ale jest pewna grupa, krąg wokół Putina, która wydaje się odporna na wszelkie czystki. To biznesmeni, tacy jak bracia Rotenbergowie, Giennadij Timczenko czy Jurij Kowalczuk. Przyjaciele Putina dzielą się bowiem na dwie grupy: biurokratów i biznesmenów. Ci pierwsi wciąż czegoś od szefa

chcą, prowadzą swoje wojenki i polityczne intrygi. Ci drudzy pozostają w cieniu, zarabiają prywatnie (tzn. doją państwo, ale nie bezpośrednio), dają kasę na projekty Putina. Ci drudzy będą użyteczni na nowym etapie rządów. W połączeniu z grupą „młodych wilków”.

Putin wymienia ludzi urodzonych w latach 40. i 50. XX w., zastępując ich tymi, którzy poważne kariery zaczynały już w XXI w. Siergiej Iwanowa (ur. 1953) zastąpił na stanowisku szefa administracji prezydenckiej Anton Wajno (ur. 1972), a tego z kolei Władimir Ostrowienko (ur. 1969). Inny przykład: w 2015 r. Władimira Jakunina (ur. 1948) zastąpił na stanowisku szefa kolei Oleg Biełozierow (ur. 1969). Kolejny przykład: Wiktor Iwanow (ur. 1950) stracił stanowisko szefa agencji antynarkotykowej FSKN, która została wcielona do MSW jako autonomiczny departament z Andriejem Chrapowem (ur. 1970) na czele. Do nowej grupy technokratów należą też, obok nowego szefa administracji prezydenckiej Wajno i Biełozierowa, m.in.: minister przemysłu i handlu Denis Manturow (ur. 1969), minister energetyki Aleksandr Nowak (ur. 1971), minister łączności Nikołaj Nikiforow (ur. 1982) czy szef Federalnej Agencji Budowy, Mieszkalnictwa i Usług Komunalnych Władimir Tokariw (ur. 1977).

► Sądny czwartek

28 lipca na stronie internetowej Kremla pojawiło się kilkanaście dekrétów prezydenckich. W jeden dzień Putin za jednym zamachem zmienił trzech z dziesięciu pełnomocnych przedstawicieli prezydenta w okręgach federalnych, czterech gubernatorów oraz szefów dwóch instytucji. Do tego zlikwidował jeden z okręgów federalnych. Na zwolnione stanowiska mianowano ludzi przede wszystkim ze stażem w resortach siłowych. Co ciekawe, niemal wszystkie dymisje i nominacje były ze sobą powiązane.

Zacznijmy od stanowiska szefa Federalnej Służby Celnej (FTS). Przez 10 lat był nim stary znajomy prezydenta Bieljaninow. Poleciał za korupcję – zajęła się nim FSB, a dowody były tak mocne, że musiał poprosić o dymisję. I tak ma szczęście, że na razie (?) jest tylko świadkiem w sprawie. Putin zastąpił Bieljaninowa także czekistą, ale świeższej daty. Były generał FSB Władimir Buławin w aparacie bezpieczeństwa służył od końca lat 70. XX wieku. Wiadomo, że od 2001 r. nadzorował strukturę FSB w Nadwołżańskim Okręgu Federalnym. W 2006 r. został zastępcą dyrektora FSB, ale po przejęciu Łubianki przez Aleksandra Bortnikowa, Buławin poszedł za swym protektorem Nikołajem Patruszewem. Kiedy był szef FSB został w 2008 r. sekretarzem Rady Bezpieczeństwa, Buławin stał się jego zastępcą. W 2013 r. Putin mianował go swoim przedstawicielem pełnomocnym („połpriedem”) w Północno-Zachodnim Okręgu Federalnym. To miejsce, opuszczone przez Buławina, zajął Nikołaj Cukanow, dotychczas gubernator obwodu kaliningradzkiego. 28 lipca poinformowano, że zgodnie z dekretem

prezydenta przedterminowo wygasają pełnomocnictwa Cukanowa jako gubernatora obwodu kaliningradzkiego i zostaje on przedstawicielem prezydenta Rosji w Północno-Zachodnim Okręgu Federalnym. Cukanow rządził w eksklawie kaliningradzkiej od 2010 r. Wcześniej zajmował – także w tym regionie – stanowisko szefa administracji Gusewa (Gębina) i kierował regionalnym oddziałem rządzącej partii Jedna Rosja. Kto zastąpił Cukanowa w Kaliningradzie? Generał-major Jewgienij Ziniczew, od czerwca 2015 r. kierujący obwodowym zarządem FSB. Jest czekistą, nie politykiem, co pokazał na pierwszej konferencji prasowej w nowej roli. Trwała ona dokładnie 49... sekund. Według oficjalnej biografii Ziniczew, po uzyskaniu wyższego wykształcenia, w latach 1987–2015 służył w organach bezpieczeństwa państwa. W 2013 r. przeszedł kursy w Akademii Wojskowej Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych. Wiadomo, że był funkcjonariuszem osobistej ochrony prezydenta i towarzyszył mu w roboczych wizytach po kraju. Przejście z FSO do FSB i przerzut z Moskwy do Kaliningradu rok temu oznaczają, że już wtedy zapadła decyzja, że to on przejmie strategiczną eksklawę po odejściu Cukanowa.

Drugi łańcuszek zmian personalnych nastąpił na południu Rosji. I ma związek z powołaniem Gwardii Narodowej i likwidacją odrębności okupowanego Krymu. Siergiej Mielikow był przedstawicielem prezydenta w Północno-Kaukaskim Okręgu Federalnym od 2014 r., zastąpił wtedy Aleksandra Chloponina, który nie zdołał uspokoić regionu marchewką (liberalne pomysły, reformy, dotacje z Moskwy). Mielikow miał złapać Północny Kaukaz za twarz. Zresztą stamtąd pochodzi – jest Lezginem. Przez wiele lat służył w Wojskach Wewnętrznych MSW, był m.in. dowódcą moskiewskiej elitarniej Dywizji im. Dzierżyńskiego. Był też jednym z dowódców operacji antyterrorystycznej na Kaukazie Północnym. Od dawna planowano, że Mielikow zostanie zastępcą szefa Gwardii Narodowej, wracając do korzeni (Gwardia opiera się na dawnych Wojskach Wewnętrznych). Nowym przedstawicielem pełnomocnym prezydenta w Północno-Kaukaskim Okręgu Federalnym został zaś Oleg Bielawienцев. Dotychczas pełniący taką samą funkcję, ale na Krymie. Tyle że stanowiska już nie ma, bo powstały po aneksji Krymski Okręg Federalny Putin 28 lipca zlikwidował, wcielając półwysep do Południowego Okręgu Federalnego. Bielawienцев od wielu lat związany jest z ministrem obrony Siergiejem Szojgu, podobnie jak Siergiej Mieniajło, od 2014 r. gubernator Sewastopola. 28 lipca został wysłany za Ural, na przedstawiciela prezydenta w Syberyjskim Okręgu Federalnym. Zastąpił tutaj Nikołaja Rogożkina, który trafił tutaj w 2013 r., po tym, jak musiał ustąpić ze stanowiska dowódcy Wojsk Wewnętrznych MSW Zolotowowi. Należy pamiętać jednak, że „połpried” to dziś już *de facto* tylko symboliczne stanowisko (może z wyjątkiem Kaukazu Północnego). Kiedyś, gdy Putin podzielił państwo na okręgi federalne i wysłał do nich swoich pełnomocnych przedstawicieli, służyło to lepszej kontroli gubernatorów.

Ale wtedy przywódcy regionów byli wybierani w bezpośrednich wyborach, teraz wyznacza ich prezydent. Jeśli więc w przypadku Białowiecwa można mówić o awansie, to Mieniajło przegrał. W Sewastopolu, z lobby Czerniehowa. Nowy gubernator Sewastopola, dotychczasowy wiceminister przemysłu Dmitrij Owsiannikow, to właśnie człowiek szefa Rostechologii. Zresztą jedyny wśród ostatnio awansowanych i mianowanych, który nie ma żadnych powiązań z instytucjami siłowymi. Czego nie można powiedzieć o nowych gubernatorach Kaliningradu, Jarosławia, Kirowa i Tuły. Przy czym w trzech pierwszych przypadkach można mówić o specjalnej misji nominatów Putina. Szczególnie dwa obwody – jarosławski i kaliningradzki – to regiony „trudne, z historią protestów”. Jarosław w wyborach w 2011 r. miał najniższy poziom poparcia dla Jednej Rosji. Silna jest tu opozycja. W Kaliningradzie zaś w latach 2009–2010 doszło do masowych protestów przeciwko gubernatorowi. Wtedy Kreml zareagował, obsadzając w obu obwodach miejscowych polityków. To jednak nie zdało egzaminu. Cukanow dostał tzw. kopa w górę, zaś w Jarosławiu Siergiej Jastriebow (nie był popularny, na Kremlu uważano go za słabego gubernatora) został odwołany „na własną prośbę”. Zastąpił go Siergiej Mironow, podobnie jak Ziniczew w Kaliningradzie – człowiek ze służb. Do Jarosławia przyjechał jako generał-lejtnant policji, ostatnio zastępca ministra spraw wewnętrznych. Zaczynał jednak w KGB, a potem, w latach 1991–2013, pracował w Federalnej Służbie Ochrony, na koniec jako jeden z adiutantów prezydenta. W 2014 r. Putin wysłał go do MSW. Na stanowisko wiceszefa Zarządu Śledczego, a następnie szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Ekonomicznego i Przeciwdziałania Korupcji (w zamian za aresztowanego Denisa Sugrobowa). W grudniu 2015 r. awansował jeszcze wyżej – na funkcję zastępcy ministra spraw wewnętrznych.

Trzecim byłym oficerem ochrony Putina, który został gubernatorem, już kilka miesięcy temu jest Aleksiej Diumin. Był funkcjonariuszem osobistej ochrony prezydenta, grał nawet z Putinem w hokeja. W 2014 r. przeniesiono go do jednego z elitarnych departamentów GRU. Szykowano go na nowego szefa wywiadu wojskowego. Kiedy jednak na początku roku zmarł dotychczasowy szef GRU Igor Siergun, zastąpił go ktoś inny. Wydaje się, że Putin był za słaby, by narzucić wojskowemu szefa z cywilnej bezpieki. I Diumin dostał nagrodę pocieszenia – fotel szefa obwodu tulskiego. Zapewne to nie ostatni przystanek w jego karierze. 28 lipca jeszcze jeden siłownik dostał stanowisko gubernatora. Zdymsjonowanego, po zatrzymaniu i oskarżeniu o korupcję Nikitę Bieliycha zastąpił w Kirowie Igor Wasiljew, dotychczasowy szef Rosrejestru. W latach 1985–1991 służył w KGB. Najpierw w Leningradzie (tam gdzie i Putin), potem w wywiadzie. Po rozwiązaniu ZSRS i KGB przez 10 lat pracował w biznesie (zapewne wciąż pozostając w tzw. rezerwie aktywnej służb). Po czym wrócił do służby państwowej. W latach 2004–2010 reprezentował w Radzie Federacji Republi-

kę Komi. Potem trzy lata był audytorem w Izbie Obrachunkowej FR. W marcu 2014 r. został szefem Rosrejestru.

Skoro już mowa o decyzjach ogłoszonych 28 lipca, to uwagę zwraca odwołanie ambasadora w Kijowie Michała Zurabowa (po siedmiu latach). Nawet tutaj Putin chce wcisnąć kolejnego czkistę. Michał Babicz w latach 1986–1995 służył w wojskach powietrzno-desantowych, a potem wojskach KGB (prawdopodobnie chodzi o pograniczników). Walczył w Afganistanie i Czeczenii. Potem poszedł w biznes, a po paru latach do administracji. Został nawet wicegubernatorem obwodu moskiewskiego, a w 2011 r. przedstawicielem prezydenta w Nadwołżańskim Okręgu Federalnym. Ukraina na razie nie wyraża zgody, aby to on objął placówkę FR w Kijowie.

► Najbardziej zaufani

Diumin dosłużył się kiedyś stanowiska zastępcy naczelnika Służby Bezpieczeństwa Prezydenta (SBP, czyli elitarniej autonomicznej formacji w ramach FSO, zajmującej się wyłącznie ochroną prezydenta). Ziniczew był osobistym ochroniarzem Putina. Mironow był adiutantem. Łączy ich zaufanie Putina, blisko którego byli przez wiele lat (podobnie jest zresztą z nowym szefem administracji prezydenckiej Antonem Wajno, był szefem protokołu prezydenta), oraz osoba – w przeszłości – przełożonego. Szefa SBP Wiktora Zołotowa. Seria tych nominacji wzmocnia wpływy tego świeżo upieczzonego szefa Gwardii Narodowej. Z jego osobą kojarzeni są też nowi szefowie SBP i FSO, młodzi pułkownicy, których wybrał Putin, a nie kandydaci wskazani przez odchodzącego Jewgienija Murowa. Odejście 71-letniego Murowa to prawdziwy koniec pewnej ery w rosyjskich służbach. Żaden inny ich szef nie przetrwał tak długo na stanowisku – kierował FSO aż 16 lat. Absolutem słynnego Instytutu Czerwonego Sztandaru KGB, w służbie od 1971 r., od 1974 r. w I Głównym Zarządzie (wywiad). Ponad trzy lata przebywał „w delegacji” w Azji Południowo-Wschodniej. Potem jednak przeniósł się do kontrwywiadu. Naczelnik wielu rejonowych wydziałów petersburskiego zarządu FSB. Poznał wtedy Putina i Zołotowa. W latach 1997–2000 Murow był wiceszefem FSB w Sankt Petersburgu i obwodzie leningradzkim. Kiedy Putin awansował w 1998 r. do Moskwy, pociągnął za sobą wielu znajomych znad Newy, m.in. Murowa. Ten zajmował od stycznia do maja 2000 r. stanowisko pierwszego zastępcy naczelnika departamentu kontrwywiadu gospodarczego FSB. Od maja 2000 r. był dyrektorem FSO. 26 maja 2016 r. Putin podpisał dekret o zwolnieniu Murowa. Zastąpił go Dmitrij Koczniew, dotychczasowy zastępca i jednocześnie szef wchodzącej w skład FSO na prawach autonomii Służby Bezpieczeństwa Prezydenta (SBP). Koczniew (ur. 1964) odbył służbę wojskową w latach 1982–1984, a potem – jak wynika z oficjalnych informacji – służył w „siłowych instytucjach”, w latach 1984–2002. Ale

gdzie dokładnie, nie wiadomo. Podobno w strukturach MSW zajmujących się walką z przestępczością zorganizowaną. W FSO znalazł się w 2002 r. W czerwcu 2015 r. został szefem SBP w miejsce Olega Klimientjewa, który został pierwszym zastępcą Murowa. Klimientjew kierował SBP od 2013 r., gdy do MSW odszedł Zolotow. Wydawało się, że naturalnym następcą Murowa zostanie właśnie Klimientjew – na to wskazywały różne personalne zmiany w ciągu ostatniego roku. Ostatecznie jednak walkę o fotel dyrektora FSO wygrał Kocznew. Z kolei na stanowisku szefa SBP zastąpił go generał-major Aleksiej Rubieźnoj, w przeszłości... adiutant Putina. Szefowie FSO i SBP to jedni z najważniejszych ludzi w państwie, a na pewno w strukturach siłowych. Cieszą się bowiem wielkim zaufaniem Putina, wszak w ich ręce oddaje swoje bezpieczeństwo. SBP to osobista ochrona, ochrona obiektów prezydenckich, stąd Putin dobiera sobie adiutantów. Z kolei oficjalnie główną funkcją FSO jest sprawowanie ochrony nad obiektami państwowymi i wysokimi urzędnikami. Ale najważniejszym zadaniem jest nieformalny nadzór i monitorowanie wszystkich innych struktur siłowych. Liczące 20 tys. funkcjonariuszy FSO jest najbardziej elitarną służbą – personalnie, sprzętowo, finansowo.

Stalinowski wielki terror nie oszczędzał też samych wykonawców czystek z NKWD. Teraz w rosyjskim aparacie bezpieczeństwa również trudno mówić o stabilizacji. Putin trzęsie służbami specjalnymi. W całym bloku siłowym doszło do znacznego odnowienia kadry kierowniczej z jednoczesnym obniżeniem faktycznych wpływów nowych szefów, co częściowo łączy się też ze zmianami instytucjonalnymi. Odeszli Wiktor Iwanow (likwidacja FSKN), Konstantin Romodanowski (likwidacja migracyjnej służby FMS), Jewgienij Murow. Osłabiony został Aleksandr Bastrykin (FSB uderzyła w jego zaufanych ludzi w moskiewskich strukturach Komitetu Śledczego), a w mediach nieprzypadkowo zaczęto znów spekulować o dymisji Bortnikowa przed 2018 r.

Największe znaczenie, bez wątpienia, ma powołanie Gwardii Narodowej z byłym ochroniarzem Putina Zolotowem na czele. Przed kwietniem 2016 r. Zolotow spędził niemal trzy lata na stanowisku dowódcy Wojsk Wewnętrznych MSW. Formacji, która stała się trzonem Gwardii Narodowej. Po zakończeniu całego procesu budowy formacji (2018 rok), liczebność wojsk Gwardii Narodowej ma wynieść ponad 340 tys. mundurowych i cywilów. Formacja Zolotowa i Mielikowa, wraz z kierowanymi przez ludzi Zolotowa FSO i SBP, mają być tarczą i mieczem nowego prezydenta Rosji, lecz prezydenta Rosji Putina. Pretorianami gotowymi bronić cara nawet przeciwko rodakom z innych służb, wojska czy tłumom na ulicach. Mówiąc jednak o budowie silnego ośrodka w strukturach siłowych skupionego wokół ochroniarzy Putina, nie można zapominać o konkurencji, która jest na tyle silna, by opóźniać i blokować rozbudowę Gwardii Narodowej. Było to widać, gdy 6 kwietnia 2016 r. swoim dekretem Putin wyznaczył nowo mianowanego szefa Gwardii Nar-

dowej Zolotowa na stałego członka Rady Bezpieczeństwa. Ale 11 kwietnia 2016 r. pojawiła się korekta dekretu: Zolotow został „zdegradowany” do pozycji zwyczajnego członka Rady. Także po dymisji Siergieja Iwanowa, choć został jedynie przedstawicielem prezydenta ds. transportu i ekologii, to pozostał w Radzie Bezpieczeństwa. Putin wprowadził do niej nowego szefa administracji prezydenckiej Wajno, ale Zolotowa znów nie udało mu się awansować na członka stałego. To niejedyna troska głównego pretorianina Putina. Otóż jego Gwardia Narodowa póki co nie ma statusu służby specjalnej, bo nie dostała jeszcze prawa prowadzenia działalności operacyjno-dochodzeniowej. Jeśli więc kiedyś FSKN nazywano „FSB-2”, to Gwardię Narodową można dziś raczej określać jako „Ministerstwo Obrony 2”. A status szefa Gwardii ustępuje statusowi dyrektora FSB i ministra obrony, wchodzących w skład tzw. małej Rady Bezpieczeństwa (stali członkowie). FSO i SBP ostatnio zapewniały kadry, więc mówiono o wzroście ich znaczenia, ale teraz, po wymianie kierownictw, nie mają one dużego znaczenia jako samodzielne podmioty. MSW po oddaniu Wojsk Wewnętrznych oraz formacji OMON i SOBR do Gwardii Narodowej przestało być potężną zmilitaryzowaną instytucją. Takimi są już tylko regularne wojsko, Wojska Pograniczne FSB oraz właśnie Gwardia Narodowa. Na osłodę ministerstwu spraw wewnętrznych zostały – wcielone na zasadach autonomii – Federalna Służba Migracyjna wraz z FSKN.

Największą zagadką pozostaje FSB. Różnie się o niej mówi, na ogół, że Putin nie do końca może liczyć na jej pełne posłuszeństwo. Ale i w niej widać wewnętrzne zmiany, a konkretnie awanse nowego pokolenia czekistów – co wpisuje się w generalną tendencję w aparacie bezpieczeństwa i ogólniej – w państwie. Co więcej, właśnie działania FSB, a dokładniej jej struktur antykorupcyjnych oraz elitarnego Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (GUSB), czyszczą przedpole do kadrowych, wspomnianych wyżej decyzji Putina. To FSB rozprawiła się z szefem FTS Bieljaninowem, otwierając drogę do przejęcia tej służby przez Buławina. To FSB zniszczyła gubernatora Bielycha, którego zastąpił Wasiljew. To FSB rozgromiła antykorupcyjną strukturę MSW (sprawa Sugrobowa), w efekcie czego przejął ją Mironow. To FSB posadziła gubernatora Sachalinu, powiązanego z Igorem Sieczinem, który wydaje się być następnym na liście starych towarzyszy Putina „do odstrzelenia”. To wreszcie FSB wkroczyła do moskiewskiego Komitetu Śledczego, co uznano za ostrzeżenie pod adresem Bastrykina, by nie pozwalał sobie na zbyt dużo. Te i inne sprawy to dzieło ekipy pewnego oficera pochodzącego z Petersburga. W nagrodę zapewne Putin uczynił go 8 lipca szefem potężnej Służby Bezpieczeństwa Ekonomicznego FSB. Warto pamiętać, że z tego właśnie stanowiska na fotel dyrektora całej służby trafił Bortnikow. Czy to samo Putin przewiduje dla Siergieja Koroliewa? I czy będzie to aby koniec błyskotliwej kariery szefa elitarniej jednostki FSB, którą już wszyscy ochrzczili mianem „opryczników Putina”? ■



Ryszard Czarnecki

Pięć mitów o Turcji

Poziom debaty w mediach w Polsce na temat Turcji jest żenujący. Mit pogania stereotyp, a publicyści zwalczających się na co dzień obozów politycznych idą tutaj nagle pod rękę i śpiewają w tym samym, bezmyślnym chórze.

Ci sami euroentuzjaści, którzy w marcu 2016 r. pili z zachwytu nad mądrością UE, która podpisała porozumienie z Turcją mające znacząco ograniczyć napływ nielegalnych imigrantów (uchodźców), dziś tupią wtęplą nóżką, domagając się, aby owo porozumienie zerwać, bo Erdogan po nieudanym zamachu stanu wymierzonym w jego władzę wziął „za mordę” przeciwników politycznych. To całkowicie bezrefleksyjne. Armia, której ambicje polityczne prezydent Turcji ostatecznie spacyfikował, a która w ostatnich dekadach organizowała pucze albo wymuszała zmiany rządów samymi zapowiedziami wprowadzenia stanu wyjątkowego, faktycznie stworzyła w tym kraju rządy półdyktatury. Przedstawianie tej sytuacji jako biało-czarnego filmu z Erdoganem jako żądnym krwi dyktatorem i miłującymi demokrację elitami militarno-medialno-opozycyjnymi jest śmiechu warte. Pod względem stosunku do demokracji ani jedna, ani druga strona politycznego sporu w Turcji nie różni się zasadniczo od siebie.

Byłbym ostrożny z powielaniem kalek, w których brzydki dyktator Erdogan bierze za twarz własny naród. Taką naiwną opinię wygłosił ostatnio bardzo znany z mediów polityk PO. To, doprawdy, „pic na wodę, fotomontaż”. Przecież Erdogan, który oczywiście nie ma religijnego stosunku do praw człowieka, ma akurat bardzo silny mandat demokratyczny, skoro jego partia w ciągu ostatniego roku dwukrotnie wyraźnie wygrała wybory parlamentarne. Dodajmy, że w ostatnich wyborach uzyskała jeszcze lepszy wynik niż w poprzednich, kilka miesięcy wcześniej, co pozwoliło jej samodzielnie stworzyć rząd.

Gdy słyszę profesora – „specjalistę od Bliskiego Wschodu”, który porównuje Turcję do Białorusi, gdy chodzi o długość rządzenia jednej formacji politycznej, to albo się można śmiać, albo płakać. Bo przecież CDU Helmuta Kohla rządziła w Niemczech 17 lat, a Partia Konserwatywna w Wielkiej Brytanii kierowana najpierw przez premier Jej Królewskiej Mości Margaret

Thatcher, a potem Johna Majora – 18 lat. Jak się tego nie wie, to tytuł naukowy nie uratuje przed ośmieszeniem.

Mit o Turcji, która wybrała sojusz z Rosją i odwraca się plecami do „Zachodu”, świadczy doprawdy o całkowitej ignorancji. Zabawne, że dziś jest szczególnie mocno promowany w Polsce przez tych „specjalistów” i dziennikarzy, którzy przez lata bardzo dbali o „polityczną poprawność” w relacjach z Moskwą. Ci, którzy tak twierdzą, zupełnie abstrahują od faktu, który podkreślam jako historyk: Turcja i Rosja rywalizują od co najmniej kilku stuleci. Obojętnie od tymczasowych umiżgów, którymi i Ankara, i Moskwa lewarują (sic!) swoją pozycję wobec Europy i USA, oba państwa są na long term strategicznymi konkurentami. Elementarnym interesem Turcji jest oczywiście pozostanie w NATO, choć też być może uzyskanie od Amerykanów jeszcze więcej w wymiarze finansowo-militarno-politycznym za funkcjonowanie baz lotnictwa USA na terenie Turcji.

A przy okazji: oskarżanie Erdogana, że jest zacięłym islamistą, jest kompletnie sprzeczne z rzeczywistością, w której niemal codziennie państwo tureckie jest obiektem ataków terrorystycznych ze strony „Państwa Islamskiego”, a samoloty startujące z tureckich baz bombardują pozycje PI.

Cóż, był w historii najnowszej Turcji jeden polityk, który ciepło wyrażał się o Rosji (sowieckiej) i jej „liderze”, żeby użyć tego modnego dziś określenia – Leninie. Był to tak chwalony przez europejskie liberalno-lewicowe elity, przeciwestawiany Erdoganowi, Atatürk.

Jako polski polityk muszę myśleć przede wszystkim o interesie mojego kraju, a nie o tym, czy Erdogan „przykręca śrubę”, czy też to jemu rodacy skaczą do gardeł. Medialne „rozstrzeliwanie” obecnych władz w Ankarze z powodu nieprzestrzegania praw człowieka nie podoba mi się o tyle, że może przerodzić się w antyturską obsesję. Jej praktycznym skutkiem będzie otwarcie przez Ankarę szlabanu i skierowanie setek tysięcy islamskich imigrantów do Europy. To nie leży w interesie Polski. ■

„Nasi najlepsi koledzy, honor i duma FSB, nie wykonują swojej pracy dla pieniędzy. Wszyscy wyglądają inaczej, ale jest jedna bardzo specjalna cecha, która jednoczy wszystkich tych ludzi, i jest bardzo ważną wartością: to ich poczucie służby. Są oni, można by tak rzec, naszą nową arystokracją” – dyrektor FSB Nikołaj Patruszew, grudzień 2000.

Wojny siłowików

Antoni Rybczyński

Eliminacja Trockiego przez Dzierżyńskiego, tajemnicze zgony pierwszych szefów Czeki (Dzierżyński, Mienżyński), usunięcie Jagody przez Jeżowa, wielka czystka 1937 r., awanse i upadki Abakumowa i Mierkułowa, kariera Berii zakończona brutalnym przewrotem pałacowym. Historia powstałych po bolszewickim puczu służb bezpieczeństwa – szczególnie jej pierwsze dekady – pełna jest krwawych intryg, zakulisowych wojen i głośniejszych czystek. Dopiero za Chruszczowa безпеaka została mocno podporządkowana partii i była przez partię kontrolowana. Sytuacja zmieniła się wraz z upadkiem ZSRS i rozwiązaniem KGB: powstały różne służby, wykorzystywane przez różne stronnictwa polityczne. Tak było za czasów Jelcyna, który, jak każdy rosyjski władca, chciał mieć silny i lojalny aparat bezpieczeństwa. Rozbił KGB tylko dlatego, że widział w nim przeszkodę w dążeniu do pełni władzy. Potem, gdy w 1993 r. rozprawił się z parlamentem, zaczął się stawiać zakładnikiem siłowników. Służby z roku na rok odzyskiwały siły, aż wreszcie do władzy doszedł czekista z krwi i kości. Nic dziwnego, że służby specjalne uczynił fundamentem budowanego przez siebie reżimu. Jednak tzw. kasta czekistów nie jest monolitem, jest wewnętrznie zróżnicowana. Putin nie może być pewien całkowitej lojalności byłych kolegów z Łubianki, gdyby doszło do sytuacji kryzysowej, np. próby przewrotu pałacowego lub ulicznej rewolty. Dlatego przez dwie kadencje rozgrywał różne klany w obozie siłowników, był głównym mediatorem i rozgrywającym. Jednak od początku trzeciej kadencji prezydenckiej buduje, wewnątrz tej grupy siłowników, własny już obóz oddanych mu na śmierć i życie pretorian. Ten proces przyspiesza, o czym piszemy w tym numerze (s. 78). Naciągają nowe wojny siłowników – zapewne jeszcze brutalniejsze niż te wcześniejsze. Warto kilka z takich konfliktów przypomnieć, bo pozwoli to trafnie analizować obecne wydarzenia.

► 1991

Pierwszy konflikt w środowisku Łubianki miał miejsce tak naprawdę już w czasie puczu 1991 r. 19 sierpnia doszło do próby aresztowania Jelcyna. Nie było go jednak w rezydencji. Ktoś go ostrzegł, ktoś z Łubianki. Tym kimś mógł być pewien wysoki oficer, który później pod rządami Jelcyna zrobił zawrotną karierę. Otóż 6 sierpnia 1991 r. szef KGB Władimir Kriuczkow polecił analitykom swojej służby opracować założenia wprowadzenia stanu wyjątkowego w ZSRS. Wśród zaangażowanych w pracę nad przepisami ekspertów znalazł się dowódca dywizji powietrz-

no-desantowej w Tule gen. Paweł Graczow – późniejszy minister obrony. Zresztą nie udało się zatrzymać większości osób z przygotowanej przez puczystów listy. W większości byli już w siedzibie Rady Najwyższej Rosji, Białym Domu, wraz z Jelcynem. Nie odcięto im łączności z resztą kraju. Od początku znaczna część KGB opowiedziała się przeciwko puczowi. Jeśli chodzi o najwyższe kierownictwo, przeciwko pomysłowi odebrania władzy Gorbaczowowi był naczelnik I Zarządu Głównego KGB (wywiad) gen. Leonid Szebarszyn. Jelcyn mógł też liczyć na KGB Rosji, którego szef, gen. Wiktor Iwanienko, przekonał dowódcę jednostki specnazu Alfa, żeby odmówił wykonywania rozkazów Kriuczkowa. Jelcyn wiedział o wszystkich decyzjach, jakie zapadały wtedy na Łubiance. Po tym, jak w nocy z 19 na 20 sierpnia w starciach pod parlamentem zginęły trzy osoby, pucyści zaczęli z godziny na godzinę tracić kontrolę nad sytuacją. 21 sierpnia oficerowie średniego szczebla KGB wydali oświadczenie, w którym odcięli się od działań Państwowego Komitetu Stanu Wyjątkowego.

Opinia publiczna nie miała jednak okazji poznać kulisów wydarzeń z sierpnia 1991 r. Główni spiskowcy szybko wyszli na wolność (amnestia) i milczeli. Niektórzy w ogóle nie stanęli przed sądem i nie mieli okazji ujawnić szczegółów puczu. Najpierw poinformowano, że 22 sierpnia szef sowieckiego MSW i członek komitetu puczystów Borys Pugo zastrzelił żonę i siebie (znaleźć ich miała grupa oficerów, którzy przyszli dokonać aresztowania, jeden z nich, gen. Iwanienko, został potem szefem Ministerstwa Bezpieczeństwa Rosji, powstałego na bazie kontrwywiadu KGB). 24 sierpnia gen. Siergiej Achromiejew powiesił się podobno w swoim gabinecie, choć oficerowie kończą ze sobą w bardziej honorowy sposób, strzałem w skroń. Zostawił list, w którym wyznawał swoje winy Gorbaczowowi. Tego samego dnia jeden z najważniejszych pracowników aparatu KC KPZS, N.E. Kriuczin, wyskoczył podobno z okna. Potem samobójstwo popełnił też inny działacz partyjny G.S. Pawłow.

► 1993

Pierwsza fala czystek nastąpiła po puczu i krótko potem po rozwiązaniu KGB. Władzę przejęli „reformatory” z Wadimem Bakatinem na czele. Ale Jelcyn uważał go za człowieka Gorbaczowa i już po paru miesiącach zaczął wyrzucać i tę ekipę. W drugiej połowie 1992 r. doszło do nowej wielkiej fali czystek w Ministerstwie Bezpieczeństwa Rosji, jak teraz nazywała się większość struktur po KGB. Użyto pretekstu, który wiele razy pojawiał się także w następnych dwóch

dekadach: walki z korupcją. Jednym czerwcowym dekretem Jelcyn zdymisjonował około 30 wyższych oficerów, w tym kilku generałów. W sumie do końca roku pod zarzutem korupcji aresztowano ponad 200 oficerów. Nowy szef bezpieczeństwa, gen. Jewgienij Barannikow, także padł ofiarą politycznej intrygi. Był lojalny wobec Jelcyna, ale nie do tego stopnia, by zgodzić się na użycie podległych mu potężnych struktur do rozprawy prezydenta z wiceprezydentem i parlamentem. Gdy w marcu 1993 r. Jelcyn próbował wprowadzić bezpośrednie rządy prezydenckie, Barannikow oświadczył, że MBR nie bierze udziału w walce o władzę i zachowa apolityczną postawę. Jelcyn musiał wycofać się z dekretów, ale już wiedział, że na Barannikowa liczyć nie może. Pretekst do jego usunięcia znalazł się 13 lipca 1993 r., gdy islamiści zaatakowali strażnicę rosyjskich pograniczników na granicy Tadżykistanu z Afganistanem (Rosjanie ochraniali tę granicę na prośbę rządu w Duszanbe). Zginęło 25 Rosjan, a że wojska pograniczne podlegały MBR... 27 lipca 1993 r. Barannikow został zdymisjonowany. Oprócz kwestii masakry w Tadżykistanie, zasugerowano mu nadużycia kryminalne. Opozycja tymczasem ogłosiła, że Jelcyn usuwa Barannikowa, bo ten nie zgodził się na jej inwigilację. On sam był zresztą już od paru tygodni inwigilowany.

Prezydent zagrał tu kartą, po którą sięgał często także jego następca: wykorzystał jedną służbę specjalną przeciwko innej. Podsluch w willi ministra bezpieczeństwa założyła FAPSI. To jedna ze służb powstałych na gruzach KGB, przypominająca zakresem działalności amerykańską NSA. Federalna Agencja Rządowej Łączności i Informacji przejęła zadania VIII Zarządu Głównego KGB, na jej czele stał były zastępca dyrektora tegoż zarządu, gen. Aleksandr Starowojtow. FAPSI odegrała ważną rolę także podczas październikowego starcia obozu prezydenckiego z opozycją, odcinając (nawiasem mówiąc, największym wygranym tego kryzysu okazało się wojskowe GRU) wszystkie połączenia obłożonego parlamentu ze światem zewnętrznym. Sfabrykowała też meldunki dla wiceprezydenta Aleksandra Ruckoja o rzekomej gotowości syberyjskich okręgów wojskowych do poparcia opozycji (co spowodowało przeciwników Jelcyna do ataku i wciągnęło w pułapkę pod siedzibą telewizji w Ostankino). Po puczu październikowym, w którym MBR zawiodło Jelcyna, mimo zmiany szefa (kluczowa była pomoc wojska i GRU), doszło do nowej fali czystek w bezpieczeństwie. W grudniu 1993 r. w miejsce MBR Jelcyn powołał Federalną Służbę Kontrwywiadu (FSK). W roku następnym ogłoszono amnestię, która objęła także Barannikowa. Generał zmarł jednak 22 lipca 1995 r., prawdopodobnie otruty – chodziły słuchy, że z Łubianki wyniósł dossier na wielu polityków, byłych współpracowników KGB. Kilka miesięcy wcześniej,

3 kwietnia 1995 r., Jelcyn podpisał ustawę, która przewidywała powstanie FSB.

► 2007

Oboz siłowników, a nawet jego czekistowskie jądro (czyli sami mundurowi ze służb specjalnych), nigdy nie były monolitem. Ciągłe awanse i zawłaszczanie państwa za Putina prowokowało nowe tarcia i konflikty. Mnożyły się klany i koterie, które wchodziły ze sobą w taktyczne sojusze. Do najgłośniejszej – bo po raz pierwszy toczony wprost także na łamach mediów – wojny klanów doszło jesienią 2007 r. Podłożem do eskalacji konfliktu był wzrost niepewności w elicie rządzącej w związku ze zbliżającym się końcem drugiej kadencji prezydenckiej Putina. Na pierwszym rzut oka wydawało się, że to starcie siłowników z „liberałami”, na których kandydata, Dmitrija Miedwiediewa, wskazał Putin jako swego następcę na Kremlu. W rzeczywistości był to ostry konflikt w łonie obozu czekistowskiego: koalicji szefa Federalnej Służby Ochrony (FSO) Jewgienija Murowa, szefa antynarkotykowej agencji FSKN Wiktora Czerkiesowa i prokuratora generalnego Jurija Czajki z koalicją wiceszefa administracji prezydenckiej Igora Sieczina, szefa FSB Nikołaja Patruszewa i szefa Komitetu Śledczego Aleksandra Bastrykina.

Zaczął się od tego, że agenci FSKN podsłuchiwali w latach 2006–2007 oficerów FSB w kilku głośnych śledztwach, m.in. głośnej aferze przemytniczej znanej pod nazwą „afera Trzech Wielorybów”. Pozyskane informacje wywołały trzęsienie ziemi na Łubiance – poleciały głowy kilku generałów, a zięć Sieczina, Władimir Ustinow, wyleciał z funkcji prokuratora generalnego. Na kontratak nie trzeba było czekać długo: w październiku pracownicy Komitetu Śledczego wraz z agentami FSB aresztowali gen. Aleksandra Bulbowa za nielegalne podsłuchy, a kierowany przez niego zarząd operacyjnego zabezpieczenia, który odegrał kluczową rolę w wykryciu „afery Trzech Wielorybów”, zlikwidowano. Zaraz potem w Petersburgu otruto dwóch ważnych oficerów FSKN. W listopadzie KŚ aresztował wiceministra finansów Siergieja Storcza pod zarzutem korupcji. Storcza był zaufanym szefa finansów Aleksieja Kudrina, „liberała” utrzymującego dobre relacje z nowym prokuratorem generalnym Jurijem Czajką. Podwładni Czajki w sądzie z oskarżycieli stali się *de facto* obrońcami Bulbowa i Storcza. Pierwszy wymigał się wyrokiem w zawieszeniu, sprawę drugiego w ogóle umorzono.

Tymczasem wojna siłowników trafiła na łamy gazet. „Kommiersant” opublikował wywiad z niejakim Olegiem Szwarcmanem, szemranym biznesmenem, który twierdził, że zarządza tajnymi funduszami (3,5 mld

„brudnych” dolarów) wysokich oficerów FSB. Z kolei tygodnik „New Times” opisał schemat prania pieniędzy m.in. przez urzędników z Kremla, w tym Sieczina. Prawdziwą burzę wywołała jednak, pierwsza taka w historii służb z Łubianki, publikacja artykułu Wiktora Czerkiesowa. Na łamach „Kommiersanta” 9 października szef FSKN przyznał, że w łonie korporacji czekistów toczy się wojna o pieniądze i wpływy. Oskarżył FSB, że są w niej ludzie, którzy dla dobra swoich interesów biznesowych łamią korporacyjne zasady i wywołują wojnę wszystkich ze wszystkimi. Czerkiesow ostrzegł przed zgubnymi dla kraju skutkami takiej „wojny domowej”. Tego było już za wiele nawet dla Putina, który do tego momentu zajmował neutralną postawę w konflikcie. Czerkiesow za swoją szczerość zapłacił utratą stanowiska (trafił na boczny tor, z którego już nigdy nie wrócił do głównego nurtu politycznego), FSKN utraciła część uprawnień, ale

że od lat zaostrza się konflikt federalnych siłowników z Ramzanem Kadyrowem, prezydentem Czechenii cieszącym się specjalną ochroną Putina. To na Kadyrowie i Zołotowie prezydent oparł swój własny obóz siłowy. Wybuch kolejnej wojny w służbach miał miejsce wiosną 2015 r., gdy doszło do zabójstwa Borysa Niemcowa, a zaraz potem na 10 dni zniknął Putin. Zatrzymując pod zarzutem zabójstwa Niemcowa Zaura Dadajewa, byłego zastępcę dowódcy paramilitarnej jednostki kadyrowców, FSB uderzyła w prezydenta Czechenii. W wojnę Łubianki z Kadyrowem zaangażowano też media. Gdy tabloid „Moskowskij Komsomoлец” pisał, że Dadajew wycofał zeznania i powiedział, że był torturowany, „Nowaja Gazieta” wzmocniła „trop czecheński”, pisząc o zleceniodawcy zabójstwa, bliskim Ramzanowi „majorze Ruslanie”. FSB tak zdecydowanie zareagowała nie tylko z powodu starej niechęci do Kadyrowa. Łubianka uważa, że nikt poza nią

NIEDŁUGO PO POWROCIE NA KREML, WRAZ Z AGRESYWNĄ POLITYKĄ ZEWNĘTRZNĄ (WOJNA Z UKRAINĄ, WOJNA W SYRII), PUTIN ZACZĄŁ ZAOSTRZAĆ KURS W KRAJU.

W OBLICZU POGŁĘBIAJĄCEGO SIĘ KRYZYSU STAWIA NA UMOCNIECIE OSOBISTEJ WŁADZY. OGRANICZAĆ WIĘC ZACZĄŁ WPLYWY TYCH SIŁOWYCH INSTYTUCJI, KTÓRYCH LOJALNOŚCI PEWNYM BYĆ NIE MÓGŁ. A WIĘC W PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI FSB.

zmiany nastąpiły też po drugiej stronie barykady: zmienił się m.in. szef FSB. Poza tym jednak obie strony pozostały na swych pozycjach, a po czterech latach prezydentury Miedwiediewa wracający na Kreml Putin zaczął wzmacniać słabszą nogę (m.in. FSO), a po drugiej stronie skończył się sojusz FSB z Komitetem Śledczym, zaś Sieczin został odsunięty w cień.

► 2015

Niedługo po powrocie na Kreml, wraz z agresywną polityką zewnętrzną (wojna z Ukrainą, wojna w Syrii), Putin zaczął zaostrezzać kurs także w kraju. W obliczu pogłębiającego się kryzysu stawia na umocnienie osobistej władzy. Ograniczać więc zaczął wpływy tych siłowych instytucji, których lojalności pewnym być nie mógł. A więc w pierwszej kolejności FSB. Choć usiłuje instalować w jej wnętrzu swych zaufanych, skupił się na budowie własnej „gwardii pretoriańskiej” – jej trzonem są FSO oraz „skradzione” z MSW Wojska Wewnętrzne, które przekształcił w Gwardię Narodową. Nie mogło się to spodobać na Łubiance, tym bardziej,

nie może mieć prawa do stosowania siły. Przynajmniej nie w samej Rosji.

Przez 10 dni marca, gdy zniknął prezydent, ważyły się losy tej konfrontacji. Czyją stronę wziął Putin, stało się jasne 16 marca. Tego samego dnia, gdy prezydent pojawił się publicznie po długiej przerwie, zabójstwo Niemcowa zostało przekwalifikowane z „zabójstwa na zlecenie” na „zbrodnię z nienawiści”. A skoro nie ma zlecenia, to nie ma zleceniodawcy. Również tego dnia adwokat Dadajewa poinformował, że jego klient mówi, iż ma alibi. „Putin musiał dokonać wyboru. Albo nakarmić Kadyrowem FSB-owców, albo poddać FSB Kadyrowowi. To trudny i niemiły wybór... I wybrał jedyną rzecz, którą mógł wybrać: Kadyrowa” – pisał na Facebooku komentator Leonid Wołkow. W sprawie zabójstwa Niemcowa i konfliktu siłowników z Kadyrowem Putin przestał być mediatorem i arbitrem, a stanął po jednej ze stron. Z perspektywy czasu widać, że wojna siłowników wiosną 2015 r. była ostatnią już chyba tak gwałtowną próbą zablokowania rozbudowy obozu putinowskich pretorian, skupionego wokół Kadyrowa, Zołotowa i innych byłych oficerów ochrony prezydenckiej. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Zdradzone kościoły

W Holandii zamyka się średnio dwa kościoły tygodniowo, w latach 2003–2013 z tego europejskiego poligonu doświadczalnego zniknęło ponad tysiąc chrześcijańskich świątyń. „W 2050 r. ostatni członek Kościoła protestanckiego w Holandii zamknie za sobą ostatnie kościelne wrota. U katolików sprawa potrawa dłużej” – prognozował pięć lat temu holenderski religioznawca Joep de Hart. Dziś w Holandii 3,9 mln osób deklaruje się jako katolicy, na Mszę św. uczęszcza regularnie 1,2 proc. z nich, jeszcze cztery lata temu było to 10 proc., a w 1959 r. – 90 proc. Regres widać jak na dłoni, a w ślad za nim idzie wyprzedaż majątku kościelnego. A „byłe kościoły” dostają drugie życie jako sale gimnastyczne, restauracje czy meczety.

W Niemczech sprawa wygląda nieco lepiej, ale tendencja jest jasna. W samej tylko rzymskokatolickiej diecezji Münster w ciągu ostatnich 13 lat dokonano dekonsekracji 43 kościołów, w archidiecezji paderbońskiej 12, w berlińskiej – 20. Świątynie ewangelickie topnieją jeszcze szybciej, tylko w latach 1990–2010 zamknięto 340. Na stronach biur nieruchomości bez trudu można znaleźć albo zdekonsekrowane kościoły na sprzedaż, albo np. apartamentowce, któ-

re powstały w środku byłych świątyń i klasztorów. „Urządzenie się” w murach, gdzie jeszcze niedawno odprawiano msze i nabożeństwa, stało się pewnego rodzaju fetyszem.

► Ołtarz pojedzie do Kosowa

Na początku lipca br. w katolickim kościele św. Agaty w landzie Badenia-Wirtembergia odbyła się ostatnia, tzw. dekonsekracyjna, Msza św. Tamtej-

sza parafia liczyła zaledwie 180 wiernych, ale podczas pożegnania ze św. Agatą kościół pękał w szwach. Los świątyni był już przesądzony w zeszłym roku, okazało się, że przeciekające dachy i słabe ściany wymagają generalnego remontu, koszt: 300 tys. euro. Sami parafianie nie byli w stanie zebrać tej sumy, a władze kościelne rozłożyły ręce. Zapadła decyzja, by świątynię pozbawić jej sakralnego charakteru, a następnie budynek wyburzyć. Ołtarz, organy, tabernakulum, ławki i całe wyposażenie trafiło do nowo budowanego kościoła w Kosowie, pod Prisztiną. „Ale figurę naszej patronki, męczennicy św. Agaty, zachowamy” – mówił jeszcze półtora miesiąca temu Georold Hornung, proboszcz likwidowanej parafii. Zarówno Agata, jak i hostie zabrane z tabernakulum, trafią do kościoła w sąsiednim Lonsee. A jak ktoś umrze, to msza pogrzebowa odbędzie się w miejscowej świątyni ewangelickiej. Takie czasy.

ich nie było na to, by utrzymać piękny kościół św. Elżbiety, w którym ów projekt powstał. Parafia Chrystusa Naszego Brata, do której należał ten ponadstuletni kościół, tłumaczyła, że nie jest w stanie go utrzymać. Kupca szukano od 2012 r., potencjalny nabywca miał podpisać oświadczenie, że nie urządzi w budynku nocnego klubu czy domu publicznego. Do hotelu nie było zastrzeżeń. Opiewający na 400 tys. euro projekt przebudowy kościoła na hotel w 80 proc. pokrył kraj związkowy Północna Nadrenia-Westfalia. Teraz będą w nim jeść i spać turyści i arabscy imigranci. Hotel i należący do niego bar działają od początku sierpnia tego roku, jego pomysłodawcy liczą na duże zainteresowanie i zachęcają na stronie internetowej obiektu: „Woda święcona i wino mszalne już tu nie mieszkają, na ich miejsce wprowadziły się lemoniady, herbata mrożona i świeżo palona kawa”.

OPIEWAJĄCY NA 400 TYS. EURO PROJEKT PRZEBUDOWY KOŚCIOŁA NA HOTEL W 80 PROC. POKRYŁ KRAJ ZWIĄZKOWY PÓŁNOCNA NADRENIA-WESTFALIA. TERAZ BĘDĄ W NIM JEŚĆ I SPAĆ TURYSŃCI I ARABSCY IMIGRANTCI.

O zachowanie kościoła nie było nawet specjalnie komu walczyć. „Parafianie wymierają, a młodzi nie czuli więzi z tym kościołem, ja ich nawet nie winię, tak to już jest” – tłumaczy proboszcz Hornung. Parafia św. Agaty już nie istnieje, ale w Kosowie żyje jej część. I to Hornunga pociesza.

► Fundusze – tak, ale nie na kościół

W tym roku msza dekonsekracyjna zostanie odprawiona jeszcze w wielu innych katolickich kościołach Niemiec. Jednym z nich jest ten pw. św. Moniki w Kolonii. Budynek z lat 60. powstał z potrzeby serca mieszkańców, dziś narzekają, że nie stać ich na jego wyremontowanie, że centralne ogrzewanie jest w opłakanym stanie, tak, że w kościele zimą temperatura spada do 5 stopni. Kiedyś sami organizowali jarmarki i kwesty, by zebrać fundusze na zakup organów, dziś zastanawiają się, do którego kościoła przeniosą instrument, gdy ich kościół zostanie przekształcony w przedszkole i ośrodek pomocy dla seniorów. Na to pieniądze się znalazły. Tak jak i znalazły się na dofinansowanie projektu „Hotelu Total” w Aachen, a wcześniej

► Wygrał supermarket

Święty Pirmin (690–753), misjonarz i biskup misyjny mianowany w 724 r. przez Karola Młota pierwszym zarządcą opactwa benedyktynów na wyspie Reichenau, to dla mieszkańców Sasbach (Badenia-Wirtembergia) postać wyjątkowa. Sasbach całe lata słynęło swoim kościołem św. Pirmina i imponującymi dziełami, które powstały wokół niego od drugiej połowy XIX w. Szkoła, seminarium, campus, potem kaplica św. Edyty Stein. Seminarium otwarto w 1959 r., wychowało ono 580 absolwentów. Księży, lekarzy, nauczycieli. Kaplicy św. Edyty Stein już nie ma. W 2006 r. została zdekonsekwrowana i wyburzona. Teraz ten sam los czeka kościół i seminarium. Jeszcze w 2009 r., w 50. rocznicę utworzenia seminarium, abp Robert Zollitsch z dumą podkreślał, jak ważne jest to miejsce dla kształcenia kolejnych pokoleń duchownych. Cztery lata później ogłoszono, że seminarium zostanie jednak zamknięte. Jeszcze w 2014 r. jego pomieszczenia wykorzystano na potrzeby tymczasowego ośrodka dla uchodźców. W tym roku ruszą prace remontowe. Zamiast kościoła i seminarium będzie osiedle domków jednorodzinnych i supermarket. ■



Hanna Shen

Prześladowani chrześcijanie zmieniają Chiny

Usuwanie krzyży, aresztowania czy nieustanna inwigilacja, nawet poza granicami kraju – tak komunistyczna władza walczy z chrześcijanami w Chinach. Ale pomimo zwiększonych represji, chrześcijan w Państwie Środka przybywa i szacuje się, że do 2030 r. stanie się ono krajem o największej liczbie wiernych na świecie. Dysydent i pisarz Yu Jia twierdzi, że przyszłość Chin to właśnie chrześcijaństwo. To jest główna siła, która zmieni to państwo.

Walka z chrześcijaństwem w Chinach wkroczyła w nowy etap w związku z ogłoszoną przez prezydenta Xi Jinpinga kampanią „sinizacją religii”. Tego terminu chiński przywódca użył po raz pierwszy w przemówieniu wygłoszonym w maju zeszłego roku na spotkaniu z przedstawicielami Departamentu Zjednoczonego Frontu Pracy, jednej z agencji Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin. Sinizacja oznacza, że kościoły muszą dostosować się do „kultury i społeczeństwa chińskiego, znajdującego się pod władzą komunistyczną”.

To właśnie w ramach tej kampanii w ostatnim roku z wielu chińskich kościołów usunięto krzyże, a w niektórych przypadkach krucyfiks był nawet palony. Coś takiego wydarzyło się na przykład w lipcu zeszłego roku w mieście Taizhou, w prowincji Zhejiang na wschodnim wybrzeżu ChRL. Tu władze lokalne nakazały usunięcie krzyża i to one, według naocznych świadków, wydały roz-

kaz jego podpalenia. Do akcji próbowali nie dopuścić miejscowi wierni, ale zostali pobici przez policję.

Chińscy internauci, komentując zdjęcia, na których widać krzyże w ogniu, piszą, że takie praktyki stosują teraz terroryści z Państwa Islamskiego. Przypominają, że w przeszłości w Chinach palono kościoły i krzyże w czasie powstania bokserów na przełomie XIX i XX wieku i w okresie rewolucji kulturalnej. „Hunwejbini” (Czerwona Gwardia – komunistyczna organizacja młodzieżowa działająca w Chinach podczas rewolucji kulturalnej, w latach 1966–1968) robili to z rozkazu władzy komunistycznej. „Tak samo dziś niszczone są kościoły i krzyże z rozporządzenia władz w Pekinie” – napisał jeden z internautów.

► Chrześcijańscy herosi

Od 2014 r. nasiliły się także ataki na tzw. kościoły domowe i domy modlitwy, aby, jak twierdzi rząd, „wykorze-

nić różne kultury". Okrutne represje nie omijają też duchownych. Na początku 2015 r. w chińskim więzieniu zmarł katolicki biskup Cosma Shi Enxiang z diecezji Yixian w prowincji Hebei. Hierarcha spędził w areszcie łącznie 54 lata, a jedyną „zbrodnią”, jaką popełnił katolicki duchowny, było to, że odmówił zrzeczenia się lojalności wobec Stolicy Apostolskiej. Rodzina bp. Shi twierdzi, że mógł umrzeć w więzieniu w wyniku zagłodzenia albo tortur. Władze odmówiły wydania jego ciała, ponieważ obawiały się, że pogrzeb duchownego może przekształcić się w wielką manifestację. W 2005 r. zmarł przetrzymywany przez pięć lat w areszcie policyjnym ks. bp John Gao Kexian z diecezji Yantai w prowincji Shandong na wschodnim wybrzeżu ChRL. Chcąc poznać przyczynę śmierci duchownego, rodzina domagała się przeprowadzenia autopsji. Władze nie wyraziły na to zgody i szybko poddały zwłoki kremacji. Wolności nie doczekał się również przetrzymywany bez procesu od 2005 r. ks. bp John Han Dingxian z diecezji Yongnian w północnej prowincji Hebei. Duchowny zmarł w niejasnych okolicznościach w 2007 r. i znów jego najbliższym odmówiono prawa do katolickiego pogrzebu. Doprowadzono do szybkiej kremacji, a następnie tajnego pochówku na publicznym cmentarzu.

Broniących krzyży spotyka czasem bestialska śmierć. W kwietniu br. Ding Cuimei, żona pastora, próbowała nie dopuścić do wyburzenia chrześcijańskiej świątyni. Została zepchnięta przez robotników pracujących na zlecenie lokalnych władz komunistycznych do jednego z dołów i zakopana żywcem przez buldożery. „To był okrutny, morderczy czyn” – twierdzi pastor Bob Fu, kierujący organizacją China Aid, zajmującą się promowaniem wolności religijnej w Chinach, i nazywa całą sprawę „poważnym naruszeniem prawa do życia, wolności religijnej i praworządności”. Kobieta zginęła, kościół wyburzono, a teren trafił w ręce dewelopera.

► Chińska inwizja na ŚDM

Represje wobec chińskich chrześcijan nie ustają nawet poza granicami ChRL, o czym można się było przekonać m.in. podczas Światowych Dni Młodzieży w Polsce. Władze w Pekinie robiły wszystko, by powstrzymać obywateli ChRL od udziału w katolickim święcie młodzieży w naszym kraju. Dzień przed rozpoczęciem w Krakowie ŚDM na lotnisku w Pekinie zatrzymano grupę 50 chińskich pielgrzymów, którzy udawali się do Polski na uroczystości. Zostali oni wyciągnięci z samolotu, a następnie poddano ich wielogodzinnym przesłuchaniom. Ostatecznie służby odesłały pielgrzymów do domu i zakazały im kontaktowania się z cudzoziemcami. Pekin wysłał też do Krakowa swoich agentów, by bacznie obserwowali tych chińskich pielgrzymów, którym jednak udało się poprzez inne stolicy europejskie dotrzeć do Polski.

Tajniacy przedstawiali się jako katolicy. Korespondent agencji prasowej AsiaNews, który relacjonował ŚDM, spotkał w Krakowie grupę rzekomych chińskich chrześcijan. Przedstawili się oni jako katolicy z jednej z chińskich prowincji, jednak nie potrafili przytoczyć nazwiska biskupa swojej diecezji. Na pytanie dziennikarza, czy przyjechali do Polski z księdzem, grupa odpowiedziała, że nie potrzebowała żadnego duchownego. Zdaniem agencji, grupa rzekomych pielgrzymów to właśnie agenci, pracujący na co dzień w chińskich instytucjach kulturalnych lub w chińskich firmach także w Polsce. Ich zadaniem podczas ŚDM miało być zbliżenie się do grup chińskich pielgrzymów i zebranie o nich jak najwięcej informacji, które potem trafią do władz w Pekinie. Owi agenci mieli za zadanie inwigilowanie nie tylko chrześcijan z ChRL, lecz także tych przybyłych z Tajwanu, Hongkongu i Makao, m.in. po to, by w przyszłości ograniczyć ich wjazd na teren Chin Ludowych i uniemożliwić w ten sposób kontakt ze społecznością katolicką w Państwie Środka.

► Prześladowani rosną w siłę

Jednak mimo że Pekin traktuje chrześcijan niemal jak wroga numer jeden, że nasiliły się represje, i że – jak mówi pastor Bob Fu – komunistyczne władze „uwięziły Chrystusa”, to liczba chrześcijan w Państwie Środka rośnie. Obecnie wynosi ona już ponad 100 mln. Szacuje się, że w 2030 r. będzie to 247 mln wiernych, a więc znacznie więcej niż w Brazylii, USA czy Meksyku. „Chiny staną się krajem o największej liczbie chrześcijan na świecie” – twierdzi socjolog Fenggang Yang, który stoi na czele Centrum Religii i Społeczeństwa Chińskiego na amerykańskim Uniwersytecie Purdue.

Ten pogląd podziela także chiński dysydent i pisarz Yu Jie, który w artykule, jaki w sierpniu br. ukazał się na łamach amerykańskiego chrześcijańskiego miesięcznika „The First Things”, twierdzi, że pomimo prześladowań, burzenia kościołów i niszczenia krzyży przed Chinami jest chrześcijańska przyszłość. Pisarz mówi też, że to właśnie dziś odradzające się w Chinach chrześcijaństwo i społeczności wiernych działające zwłaszcza w miastach będą stanowić główną siłę w procesie demokratyzacji i w tworzeniu się społeczeństwa obywatelskiego w Chinach.

W ChRL, będącym państwem totalitarnym i nieuznanym wyborów, to właśnie w wielu wspólnotach chrześcijańskich wierni uczą się, czym są zasady demokracji, np. poprzez fakt, że członkowie kongregacji mogą wybierać własnych przedstawicieli walnego zgromadzenia. „Dla tych niemających doświadczenia w przeprowadzaniu głosowań i braniu udziału w wyborach Chińczyków, kościoły są wylęgarnią aktywności obywatelskiej” – stwierdza Yu Jie.

► Nie tylko demokracja

W artykule autor dzieli się także własnym doświadczeniem – drogą, którą przeszedł: od oglupionej komunistycznej propagandy młodego człowieka przez dysydenta po chrześcijanina. Spotkanie z chrześcijaństwem Yu zawdzięcza żonie, która w 2001 r. została ochrzczona. W ich domu w Pekinie zaczęła organizować spotkania biblijne i w 2003 r. w Wigilię Bożego Narodzenia chrzest przyjął także Yu Jie. Według pisarza, takiej przemiany, jakiej doświadczył w związku z przyjęciem nowej religii, potrzebują całe Chiny, bo zmiana systemu nie wystarczy.

Opór wobec władzy pojawił się u niego 4 czerwca 1989 r., kiedy doszło do masakry na placu Tiananmen w Pekinie. Miał wtedy 16 lat. Słuchając Głosu Ameryki, dającego prawdziwy opis tego, co spotkało protestujących studentów, zrozumiał, że w nocy 4 czerwca „narodziła się przepaść” pomiędzy nim a chińskim reżimem komunistycznym. „Przysiągłem sobie wtedy, że nigdy nie będę służył rządowi, który otwiera ogień do nieuzbrojonych i bezbronnym ludzi”. Jednak, według Yu, tym, co naprawdę zdefiniowało go jako opozycjonistę wobec komunistycznej władzy, jest chrześcijaństwo.

„Przez lata działalności w ruchu demokratycznym w Chinach widziałem, że tzw. dysydenci często myślą tak samo, mówią to samo, działają tak samo jak ci, od których rzekomo się różnią. Zbyt często komuniści i dysydenci okazywali się pokrewnymi duszami. Widziałem też, jak osobiste ambicje i walka o władzę dzieliły znajomych i nastawiały przeciwko sobie tych, którzy powinni pracować razem” – pisze Yu. Opozycjonista rozumiał, że jeżeli ktoś nie wierzy w nic innego poza demokracją, to nie jest lepszy od komunistów, którzy ze swojego systemu politycznego uczynili bóstwo.

► Chrześcijańska przeszłość Chin

W kilku wcześniejszych artykułach Yu Jie przyznał, że na jego drodze poznawania chrześcijaństwa ważną rolę odegrał św. Jan Paweł II, który „wiedział, jak odrażający i okrutny był komunistyczny reżim w Polsce i w innych państwach”. To właśnie postawa polskiego papieża „nieidącego na kompromis z komunistycznym światem” i „niezawierającego umowy z diabłem” powinna być według Yu jedną z głównych zasad postępowania wszystkich chrześcijan na świecie, w tym także tych z Chin.

Duży wpływ na chińskiego pisarza miały również prace urodzonego we Wrocławiu niemieckiego duchownego ewangelickiego i teologa Dietricha Bonhoeffera. Yu Jie przypomina jego ostrzeżenie, które stało się mottem wielu chińskich chrześcijan: „Państwo, które grozi, gdy głoszone jest orędzie chrześcijańskie, niweczy samo siebie”.

Postawa Bonhoeffera, którego niezłomność w prezentowaniu poglądów doprowadziła do obozu koncentracyjnego i w końcu do śmierci w nim parę tygodni przed końcem II wojny światowej, jest bardzo bliska wiernym w Państwie Środka.

„Bonhoeffer uważał również, że nazizm ma swoje korzenie w zdradzie Boga przez człowieka i czczeniu samego siebie. To samo można powiedzieć o komunizmie. Solżenicyn nazwał ateizm głównym trzonem komunizmu, a nienawiść do Boga głównym motorem myśli marksistowskiej. Obalenie reżimu komunistycznego nie rozwiąże wszystkich problemów Chin. Chińczycy muszą podjąć głęboką duchową przemianę w celu przywrócenia wolności i godności, jaką Bóg obdarzył ich, tworząc ich na swój obraz” – pisze w „The First Things” Yu Jie.

Dla samego pisarza owa przemiana duchowa wiązała się z represjami. W grudniu 2010 r., gdy w Oslo odbywała się ceremonia przyznania Nagrody Nobla przyjacielowi Yu Jie, Liu Xiaobo*, Yu został porwany przez agentów bezpieki i dotkliwie pobity gdzieś w nieznanym miejscu na obrzeżach Pekinu. Podczas tortur modlił się i nagle usłyszał głos mówiący mu: „Nie bój się tych, którzy zabijają ciało, lecz nie mogą zabić duszy”. Przeżył, a dwa lata później znalazł się w Stanach Zjednoczonych, gdzie dziś pisze, pracuje wśród chińskojęzycznej społeczności chrześcijańskiej, a jednocześnie jest jednym z najbardziej słuchanych i czytanych, choć oficjalnie zakazanych, dysydentów w Państwie Środka.

Yu Jie uważa, że wielu Chińczyków odczuwa to samo co on – wiara ich wzmacnia i dziś rozwijające się chrześcijaństwo w Chinach to początek nowego życia Państwa Środka.

„Ani martwa ręka komunizmu, ani cyniczna imitacja konfucjanizmu**, ani kapitalizm, ani demokracja, ani ziemskie rzeczy nie zadecydują o losie mojej ziemi. Chrześcijaństwo to jest przyszłość dla Chin” – kończy swój artykuł w „The First Things” chiński dysydent. ■

* Liu Xiaobo – chiński pisarz i literaturoznawca, dysydent, były profesor Beijing Normal University, nie odebrał nagrody osobiście, bo do dziś jest więziony przez władze ChRL.

** W ostatnich latach Chińska Partia Komunistyczna lubi się przedstawiać jako spadkobierca konfucjanizmu, który wcześniej zniszczyła. Jak pisze Yu Jie, „w Chinach konfucjanizm przeszedł swoisty lifting. Na rozkaz rządu wiele uniwersytetów ustanowiło ośrodki badania klasycznych tekstów konfucjańskich i historii”. Konfucjanizm przeciwstawiany jest chrześcijaństwu, które ukazywane jest jako zgubny wpływ z Zachodu. Dochodzi nawet do tego, że „młodzi uczeni (z ośrodków badań konfucjanizmu) piszą listy otwarte potępiające obchodzenie popularnego Święta Bożego Narodzenia, co jest przedstawiane jako zapominanie o swoich korzeniach”.

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w AZJI

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.



► Japonia

Nowym ministrem obrony Japonii została 57-letnia Tomomi Inada, prawnik i była deputowana. Inada, uważana za zaufaną współpracowniczkę premiera Shinzo Abe i jego prawdopodobną następczynię, znana jest także z kontrowersyjnych poglądów na wojenną przeszłość swojego kraju. Japońska polityk opowiadała się, tak jak premier Abe, za rewizją pacyfistycznej konstytucji Japonii, pisanej pod dyktando zwycięskich aliantów, ponadto regularnie odwiedza świątynię Yasukuni w Tokio, postrzeganą przez Chiny i Koreę Północną jako symbol dawnego japońskiego militarysty.

Inada jest jedną z trojga deputowanych, którym w 2011 r., według nieoficjalnych doniesień, zakazano wjazdu do Korei Południowej. Było to związane z faktem, że japońscy parlamentarzyści zamierzali odwiedzić wyspy, do których oba kraje roszczą sobie pretensje.

Gdy Tomomi Inada obejmowała stanowisko na początku sierpnia br., została zapytana przez dziennikarzy, czy przed II wojną światową Japonia wyzwoliła sąsiednie kraje, czy też dokonała na nie inwazji. Japońska polityk w odpowiedzi nie potępiła działań swojego kraju sprzed II wojny światowej i w czasie konfliktu, a jedynie stwierdziła, że „to, czy działania Japonii należy określać jako inwazję, zależy od punktu widzenia. Uważam, że nie do mnie należy komentowanie tej sprawy”.

W przeszłości Inada negowała także fakt, iż w okresie wojny kobiety z terenów okupowanych przez Japonię, m.in. z Chin, Korei i Tajwanu, były wykorzystywane jako seksualne niewolnice przez japońskich żołnierzy.

Eksperci uważają, że wybór nacjonalistki na stanowisko ministra obrony Japonii może zaostriżyć i tak napięte już stosunki z Chinami.

Japonia i Chiny roszczą sobie prawa do wysp Senkaku na Morzu Wschodniochińskim. Sytuacja pogorszyła się, gdy w 2012 r. Tokio kupiło od prywatnego właściciela trzy z pięciu niezamieszanych wysepek.

W przyjętym 2 sierpnia br. przez władze w Tokio rocznym raporcie na temat bezpieczeństwa stwierdzono, że niektóre działania Chin na Morzu Wschodniochińskim oraz Południowochińskim są „niebezpieczne i mogą prowadzić do nieprzewidywalnych sytuacji”. W raporcie wyliczono, że zeszłoroczne działania Chin na Morzu Wschodniochińskim zmusiły Japonię do alarmowego poderwania samolotów wojskowych po-

nad 570 razy. Odnotowano też przypadki znacznego zbliżania się, a nawet przekraczania przez chińskie okręty wojenne japońskich wód terytorialnych. Taka sytuacja miała też miejsce zaraz po opublikowaniu przez Tokio raportu dotyczącego bezpieczeństwa. Tylko w czasie jednego weekendu na początku sierpnia br. 14 jednostek należących do różnych służb chińskich, w tym straży przybrzeżnej, wpłynęło na wody terytorialne wokół spornych wysp Senkaku.

► Wietnam

Według informacji, jakie od dyplomatów i wywiadu wojskowego otrzymała agencja Reuters, na spornych terenach na Morzu Południowochińskim Wietnam rozmieścił wyrzutnie, zdolne do wykorzystania pocisków rakietowych typu EXTRA. Zostały one starannie zamaskowane przed zwiadem lotniczym. Prawdopodobnie w połowie sierpnia br. wyrzutnie zostały uzbrojone, czyli mogą już być w pełnej zdolności bojowej.

Pociski EXTRA są produkowane przez izraelski koncern IMI Systems. Naprowadzane za pomocą systemu INS/GPS są zdolne do rażenia celów na odległościach od 30 do 150 km, przy dokładności trafienia do 10 m.

Tego typu broń umieszczona na kontrolowanej przez Wietnam wyspie Spratly może precyzyjnie zniszczyć budowaną przez ChRL na sztucznych wyspach na Morzu Południowochińskim infrastrukturę wojskową.

Wietnamskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie zaprzeczyło ujawnionym przez Reutersa informacjom dotyczącym instalacji systemu EXTRA, ale określiło je jako nieprecyzyjne. Dwa miesiące wcześniej wiceminister obrony Wietnamu gen. Nguyen Chi Vinh zaprzeczył, że jego kraj instaluje system rakietowy na Spratly. Dodał jednak, że prawo do samoobrony pozwala Hanoi „na przerzucenie w dowolnym czasie broni na całym obszarze naszego suwerennego terytorium”.

Wyspa Spratly należy do archipelagu o tej samej nazwie na Morzu Południowochińskim. Spór w tym obszarze jest dziś uważany za jedno z większych zagrożeń dla bezpieczeństwa regionalnego. W rejonie archipelagu Spratly przebiegają ważne szlaki zaopatrzeniowe i trasy flot morskich, a także znajdują się złoża ropy naftowej, gazu ziemnego, bogate łowiska ryb i obfite ilości guana – naturalnego ptasiego nawozu. Prawa do strategicznych terenów na Morzu Południowochińskim rości sobie wiele okolicznych

państw. Pekin stoi na stanowisku, że wody Morza Południowochińskiego od zawsze należały do chińskiej strefy wpływów. Władze komunistyczne powołują się na źródła historyczne – dane archeologiczne mówiące o tym, że już przed naszą erą rybacy chińscy dokonywali połowów w tym regionie.

Coraz bardziej asertywna polityka Chin w regionie Morza Południowochińskiego spowodowała też, że Wietnam postawił na ocieplenie relacji z Waszyngtonem. W maju tego roku do Hanoi przybył prezydent Barack Obama. W czasie tej wizyty ogłoszono zniesienie embarga na sprzedaż amerykańskiej broni Wietnamowi.

► Korea Północna

Jak podaje Radio Wolna Azja (RFA), władze Korei Północnej (KRLD) zmieniają zasady poboru do armii. Jest to spowodowane niskim przyrostem naturalnym będącym efektem wielkiego głodu w latach 90. Nie istnieją oficjalne dane na temat ofiar sprzed kilkudziesięciu lat, ale szacuje się, że mogły umrzeć wtedy ponad 3 mln ludzi.

W KRLD obowiązuje pobór powszechny obejmujący ogół mężczyzn i większość kobiet. Służba wojskowa formalnie trwa od 3 do 5 lat dla mężczyzn i nieco krócej dla kobiet. Po zakończeniu służby żołnierz drugie tyle odpracowuje np. w fabrykach należących do armii. Do tej pory ze służby wojskowej zwolnieni byli jedynacy, których rodzice pracowali w kolchozach albo w kopalniach. Nowe zasady mówią, że każdy do 30. roku życia, kto do tej pory uniknął służby wojskowej, będzie podlegać poborowi. Do ośrodków rekrutacyjnych wzywani są nawet ci młodzi, którzy założyli już rodziny, a także absolwenci uczelni wyższych. Wcześniej było tak, że ci z nich, którzy zgłosili się do pracy w fabrykach albo mają rodzeństwo w armii, byli zwolnieni ze służby.

Według informacji RFA w Korei Północnej pojawiły się głosy, że wdrażane na szybko nowe zasady poboru wprowadzają chaos, a młodzi poborowi będą wykorzystywani nie tyle do zadań wojskowych, ile jako bezpłatna siła robocza na budowach.

Korea Północna jest obecnie najbardziej zmilitaryzowanym państwem na świecie. Pod względem liczebności północnokoreańskie wojsko jest czwarte na świecie (prawie 1,2 mln żołnierzy w czynnej służbie), a reżim Kim Dzong Una wydaje na wojsko ponad 23 proc. wartości PKB tego kraju.

► Hongkong

Trzech przywódców protestu w Hongkongu w 2014 r. zostało uznanych za winnych udziału w nielegalnym zgromadzeniu i wdarcia się na tereny rządowe. To działanie sprzed dwóch lat zapoczątkowało „rewolucję parasoli”, czyli trwającą przez 80 dni okupację części Hongkongu głównie przez młodych ludzi domagających się wolnych wyborów lidera administracji byłej kolonii brytyjskiej. Na takie w pełni wolne i powszechne wybory nie zgadza się Pekin.

Za zainicjowanie demonstracji w 2014 r., 15 sierpnia br. 19-letni Joshua Wong otrzymał wyrok 120 godzin prac społecznych, a 23-letni Nathan Law 80 godzin. 25-letni Alex Chow został skazany na 3 tygodnie więzienia w zawieszeniu. Powszechnie uważa się, że zarówno Pekin, jak i propekińskie władze Hongkongu nie zdecydowały się na umieszczenie liderów „rewolucji parasoli” w więzieniu, aby nie doprowadzić do zamieszek i jeszcze bardziej napiętej sytuacji przed wyborami do Rady Ustawodawczej (Legco), lokalnego parlamentu, które odbędą się 4 września br.

Po ogłoszeniu wyroku Joshua Wong stwierdził, że szanuje decyzję sądu, ale dodał, że ma nadzieję, „iż coraz więcej obywateli zrozumie, że jesteśmy w stanie stosować taktykę nieposłuszeństwa obywatelskiego w walce o wyższe idee, o sprawiedliwość i aby obudzić więcej Hongkończyków”.

Władze ChRL szczególnie obawiają się rosnących wśród młodych ludzi nastrojów niepodległościowych. Dlatego też ogłoszono właśnie, że nauczyciele, którzy w szkołach będą promować idee niepodległości, mogą być usuwani z pracy, a nawet stracić prawo do dalszego wykonywania zawodu.

Wielu z hongkońskich pedagogów uważa, że nowe zasady są zupełnie zbędne, bo wiedzą oni dobrze, jaka jest różnica między dyskusowaniem o danej kwestii a promowaniem jej. I obawiają się, że stworzona zostanie lista tematów, na które nauczyciele i pracownicy naukowcy nie będą mogli rozmawiać ze swoimi studentami w trakcie zajęć.

Przeprowadzone niedawno badanie opinii publicznej pokazuje, że prawie 40 proc. młodych ludzi w Hongkongu chce, aby była kolonia brytyjska w 2047 r. stała się niepodległą. Hongkong funkcjonuje pod okiem Pekinu na stworzonej jeszcze przez Deng Xiaopinga zasadzie „jeden kraj, dwa systemy”. Zgodnie z umową z Brytyjczykami, stan taki ma trwać do 2047 r. Według Pekinu, wówczas Hongkong zupełnie straci autonomię i stanie się częścią Chin. ■

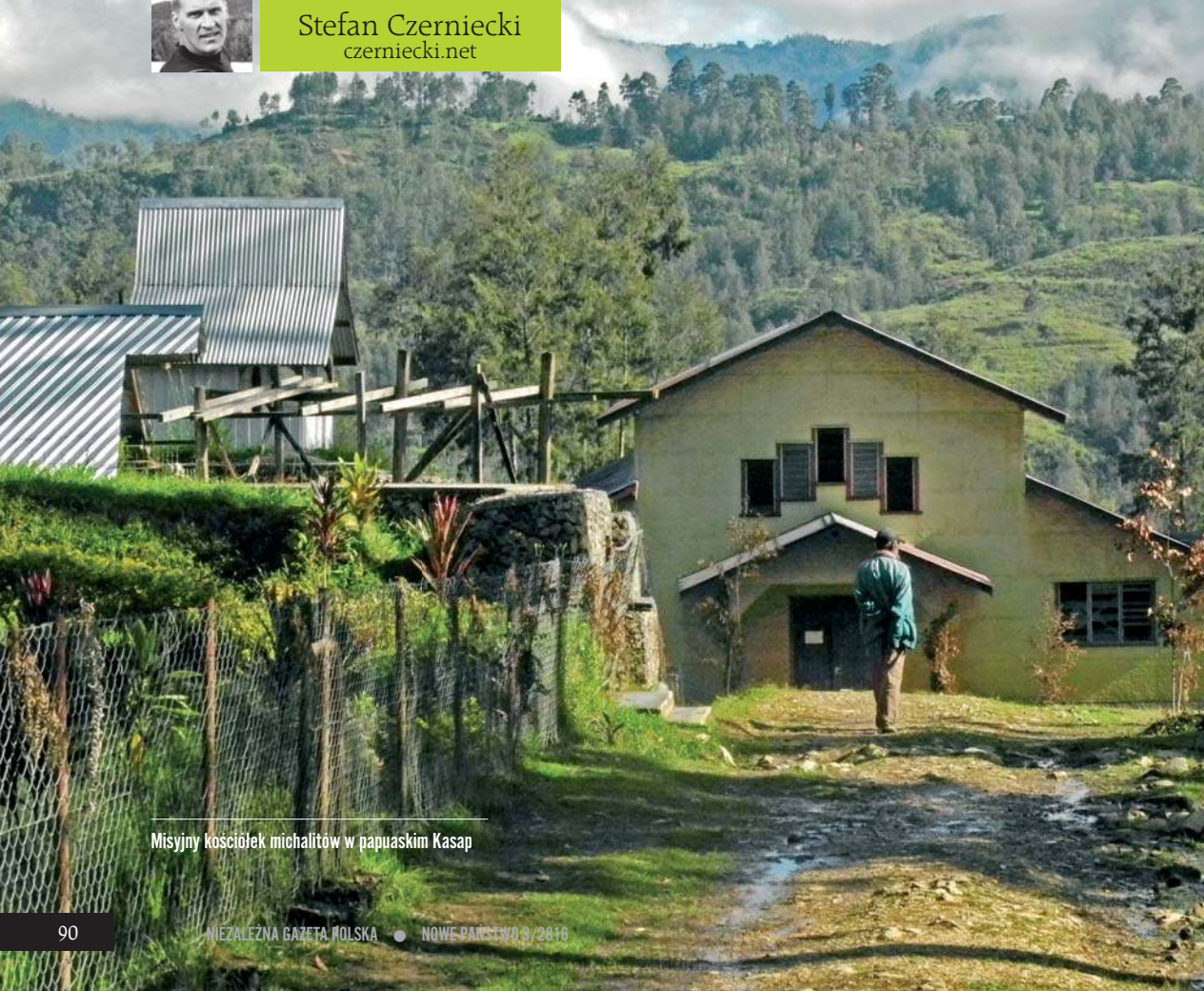
Dobra robota

Leśna chatka zlokalizowana jest w osadzie Kasap. Dotarliśmy tutaj po całodziennej jeździe po papuaskim interiorze. Wąska asfaltowa nitka wbijała się klinem pomiędzy bujne lasy, zielone pagóry i wyrastające nie wiadomo skąd słomiano-gliniaste chatki.



tekst i zdjęcia

Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Misyjny kościółek michalitów w papuaskim Kasap

Skrzypiące miarowe łkanie dochodzi z samego dołu naszej chatki. W papuaskim buszu powoli dogasa kolejny słoneczny dzień. Świadczą o tym chociażby świdrujące powietrze dziwne odgłosy lasu. Nie ma tu tak swojsko brzmiących dźwięków świerszczy. Są za to jakieś inne. Mniej znane. Mniej oswojone. Teraz wszystko to w zestawieniu z miarowym, systematycznie słyszalnym skrzypem z dołu naszej chatki przybiera nowy wymiar. Dopełnienie egzotyki. Tej papuaskiej. Najbardziej rdzennej.

– Bogdan, ty musisz jeszcze mocniej zasuwać tą pompą! Bo w tym tempie to my dziś prysznic nie weźmiem! – ze strychu naszej zrujnowanej leśnej chaty słychać polski język. Po chwili dochodzą nas odgłosy mocowania się z oknem. Jak mniemam – nie otwieranym od miśięcy. Skrzyp, trzask, nieco szarpaniny, wreszcie jest. Z okna wygląda niezwykle sympatyczna twarz. Delikatna broda, pogodne drobne oczka. To ojciec Józef, michalita. – Mówię Ci, Boguś. Wyteż no mięśnie jeszcze, bo Magda by się wykapać chciała.

– Weż, ty, przestań się wygłupiać. Jeszcze uwierzy, że taka prima donna jestem – w całej tej zabawnej scenie słychać wreszcie i kobiecy głos.

– Ha-ha! A nie jesteś?! – dla Józka takie słowa to tylko woda na młyn. – Słyszałeś? Bogdan? Magda chce wziąć prysznic! A ty się guzdrosz i guzdrosz, chowie! – krzyczy Józek, zdradzając swoje śląskie korzenie.

– Już, już... Jeszcze chwilka i woda powinna polecieć – pokorny i spokojny głos ojca Bogdana, również michality, ma już zupełnie inny charakter. Owszem, również w nim wiele zabawnego uśmiechu, ale jakby w miejsce zaczepnego dowcipu pojawia się wszechogarniający spokój. Tych dwóch ludzi wspaniale się uzupełnia. Lepszych przewodników na mój papuaski pobyt nie mogłem sobie wymarzyć.

► O farcie słów kilka

Leśna chatka zlokalizowana jest w osadzie Kasap. Dotarliśmy tutaj po całodiennej jeździe po papuaskim interiorze. Wąska asfaltowa nitka wbijała się klinem pomiędzy bujne lasy, zielone pagóry i wyrastające nie wiadomo skąd słomiano-gliniane chatki. Gdzieniedzie asfalt zniknął i zaczynał się prawdziwy off-road.

– Macie nie łada szczęście! – śmiał się przez całą drogę prowadzący naszą terenową toyotę Józek. – Bez tego cacka z napędem na



Ojciec Józef przybywa tu raz na sześć tygodni





Ci ludzie wcale nie czekają na cokolwiek. Oni po prostu przyszli postać i pobyc

cztery koła w życiu byśmy tu nie przyjechali. I teraz będzie najlepsze. Wyobrażcie sobie, że pieniądze na jego zakup przyszły z australijskiej prowincji dokładnie dwa tygodnie przed waszym przylotem. Widać, że św. Michał Archanioł bardzo was lubi. Naprawdę macie farta.

Kasap to była parafia obu księży. Jako pierwszy przywędrował tu ojciec Bogdan. Potem jego młodszy kolega.

– Żebyś ty wiedział, co tu zastałem – opowiada Bogdan przy ledwo tłącym się knotku świecy naszej leśnej chaty papuaskiego buszu. – Nic! Zupełnie nic. Kilka chat, dziwni ludzie. Te ich zwyczaje. Wszystko trzeba było robić jako pierwszemu. Pierwsze wizytacje, pierwsze wycieczki do osad w górach z Komunią Świętą, pierwsze przyjaźnie...

– I jak cię przyjęli?

– Nie zawsze było prosto...

– Ja to miałem taki zwyczaj – wtrąca się milczący do tej pory Józek. – Jak mi przychodziły łobuzy na parafię i grozili czymś tam...

– A to grozili ci? – przerywam.

– A bo to raz. To i Bogusiowi, i mnie grozili. Wiadomo. Przychodzi białcy obcy i ma im tu kościół zakładać. Musiały być konflikty. Ale czekaj, dokończę... – przez chwilę w delikatnym ogniu świecy widzę jego zabawne małe oczka. – Jak mi łobuzowali, to ja mówiłem jasno: „To wy mnie macie utrzymać, a nie ja mam się przed wami bronić! Nie chcecie księdza, nie ma sprawy! Ale

jeśli mam wam służyć, to i wy macie mnie bronić. A nie jeszcze terroryzować”.

– I co? Poskutkowało?

– I to jeszcze jak! Zrozumieli, że gramy w jednej drużynie. Słuchaj... Jak mi nie zaczęły kobity przynosić do domu świń, kur, warzyw. Od tej pory nie musiałem się już martwić o to, co będzie na obiad. Ani o kościół. Sami pomagali mi w jego sprzątaniu. Ustalaliśmy dyżury.

– Bo to dobrzy ludzie są – tym razem do głosu dochodzi Bogdan. – Trzeba tylko przestawić się na te ich zwyczaje, sposób patrzenia na świat. Potem pozostaje już tylko kochać to miejsce. A złych ludzi i tak spotkasz. Niezależnie od kontynentu.

– Zwłaszcza jak idzie wojna – poważnieje Józek.

– Mielicie tu wojnę?

– Ha! Żeby to jedną! Co roku jakaś wybucha. Jak jest konflikt, to często nie ma wyjścia. Trzeba zamknąć się w chacie i czekać. Choć i to nie zawsze jest możliwe...

– I wtedy co?

– Wtedy siadasz za kółko i modlisz się, żeby cię nikt nie zabił – zaczyna Bogdan. – Pamiętam taką sytuację. Jechałem o tutaj, niedaleko. I nagle wychodzę zza zakrętu, a tu widzę przewalone na szosę drzewo. I stojących za nim czarnych z karabinami. Wiadomo. Jest wojna, nie ma zasad. Będą grabić, zabijać. Ksiądz, nie ksiądz. Nieważne. Pamiętam, że jakiś czas wcześniej zabili jednego z naszych. Wiedziałem więc, jak to się może skończyć.



Papuaski bazar pod Mont Hagen

– A nie dało rady cofnąć?
 – Nie było już gdzie. Wyjeżdżałem z terenu konfliktu. Za plecami też miałem wojnę. Trzeba było coś wymyślić... – Bogdan przez chwilę patrzy na walczący z powiewami delikatnego wiatru płomyk na stole. – Zobaczyłem w pewnej chwili delikatną przestrzeń z lewej strony tej ich barykady. Podjechałem więc nieco bliżej. Tak, żeby myśleli, że się zatrzymuję i poddaję. A gdy opuścili wycelowane we mnie karabiny, dodałem z całej siły gazu i ruszyłem w tę wolną wnękę. Udało się przejechać. Nie zdążyli nawet oddać strzału.

– Niestety. Gdy mieszkasz na Papui, do takich sytuacji musisz się przyzwyczaić – uzupełnia Józek. – Gdy wybucha wojna, kończą się reguły.

Naszą rozmowę powolutku zaczyna zagłuszać narastający szmer rosnącego dookoła buszu. Nadeszła noc. Po kilku chwilach słychać pierwsze krople. Przyszła ulewa. Siedzimy dalej w dolnej izbie naszej skrzypiącej chaty, przypatrując się tańczącemu coraz intensywniej płomykowi świecy. To już tydzień, jak wędrujemy z dwoma bohaterskimi misjonarzami po ich nowej ojczyźnie.

► **Przekroczyć Rubikon przytulnego bezpieczeństwa**

Tydzień wcześniej. Samolot jest już prawie pełen. Nie zostało za wiele wolnych miejsc. Trudno się dziwić. Loty do Mont Hagen, drugiego pod względem wielkości miasta Papui, nie są co godzina. Wokół Magdy i mnie widać pełno pań w jednolitych białych strojach. Trzymają w rękach bukiety róż. Widać między nimi poruszenie. Żywo o czymś rozmawiają.

– Jadą na wesele czy jak? – szepcze do mnie Magda. Przed lądowaniem pani stewardesa przechadza się między siedzeniami, sprawdzając, czy wszyscy mają zapięte pasy. Na jej łyde daje się dostrzec wyraźną dziurę w rajstopach. Nawet niespecjalnie próbuje ją przykryć.

Wygląda to troszkę tak, jakby pani chodziła w tym uniformie już któryś dzień z rzędu. Wtem słyszę chichot Magdy. Nie wytrzymała. – Już ich lubię. Totalny luz – słyszę.

Lądowanie na prowincjonalnym lotnisku Mont Hagen. Wokół budynku terminala rozciągnięte wysokie ogrodzenie. Zza niektórych prętów widać wściubione nosy gapiów przyglądających się, kto wyjdzie z terminala.

– Przyszli was zobaczyć – śmieje się witający nas na parkingu Józek.

– A o co chodzi z tymi białymi? – rzuciwszy ciężki plecak na pakę auta macham na wychodzące za nami „białe panie”.

– Wieźliście trupa.

– Że co?!

– No, normalnie. Jutro w Mont Hagen ma być pogrzeb tzw. big mana. Szefa jednego z tutejszych klanów. Ważnego człowieka.

– I że niby leciał w trumnie, z nami?

– Pewnie. W luku bagażowym. Obok waszych plecaków. Chyba wam to nie przeszkadza, co?

– Nie, nie... Absolutnie. W porządku. Ale po co im te białe stroje, te naszyjniki z kwiatów?

– Pogrzeb w Papui to bardzo ważna uroczystość. Wręcz pokazowa. Okazja do podróży na drugi koniec wyspy. Na taki pogrzeb zjeżdżają się zwykle wszyscy członkowie klanu. Ich rodziny, kuzyni, ziomkowie. Daje to w sumie ładnych kilkadziesiąt osób. Czasem kilka tysięcy. Tu będzie pewnie to drugie. – Józek z uśmiechem spogląda na maszerujące obok nas „białe kobiety”.

– To wszystko bardzo piękne, ale co z finansami? – dopytuję. – Kto za to wszystko płaci? Przecież taki lot to kupa szmalu. Kto tym biednym babuleńkom za to wszystko płaci?

– Aaa... – uśmiecha się tajemniczo michalita. – Wszystko przez tzw. compensation.



Poranek w Kasap



Ojciec Bogdan naucza parafian o swoim wielkim patronie, św. Michale Archaniele

– Kompen... co? Co to jest?
 – Ha-ha! Compensation... – śmiech Józka jest zaraźliwy. – To opłata, jaką trzeba uiścić za przyczynienie się do czyjejś śmierci.
 – A to śmierć musi być z czyjejś przyczyny?
 – W Papui jest tak bardzo często. Chodźcie, ruszamy stąd. Resztę opowiem wam wieczorem.

Gdy powoli opuszczamy ogrodzony i strzeżony przez wojsko teren lotniska, mam nieodparte wrażenie, że oto przekraczamy jakiś Rubikon. Zostawiamy w tyle za sobą dobrze znany nam świat. A wkraczamy w coś, co nie do końca jeszcze wiemy, jak nazwać. Nieodwołalnie opuszczamy jakąś strefę bezpieczeństwa. Przebijamy ten słynny szklany sufit, po którym biały turysta może bezpiecznie paradować, oglądając z wysokiego dystansu okolicznych tubylców. Bez możliwości, ale często i chęci zejścia niżej. Tam, gdzie nie mogą go dotknąć, poklepać po ramieniu, podać rękę, a czasem opluć czy ofukać.

Żołnierze uważnie obserwują nasz wyjazd. Po chwili widzę, jak Józek automatycznie zamyka wszystkie szyby samochodu.

– To dla bezpieczeństwa – tłumaczy się, widząc moją pytającą minę.

– Może nam się tutaj stać coś złego?

– Może – odpowiada krótko.

Nie musi nic więcej dodawać. Sama stolica Papui Nowej Gwinei od kilku lat plasuje się w czołówce najbardziej niebezpiecznych miast świata. Grasujące po Port Moresby gangi, uzbrojone w machetki i broń z malezyjskiego przemytu grupy rabusiów, rozprzestrzeniający się z szybkością trąby powietrznej wirus HIV i panująca wokół gigantyczna bieda. Wszystko to składa się na obraz największego miasta Papui, w którym odnotowuje się obecnie jeden z najwyższych na świecie współczynników rabunków, morderstw i gwałtów.

– W Port Moresby raczej byście sami po ulicach nie pochodzili...

– A tutaj? Po ulicach Mont Hagen? – dopytuje, gdy mijamy gigantyczny bazar na rogu wielkiego błotnego grzęzawiska imitującego dworzec autobusowy.

– Tutaj dam wam naszego ochroniarza. To dobry chłopak. Nie ma wprawdzie jednej dłoni, ale i tak jak przyrąbie...

► Bezbronna „czarownica”

– No dobrze, to jak to jest z tym compresion? – zagaduję Józka, gdy wieczorową porą siedzimy już bezpiecznie w jego domku na wzgórzu Mont Hagen, popijając papuaską herbatę.

– Nie „compresion”, a „compensation” – poprawia mnie z uśmiechem. – To taki tutejszy zwyczaj. Oddajesz poszkodowanemu jego stratę, wynikającą z twojego błędu. Jak przejedziesz sąsiadowi świnie, musisz mu za nią zapłacić compensation.

– Czyli na przykład oddać mu swoją świnie? – zgaduję.

– Raczej dwie albo trzy. Bo przecież świnia mogła mieć dzieci. Mogła być młoda. Mogła być silniejsza od przeciętnej świnii. Mogła... – zawiesza głos. – Na tym polega całe to cwaniactwo instytucji compensation. Żeby możliwe wykorzystać nadarzącą się okazję.

– Aż tak?

– Oj, Stefan, Stefan... Opowiadałem wam już o tej akcji z autobusem, co to była nie tak dawno?

– Nie, nic nie mówiłeś – wtrąca się Magda.

– No to sobie wyobraźcie: jedzie autobus wypakowany, jak to tutaj mają w zwyczaju, ludźmi po brzegi. I spada w przepaść. Większość pasażerów ginie na miejscu. Ale jest garstka ocalałych. Co robi okoliczna ludność?

– Aż się boję, Józek, odpowiadać... – Magda chyba już domyśla się zakończenia tej ponurej historii.

– Przybywają na miejsce z nożami i maczetami, aby ich dobić. Dla rabunku. Niestety. Również compensation stało się taką właśnie okazją do rabunku. Pieniądz bardzo zmienił Papuasów.

– Rano w samochodzie mówiłeś coś o szukaniu winnego śmierci... – widząc, że Józek się nieco otwiera, staram się kontynuować wątek.

– No tak. To kolejne oblicze compensation. Bo jak niechący potracisz człowieka na drodze i on umrze, to sprawa jest jasna. Wina jest po twojej stronie i teraz cały twój klan ma się zebrać na ustalone za zabitego compensation. Niestety, zdarzają się sytuacje, gdy za śmierć z powodu niezawinionej przez nikogo choroby czy zwykłej starości oskarża się niewinną osobę...

– Wymyślają zarzuty?

– Dokładnie. Potrafią zabić niewinną staruszkę, oskarżając ją o czarownictwo.

– Matko... – ciszę naszej izby przecina ciszy szloch Magdy.

– Jeśli nie ma za sobą żadnej rodziny, nikogo bliskiego, żadnego klanu, który by się za nią ujął, jest bezbronna. Rodzina pragnie zemsty za śmierć najbliższej im osoby. Tak jest im prościej znieść jej odejście. Dokonują na takiej staruszce samosądu. A te pogańskie korzenie ich wiary z przeszłości, całe to czarownictwo, okultyzm... Wszystko to sprawia, że taka argumentacja pada na grząski grunt.

► Od kamienia do smartfona

Wychodzę na zewnątrz. Czas przewietrzyć myśli. Dużo smutnych wyobrażeń. Wiele niedobrych obrazów. Próba zmierzenia się z tą ciemniejszą stroną papuaskiej rzeczywistości. Bijąc się z tworzonymi się w mojej głowie wyobrażeniami, spoglądam zza wysokiego ogrodzenia naszej misji na miasto. Powoli szykuje się do snu. Nic już się nie świeci. Do ulicznych latarni, których i tak nie ma tu za wiele, nie dotarł dziś prąd. Nas na misji ratuje prądnica. Jej hałas zagłusza muzykę nieodległego buszu.

– Ej! – słyszę nagle niemy świst zza bramy. – Ty!



Liturgia Słowa po papuasku

Koncentruję wzrok. Za bramą na niewielkiej skarpie siedzi młody zakapturzony mężczyzna. Szybko przypominam sobie, że leżał tu także, gdy wjeżdżaliśmy na teren misji.

– Chcesz ziolo?
– What?
– Marihuana... – poprawia się, imitując dłońią palenie papierosa.
– Nie, nie...
– Ej!
Tym razem oddalam się spiesźnie od bramy.
– Chodź! Nie skończyłem... – słyszę zza pleców. Już się nie odwracam.

Wolę wejść do naszej niewielkiej kaplicy. Jest otwarta całą dobę. Po usłyszanych dziś historiach o ludzkiej nienawiści i pogańskich kultach może być mi dziś ciężko zasnąć. Może taka wizyta pomoże. Może...

W kaplicy panuje półmrok. Jest zupełnie cicho. Przy ołtarzu widać zarys sylwetki patrona goszczących nas zakonników. Święty Michał Archanioł – potężny wojownik z Nieba. Mało kto wie, że to także potężny patron całej Papui Nowej Gwinej.

Do tej kaplicy będę zaglądał jeszcze nie raz. Podczas licznych wizyt u parafian moich przyjaciół michalitów wielokrotnie zapewniałem ich o swojej modlitwie za nich.

To była nasza umowa. Wzajemna obietnica. Oni za mnie, ja za nich. I kiedy tak rozmawiałem w tej cichej kaplicy z dobrym Bogiem o spotkanych Papuasach, myśli mimowolnie uciekały do ich codzienności. Do tego, czym tak naprawdę żyją. Co rozumieją, a z czym mają problemy. Co wiedzą o nas, a czego my możemy dowiedzieć się o nich.

Po tych licznych rozmowach w głowie białego przybysza prędzej czy później musi wyłonić się obraz społeczeństwa zupełnie odmiennego od wszystkich tych, do których przywykliśmy, mieszkając w krajach Europy czy Ameryki. Pierwotna kultura plemienna bardzo często niesie ze sobą przywiązanie do zgnębionej tradycji. Historie, które przytoczył mi Józek, świadczą, że po części problem ten dotyczy także samych Papuasów.

Podzielonych na ponad tysiąc plemion i klanów, posługujących się około 800 językami. Po części nadal żyją-

cych w epoce kamienia łupanego. Z tą różnicą, że do ich lepiątek raz na jakiś czas przybędzie członek plemienia, który, będąc w mieście, nabył telefon komórkowy. Tak odbywa się tutaj niespotykany nigdzie wcześniej w historii człowieka przeskok cywilizacyjny. Bez przygotowania, bez etapów przejściowych, bez żadnego stopniowania. Śpiący na twardej ziemi, w gliniastych lepiankach, kupujący żony za świnię, a jednocześnie znający na pamięć numer telefonu do teściowej.

► Najlepszy patron

Nie ma co ukrywać. Warunki życia na Papui nieco się zmieniły. Dziś zamiast wysyłać gońca z informacją o śmierci członka do krewnych mieszkających za górami, wystarczy mieć zasięg. A potem, gdy ustalą się już wszystkie szczegóły pochówku, kupić bilet na samolot.

Z techniką jest chyba jednak nieco prościej.

Pogańskiej wiary w gusła już tak łatwo wypełnić się nie da. Potrzeba pomocnika. Kogoś silniejszego. Sam człowiek nie da rady. Niespełna dwa lata po odzyskaniu przez Papuę Nową Gwineę niepodległości, w 1978 r., po licznych dyskusjach i przemysleniach samych księży pracujących na wyspie, Jan Paweł II przychylił się do prośby biskupa stolicy nowo powstałego kraju, Port Moresby – Hermana To Paivu, aby patronem

Papui ogłosić św. Michała Archanioła. – Kto wie? – stwierdził któregoś dnia podczas obiadu Bogdan. – Może dlatego właśnie Michał Archanioł został patronem tego kraju. Tu tyle tych gusel, wierzeń, domów duchów...

Jak wyjaśniał to swego czasu jeden z największych znawców Papui, nieżyjący już śp. ojciec Zdzisław Kruczek, chodziło o takiego świętego, który da siłę w rozmowach z mieszkańcami wyspy, wśród których wiara w duchy zmarłych przodków była wciąż nader silna. „Święty Michał Archanioł jest duchem – doskonałym, dobrym, asystującym życiu każdego. Dlaczego zatem nie nawiązywać do tradycyjnej religijności i nie dopatrzyć się pewnych odniesień, znaleźć punkt styczny?” – wnioskował o. Kruczek.

Znamienny jest również fakt, że pierwsi misjonarze, którzy przybyli na Papuę ewangelizować i głosić Dobrą Nowinę, zaczęli swą działalność 29 września. Dzień



Najpiękniejsze ze spotkań na wędrownym szlaku

wspomnienia św. Michała Archanioła stał się więc w Papui Nowej Gwinei pierwszym dniem w młodej i krótkiej półce historii Kościoła katolickiego na tej drugiej co do wielkości wyspie świata.

► **Milczenie nad sadzawką**

Plomień naszej małej świecy w chatce w Kasap powoli dogasa. Magda właśnie skończyła brać prysznic. Oplacił się trud, jaki w pompowanie wody włożył dobry Bogdan. Wody powinno starczyć na całą noc.

– Opowiedz mi jeszcze jakąś historię na koniec – prosi Bogdana, który powoli szykuje się do snu.

– Ale o czym, kochany?

– O tych waszych początkach tutaj. O tym zderzeniu z ich wiarą, z ich patrzeniem na rzeczywistość.

– No dobrze... To jeszcze ta historia i idziemy spać, dobrze?

– Dobrze, dobrze... Poczekaj tylko, aż wyjmę zeszyt – szepcze, grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu swojego zmęczanego notatnika z podróży.

– Kiedyś wędrowałem do odległej, położonej po drugiej stronie gór, parafii – zaczyna Bogdan. – Wiedziałem, że przede mną długa i niełatwa droga. Przez las, przez busz, przez wezbrane potoki. Pod górę. Wziąłem więc ze sobą tylko to, co niezbędne. Rzeczy do odprawienia Mszy świętej, stulę do ubrania się podczas spowiedzi i kilka sucharków jako prowiant. Pamiętam, jak prowadził mnie mój kościelny. Dobry chłopak. Znał trasę. Pomagał mi, jak umiał. Niósł mój plecak. Szliśmy tak już całkiem długi czas. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się. W pewnej chwili mój przewodnik zatrzymał się. Zgłupiałem. Nie miałem pojęcia, w czym rzecz.

– Zobaczył coś? – przerywam niegrzecznie. Jednak nie wytrzymałem.

– Ja tam nic nie widziałem. Poza niewielką sadzawką. Ot, takim oczkiem wodnym schowanym w głębokim buszu.

– To jezioro tak go przestraszyło? – pytam ponownie. Tym razem zupełnie skołowany.

– O tym miałem się dopiero przekonać – kontynuuje michalita. – Mój przewodnik spojrzał na mnie, przykładając palec do ust w geście milczenia. „Stało się coś? Jakies zwierzę?”, zapytałem. Okazało się, że nie chodziło o żadne zwierzę. Ten człowiek bał się duchów. „Musimy być cicho, aby ich nie obudzić. Mieszkają w tej wodzie”. Przez kolejne kilkanaście minut mój towarzysz nie odezwał się ani słowem. Zaczął dopiero, gdy byliśmy ładnych kilkaset metrów za oczkiem.

► **Nie da rady**

Obserwując pracę tej dwójki ojców – Bogdana i Józefa – nie mogę oprzeć się wrażeniu, że do tej pracy,

do posługi misjonarskiej na dalekiej egzotycznej placówce po prostu nie da rady pójść bez powołania. Nie da rady...

Nie da rady wytrzymać codziennych przepraw przez wezbrane rzeki, gdy trzeba zanieść Komunię Świętą umierającemu, mieszkającemu gdzieś daleko w górach za pięcioma kolejnymi rzekami. Gdy trzeba wytłumaczyć parafianinowi, że trzy żony to za dużo. Że poza zabójstwem sąsiada istnieją inne możliwości rozwiązywania sporu. Nie da też rady tłumaczyć cierpliwie skomplikowanych treści teologicznych studiowanych gdzieś w zaciszu klasztoru, gdy słuchacz po prostu bawią niebieskie oczy i białe kolor skóry mówiącego. Nie da rady jeździć co chwila do kilkunastu kościołków i spowiadać w nich po kilkudziesięciu penitentów, wśród których być może są i tacy, którzy, spowiadając się z grzechu wykopania nieboszczyka i sporządzenia z jego palca trucizny dla wroga. Wreszcie zaś nie da rady tłumaczyć co dzień siedzącemu u bramy proponującemu marihuanę, że to nie jest najlepsze miejsce na handel. Nie da rady.

Bez pomocy z Nieba całe to misyjne dzieło nie miałoby szans ostać się przez tyle lat. W Afryce Środkowej, u Indian w Amazonii czy wreszcie tu: w interiorze najbardziej dzikiej wyspy świata: Papui Nowej Gwinei. Przyjechałem tu chyba właśnie głównie po to, aby się o tym przekonać. Że bez pomocy Niebios żadne z tych dzieł nie miałoby najmniejszych szans na przetrwanie. I że ci wspaniali ludzie są dokładnie tacy sami jak ja. Jak my wszyscy. Ulepieni z tej samej gliny.

Dobrze, że takich Bogdanów i Józków są obecnie na całym świecie tysiące. Jeszcze lepiej, że wciąż im się chce. A już najlepiej, że wszyscy z każdym dniem przekonujemy się, że tak naprawdę od nas samych niewiele zależy. ■



40 REPORTAŻY Z CAŁEGO ŚWIATA

JUŻ WE WRZEŚNIU
NOWA KSIĄŻKA
STEFANA
CZERNIECKIEGO



Marcin Wolski

Nienawiść – korzenie i owoce

Można sobie zadać pytanie: czemu służy nienawiść? Emocja pod każdym względem destrukcyjna i ze wszech miar obrzydliwa.

„Boże, chroń mnie od nienawiści” – śpiewał kiedyś Przemek Gintrowski. Dziś chętnie cytowany przez tych, którzy nienawiść uczynili sensem swego życia.

Do czego jest potrzebna? Głównie stanowi paliwo do walki. Człowiek ze swej natury jest istotą racjonalną i dobrą. Czynienie zła na zimno jest dla niego trudne i – wyjąwszy niewielką grupę cyników – niewykonalne.

By stało się to możliwe, potrzebny jest mocny stan zaślepienia, odporności na argumenty i empatię, wreszcie zwykły strach, i ten stwarza nienawiść.

Doskonale wiedziały o tym systemy autokratyczne, pielęgnując nienawiść i odczłowieczając wroga.

By móc walczyć z chrześcijanami, trzeba było wpierw wmówić, że zaturawiają studnie i że spalili Rzym. Do mobilizowania gniewu ludu przeciw Żydom nie wystarczała tylko ekonomiczna rywalizacja i różnice kulturowe, potrzebna była uporczywa legenda o krwi chrześcijańskich dzieciątek dodawanych do macy...

A ileż wysiłku w kreowanie wroga włożyły nazizm i sowiecki komunizm, by osiągnąć pożądany stan wrzenia społeczeństw. Hitlerowi udało się obarczyć Żydów winą za klęskę w wielkiej wojnie, utratę przez Niemcy kolonii i części terytoriów, o globalne spiski i polityczną niemoc Republiki Weimarskiej. Bez eskalacji nienawiści do granic wcześniej nienotowanych nie udałoby się Niemcom ani Holocaust, ani prowadzenie wojny totalnej, gdzie przeciwnik jest podczłowiekiem. Bolesnie doświadczyli tego Polacy, porównując najeźdźców z okupacji z czasów pierwszej wojny z szaleńcami z drugiej.

Liczba wrogów ZSRS była większa i bardziej różnorodna – międzynarodowa finansjera, rządy państw kapitalistycznych, wszystkie partie z prawicy i lewicy, poza tymi zrzeszonymi w Kominternie, choć – jak świadczy los KPP – nie do końca. Co do wrogów wewnętrznych, ich lista

przypominała bęben, gdy unicestwiono jednych, pojawili się następni – najpierw poszli pod nóż „biali” zwolennicy Romanowów, z carską rodziną na czele, potem takie partie, jak Konstytucyjni demokraci, w dalszej kolejności koalicyjni eserzy (Socjaliści Rewolucyjniści), po nich mieńszewicy, dalej prawdziwa i rzekoma opozycja z własnej partii bolszewickiej – trockiści, zinowiewowcy i bucharinowcy... A później rewizjoniści, syjoniści itp. Wrogami okazywali się kułacy, którzy za bardzo chcieli troszczyć się o ziemię uzyskaną po rewolucji, a w kolejnych czystkach „siłownicy” – raz wykazujący zbyt mało rewolucyjnego zapалу, kiedy indziej zbyt wiele.

Nienawiść do wroga pomagała w jego unicestwieniu. Wydawać by się mogło, że po przezwyciężeniu zbrodniczych totalitaryzmów zatriumfuje cywilizacja wartości Zachodu, która wprawdzie niechętnie przyznaje się do swych korzeni, ale głosząc wiarę w postęp, równość, braterstwo, winna oczyścić przestrzeń wokół siebie od takich anachronizmów, jak nienawiść. W końcu zniesiono karę śmierci, zasadę odpowiedzialności zbiorowej czy prawo talionu – czyli odwetu „oko za oko”.

Wszechwładna tolerancja nie pozostawia miejsca dla nienawiści... Chyba żeby slogan „nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji” wymyślił Baruch Spinoza, a praktycznie zastosował Maksymilian Robespierre. I jego liczni naśladowcy.

Jest jeszcze jeden problem – co ma zrobić zmęczona cywilizacja tolerancji otoczona zewsząd przez nienawiść obcych, dążących do jej zagłady? Czy jej jedynym ratunkiem może okazać się oddolna nienawiść ludzi zagrożonych i przerażonych? I co będzie, jeśli stanie się orężem w rękach polityków i szaleńców.

Strach myśleć!



Tomasz Sakiewicz

Cud mikroekonomii

Zwykłym zjadaczom chleba Polska zaczyna się jawić jako oaza spokoju. Nie przełoży się to natychmiast na wielkie inwestycje ekonomiczne – na to trzeba lat. Efekty będą widoczne w małych, rodzinnych firmach.

Ekonomiści przywiązują bardzo dużą wagę do danych za pierwsze półrocze tego roku. Wynika z nich, że zamiast wzrostu o 3,6 PKB będziemy mieli wzrost 3,4 PKB, czyli gorszy niż przewidywano. Jednocześnie bardzo wzrosła konsumpcja. To są informacje świadczące o zupełnie innych zjawiskach. Albo więcej konsumujemy i więcej wytwarzamy, albo produkcja spada. Nie widać też masowego wzrostu importu. Czyli na co poszły nasze pieniądze?

Dla mnie jest to oczywiste. Polacy wyjechali na wakacje. Zaczęły się one już w czerwcu i potrwają pewnie do końca sierpnia. W tym czasie magazyny i sklepy błyskawicznie się opróżniają. Dopiero ich napełnienie spowoduje realny wzrost gospodarczy. Idę o zakład, że dane za wrześień będą nadzwyczaj dobre. Będzie to się działo mimo słabej absorpcji środków unijnych. Poprzednia władza nie przygotowała odpowiednich projektów, obecna potrzebuje bardzo dużo czasu, by to nadrobić.

Dlaczego jestem więc w sprawie wzrostu gospodarczego optymistą? Bo Polakom wróciła wiara we własny kraj. Wielu ludzi zepchniętych do tej pory w ekonomiczną depresję zaczyna próbować zarabiać pieniądze. Dochodzi jeszcze do tego rozpad Unii Europejskiej i kryzys migracyjny. Zwykłym zjadaczom chleba Polska zaczyna się jawić jako oaza spokoju. Nie przełoży się to natychmiast na wielkie inwestycje ekonomiczne – na to trzeba lat. Efekty będą widoczne w małych, rodzinnych firmach. To one najszybciej reagują na nowe wiatry. Sama turystyka wbrew pozorom nie przynosi gigantycznych dochodów. Za to drobny handel, przetwórstwo, rolnictwo, rzemiosło, usługi – na konkretnym terenie – ożywają zarówno przy więk-

szym ruchu turystycznym, jak i w wyniku zwiększonej konsumpcji. Polskę czeka silny impuls rozwojowy wynikający z rozkwitu firm niemających dostępu do unijnych funduszy czy inwestycji Skarbu Państwa.

Co dało ten impuls? Przede wszystkim „Program 500 plus”, choć także wiara w przywrócenie sprawiedliwych zasad funkcjonowania na rynku.

Mikroekonomia zbliżona jest do olimpijskich igrzysk. Kiedy zawodnikom da się choć trochę wsparcia finansowego i jednocześnie ograniczy doping, nagle zaczynają wygrywać inni niż do tej pory. Formy tak szybko się nie nabiera. Przybywa jednak wiary we własne siły. Dlatego tak bardzo istotny jest element psychologiczny. Zachowania i motywacje ludzi zmieniają rynek. Przekształcają nie tylko handel, lecz także całą aktywność ekonomiczną. W dużych firmach tego nie widać. Zanim korporacja odczuje zmianę nastrojów na rynku, zmiana przechodzi do historii. W mikroorganizmach te przeobrażenia są odczuwalne niemal natychmiast.

Z dużym zainteresowaniem będę się przyglądał wynikom ekonomicznym najbliższych miesięcy. Idę o zakład, że tam, gdzie decydować będą unijne pieniądze, nastąpi spadek. Nie wierzę też w szybkie, duże inwestycje.

Rozwój następować będzie w przedsiębiorstwach niewielkich. Może warto zwrócić na nie uwagę, bo to one najczęściej padają ofiarą pomysłów fiskalnych i administracyjnych państwa. Rozwój nowego Centralnego Okręgu Przemysłowego czy też centrum komunikacyjne dla Azji i Europy na Mazowszu mogą przyspieszyć gospodarkę. Będą wielkim sukcesem Polski. Stanie się to jednak dopiero za trzy-cztery lata. ■

zależna niezależna niezależna niezależna
a niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna n
zależna niezależna niezale
niezależna niezależna n



zależna niezależna niezależna niezale
niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale